

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLIV.

ROK XI.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Października 1886 r.



PIERWSZA CZĘŚĆ FAUSTA.

STUDYUM LITERACKIE.

WSTĘP.

W pierwszéj połowie XVI-go wieku żył w Niemczech północnych niejaki Johan Faust z Knittlingen. Słynął on jako człowiek uczony i widocznie miał pewne zachowanie nawet u ludzi bardzo poważnych, skoro taka znakomitość jak Melanchton zaszczycała go swą znajomością i przyjaźnią.

Faust jednak wszedł na zbyt niebezpieczne drogi: oddał się studyom magicznym i praktykom czarnoksięskim. Oczywiście na téj drodze musiał wejść w stosunki z duchami piekielnymi; wedle ówczesnych bowiem pojęć piekło było ojczyzną magii, a szatan najwyższym jéj mistrzem. Jakoż niebawem rozeszła się pogłoska, iż Faust zaprzedał duszę dyabłu, aby za jego pomocą poznać wszystko na ziemi i niebie, oraz użyć wszelkiéj rozkoszy, jakiéj tylko życie dostarczyć może.

Po śmierci czarnoksiężnika, osobistość jego stała się przedmiotem legendy, która ze zgrozą opowiadała o jego niecném życiu i smutnym końcu: ostatecznie bowiem został on w okropny sposób porwany do piekła, gdzie w wiecznych mękach za swe zbrodnie miał pokutować.

Wiadomo, że wieki średnie natworzyły bez liku podobnych legend. Nietrudno było w owych czasach wpaść w podejrzenie o stosunki ze złym duchem, a najczęściej jako powód takich zbrodniczych związków podawana była zbyt wielka żądza wiedzy oraz uciech i rozkoszy ziemskich. Przyczyną tego był ówczesny pogląd na życie i stanowisko w niém człowieka. W wiekach średnich, w epoce silnej wiary, nauka chrześciańska, głoszona przez kościół,

uważaną była za jedyne źródło wszelkiej prawdy; pragnienie wiedzy po za granicami wiary poczytywano za bezbożną pokusę, prowadzącą człowieka na bezdroża błędu i grzechu. Z drugiéj strony, ówczesny ascetyzm religijny kazał unikać wszelkich przyjemności i rozkoszy życia: w umartwieniu grzesznego ciała wskazywał jedyną drogę, wiodącą do zbawienia. A więc żądza doczesnego szczęścia, podobnie jak żądza wiedzy, była pokusą szatańską; ludzie, dążący do zaspokojenia tak grzesznych pożądań, oddawali się dobrowolnie w moc złego ducha, dla marnéj ciekawości i uciech światowych wyrzekali się zbawienia. Naturalnym wynikiem takiego poglądu była legenda o zaprzedaniu się dyabłu, który wysługuje się człowiekowi w tém życiu za cenę posiadania jego duszy po śmierci.

Legenda faustowska, z tym średniowiecznym charakterem, przetrwała wpośród ludu aż do końca zeszłego stulecia, ulegając wielokrotnym przeróbkom i uzupełnieniom. Już w XVI wieku poeta angielski Marlowe utworzył z niéj dramat wysokiéj artystycznéj wartości; następnie i w Niemczech była ona wielokrotnie dramatyzowaną i w ciągu prawie dwóch wieków cieszyła się wielkiém powodzeniem na licznych wędrownych scenach, oraz na rozpowszechnionych wówczas teatrach maryonetkowych. Rzeczywiście, zawierała ta legenda wiele dramatyczności: walki wewnętrzne w duszy bohatera pomiędzy bojaźnią bożą a żądzą wiedzy i uciech światowych, chwile skruchy i daremne usiłowania wydobycia się z piekielnych więzów, wreszcie rozpacz, poprzedzająca ostateczne potępienie:—wszystkie te wielce dramatyczne motywa zostały bardzo umiejętnie zużytkowane przez Marlowe'a i autorów sztuczek maryonetkowych.

Znakomity estetyk Lessing pierwszy w nowszych czasach zwrócił uwagę na dramatyczne bogactwa zawarte w starych sztukach o Fauście i postanowił artystycznie je zużytkować. Około 1760 r. rozpoczął pisać swego Fausta, nie skończył go jednak głównie z powodu wieści, która się wkrótce rozeszła, iż Goethe, mający już wtedy sławę największego poety Niemiec, pisze również dramat osnuty na tym samym przedmiocie.

Goethe poznał także legendę o Fauście ze sztuk maryonetkowych, którym, jeszcze dzieckiem będąc, ze szczególném upodobaniem się przyglądał. Wrażenia dziecinne odezwały się w wieku młodzieńczym; stara średniowieczna legenda dostarczyła ogólnéj formy dla wyrażenia namiętnych uczuć, wrących w piersi genialnego młodzieńca: w 1773 r. pod wpływem najszczęśliwszego natchnienia rzucił na papier pierwsze, pełne ognia sceny swego poematu.

Od téj chwili Faust stał się główną myślą całego życia poety. W różnych epokach powracał do niego, dorabiał nowe sceny, zmie-

niał i uzupełniał napisane poprzednio, rozwijał coraz daléj rozległe myśli i uczucia, które w tym poemacie zamierzył wypowiedziéć.

Stosownie do swego zwyczaju, nie śpieszył się Goethe z drukiem: dopiero w 1791 r. został Faust po raz pierwszy wydany z nazwą fragmentu. W tém wydaniu zawierała się dzisiejsza część 1-a oprócz następujących scen: prologu w teatrze i w niebie, drugiéj połowy wielkiego monologu, scen ludowych i przechadzki z Wagnerem, spotkania z Mefistofelesem i początku układu z nim, wreszcie sceny śmierci Walentego. Następnie w bardzo różnych odstępach czasu uzupełniał poeta te braki, tak iż dopiero w 1808 r. wyszła z druku całkowita część 1-sza.

Jeszcze przed wydaniem pierwszéj napisał Goethe kilka pojedyńczych ustępów drugiéj części. mianowicie z epizodu Heleny; następnie jednak zwątpił o możności ukończenia téj barbarzyńskiéj, jak ją nazywał, kompozycyi. W r. 1827 wydał epizod Heleny jako oddzielną całość:—utwór ten znalazł wiele uznania; zachęcony tém poeta postanowił ukończyć całe dzieło i pracował nad niém aż do śmierci. W 1832 r., tj. w roku swéj śmierci, przyłożył ostatnią rękę do Fausta, a na kilka dni przed śmiertelną chorobą, w liście pisanym do W. Humboldta wyraził najwyższą radość z powodu szczęśliwego ukończenia téj pracy całego życia.

Z powyższego widzimy, iż Faust pisany był w przeciągu lat blisko 60-ciu: rozpoczął go poeta w 24 roku życia, ukończył w 84-m. Rzeczywiście więc jest to dzieło całego życia Goethego. Nosi téż ono na sobie ślady długoletniéj a przerywanéj pracy: pojedyncze sceny nie łączą się z sobą dość ściśle, różnią się bardzo charakterem i poetyczną wartością; szczególnie daje się to widzieć w odmiennym bardzo charakterze części 2-éj. Atoli ta długoletnia praca nad Faustem miała i dodatnie strony: pozwoliła poecie korzystać z bogatego doświadczenia, jakiego nabył w ciągu tak długiego życia; wskutek tego Faust stał się ogólnym wyrazem duchowego rozwoju jednéj z najpotężniejszych indywidualności umysłowych w czasach nowożytnych.

Oczywiście, w utworze będącym rezultatem pracy całego życia tak wielkiego jak Goethe poety i myśliciela nie mogło chodzić jedynie o artystyczne odtworzenie legendy ludowéj. Legenda służyła tylko poecie jako zbiór surowego materyału, który opracowując stosownie do wyższych estetycznych wymagań, przelewał weń swe własne myśli i uczucia.

Postać czarnoksiężnika Fausta w tém przetworzeniu zupełnie odmienny przybrała charakter: dążenia jego i uczucia, które prawowierność średniowieczna napiętnowała jako grzeszną żądzę i wynik

pokusy szatańskiéj,—w utworze nowoczesnego poety wystąpiły jako naturalne i uprawnione całkiem objawy, wynikające z najistotniejszych cech natury ludzkiéj. Faust, pałający namiętną żądzą prawdy i szczęścia, stał się przedstawicielem najwyższych uczuć i aspiracyi człowieka.

Prawda i szczęście to wiekuisty cel dążeń ludzkości, wielki problemat bytu, który nadaremnie usiłowały rozwiązać liczne systemata religijne i filozoficzne. Pomimo wielkrotnych pozornych rozwiązań występuje on zawsze otoczony nieprzeniknioną tajemnicą i nowe wywołuje usiłowania i zabiegi, nowe zawody i cierpienia, będące ich następstwem. Uczucia te i dążenia od wieków wstrząsały łono człowieka i znajdowały już swój wyraz w poezyi odległéj starożytności: w zuchwałych porywach greckiego Prometeusza, w bolesnych jękach biblijnego Hioba, w rozpacznym pesymizmie Eklezyasty. Filozofia kościelna średnich wieków usiłowała położyć im tamę i problemat bytu rozwiązać w sposób stanowczy, wskazując prawdę w dogmatach religijnych, szczęścia każąc oczekiwać w życiu przyszłém. Skoro jednak pod naciskiem nieprzepartego rozwoju osłabła wiara, będąca podwaliną gmachu średniowiecznych pojęć, gmach ten zachwiał się w swoich posadach; myśl ludzka zrzuciła krępujące ją więzy, lecz zarazem na nowo pogrążyła się w morzu zwątpień i niepewności; problemat bytu stanął przed nią znowu tajemniczy i niezgłębiony.

Daremne były wszelkie usiłowania rozwiązania go na polu samodzielnych badań i spekulacyi. Wprawdzie metafizyka nowoczesna nieraz głosiła, iż jest w posiadaniu prawdy absolutnéj, natworzyła bez liku systematów, mających do niéj prowadzić; każdy z nich jednak, zyskawszy efemeryczne uznanie, w rezultacie okazywał się nowym błędem, nowym zawodem. Nauka, rozjaśniając ciągle tajniki natury, posuwając naprzód wiedzę ludzką, nie mogła się wznieść do poznania przyczyn ostatecznych: owszem postęp jéj i rozwój wprowadza coraz większe zawikłanie w zasadniczą kwestyą bytu: z jednéj strony bowiem obala wszelkie metafizyczne marzenia i iluzye, z drugiéj okazuje, iż zawsze i wszędzie umysł ludzki w swych badaniach natrafi na pewien kres, poza który daremnie będzie chciał sięgnąć. Czasy nowożytne nie zdołały wytworzyć określonego systemu pojęć i wierzeń, który mógł-by zastąpić naiwną wiarę średnich wieków, wskazać człowiekowi cel jego dążeń, drogę, po któréj ma w życiu postępować. Wynikiem tego musi być zwątpienie i brak wiary w obec wyższych zadań i celów życia.

Ludzie, widząc, że wszelkie zasady i ideały dawnych wieków okazują się tylko złudzeniem; przekonawszy się nadto, że tylokrotne

usiłowania zdobycia prawdy, poznania ostatecznych kresów dążeń naszych do niczego nie doprowadziły, — wpadają w powątpiewanie: czy wogóle jest jaka prawda w życiu, czy są w niém jakieś wyższe ideały, czy, jedném słowem, warto żyć, działać, dążyć do czegoś wyższego?

Naturalnie ten nastrój umysłowy w różnéj mierze i w różny sposób objawia się w całéj masie społecznéj. Przedewszystkiém, wielkie zasady i pojęcia przeszłości, rezultat duchowéj pracy wieków nie upadają odrazu. Przeobrażenia społeczne dokonywują się zawsze drogą stopniowego, nieskończonego różniczkowania; wskutek tego różne prądy umysłowe istnieją i rozwijają się współcześnie. Podobnie jak w średnich wiekach obok głębokiéj wiary zwątpienie i sceptycyzm występowały w postaci różnych herezyi i sekt religijnych—i w czasach nowożytnych obok ducha niewiary i zwątpienia istnieje dawna, bezkrytyczna, mniéj lub więcéj silna wiara. Jedni trzymają się jéj siłą duchowéj inercyi, niezdolni będąc wniknąć w jéj wewnętrzną treść i wartość, inni wskutek zewnętrznych warunków rozwoju psychicznego, usuwających ich z pod wpływu nowożytnych, postępowych idei i dążności. Niewątpliwém jest wszelako, iż jak w średnich wiekach silna wiara, tak w czasach nowożytnych brak jéj stanowi dominującą cechę społeczeństwa europejskiego.

W konsekwencyi takiego nastroju duszy, ludzie pospolitych i niskich instynktów wyrzekają się wszelkich podnioślejszych aspiracyi, własny interes obierając za wyłączny cel swych dążeń, żyją w ciasnéj sferze samolubstwa i praktycznego materyalizmu. Natury szlachetniejsze nie mogą uledz takiemu losowi: własna ich siła moralna nie pozwala im uwięznąć w pospolitych warunkach bytu, popycha na drogę wyższych dążeń. Zwątpienie więc o istnieniu celów tych dążeń musi wywoływać w ich duszy zamęt wewnętrzny i bolesną kolizyą uczuć. Taki stan duchowy niejednokrotnie odbił się w poezyi nowoczesnéj; wiele w niéj można wskazać znakomitych kreacyi, których on wybitną stanowi cechę. Ze wszystkich zaś najgłębsze, najdoskonalsze są niewątpliwie dwie: Hamlet i Faust. W tych dwóch genialnych kreacyach znalazły swój wyraz najgłówniejsze prądy uczuć i myśli, będące źródłem cierpień i walk tragicznych we wnętrzu wyższych duchowych indywidualności czasów nowożytnych: w Hamlecie—wiekuisty sceptycyzm, niepewność i wahanie wpośród zadań i celów życia, w Fauście—brak wiary i namiętne pragnienie czegoś, co by ją mogło zastąpić.

Zatrzymajmy się chwilę nad porównaniem tych dwóch postaci; ułatwi nam to głębsze wniknięcie w ogólną myśl poematu Goethego i posłuży za punkt wyjścia w szczegółowym jego rozbiorze.

Hamlet i Faust to typy szlachetnych natur, niemogących się pogodzić z niskimi warunkami swego bytu. Hamlet nie może patrzeć na bezkarny tryumf zbrodni, nie może wyżyć wśród tych pospolitych i nikczemnych ludzi, którzy stanowią jego otoczenie, — Faust nie może poprzestać na ograniczonéj wiedzy, pragnie przełamać ciasne szranki swego bytu. Wynikające stąd walki i usiłowania są źródłem kolizyi dramatycznéj w obudwu kreacyach; zwątpienie zaś i brak wiary w panowanie nad światem wyższéj moralnéj zasady, będącéj rękojmią ostatecznego tryumfu podniosłych aspiracyi człowieka—stanowią najpierwszą przyczynę tragiczności ich losu. Tutaj jednak kończy się podobieństwo, w dalszych swych cechach obiedwie kreacye zasadniczo się różnią.

Zauważmy przedewszystkiém, że Hamlet to przedstawiciel jednéj tylko strony natury ludzkiéj, doprowadzonéj do najdalszych krańców swego rozwoju: to uosobiona refleksya. Brak w nim wszelkich silniejszych uczuć i namiętności. Tragiczność jego sytuacyi wynika bezpośrednio z tego, iż on, człowiek rozległéj myśli, lecz pozbawiony czynnéj energii woli, postawiony jest wobec konieczności czynu; natura szlachetna, otoczona zepsuciem i podłością, którym uledz nie chce, a nad którymi zapanować nie umie. Gdyby nie ta szczególna sytuacya, gdyby Hamlet mógł żyć wyłącznie w sferze swych myśli i marzeń, życie jego płynęłoby prawdopodobnie spokojnie, wolne od wszelkich wstrząśnień dramatycznych. Że się tak nie dzieje, że właśnie Hamlet-marzyciel musi działać i ginąć tragicznie wskutek niemożności spełnienia tego zadania: w tém się ukrywa głęboki morał sztuki, wynikający z téj zasadniczéj prawdy, iż życie, to nie marzenie, lecz wielka arena czynu, wśród któréj każda jednostka własnemi siłami zdobyć sobie musi swój los i stanowisko. Tak więc główne źródło tragicznéj sytuacyi Hamleta tkwi we własnym jego ustroju psychicznym: mianowicie w przewadze hamującéj siły refleksyi nad czynną energią uczucia i woli. Zwątpienie i brak wiary, jako wynik ducha wieku, potęguje tylko wpływ pierwszéj siły, paraliżując jednocześnie działalność drugiéj. Wskutek tego Hamlet nie może się zdobyć na czyn, którego konieczność uznaje, i upada tragicznie wobec niezłomnéj potęgi sił życiowych, które na całym obszarze natury karzą nielitościwie wszelkie szkodliwe zboczenie w rozwoju naturalnych władz osobnika.

Zupełnie odmienną jest psychiczna natura Fausta. Władze jego duszy wszechstronnie i bogato rozwinięte czynią go ze wszech miar zdolnym do życia i czynu. Z całą energią natury żywéj i namiętnéj pragnie on żyć i działać. Ale wszelka działalność ludzka musi być określona przez jakiś cel. Faust nie widzi przed sobą za-

dnego celu. Te, które stanowią przedmiot zabiegów pospolitych ludzi, nie mogą zaspokoić wymagań jego wyższéj natury, wzniosłe ideały, które niegdyś wiara wskazywała jako najwyższy cel dążeń człowieka, rozwiały się pod zimném tchnieniem krytyki i zwątpienia. Nie pozostaje więc nic, jak tylko dążyć do samodzielnego zdobycia prawdy absolutnéj, aby w jéj świetle poznać istotne cele i zadania życia. Ale wszelkie wysiłki Fausta dla zdobycia téj prawdy są daremne, rozbijają się o przyrodzoną ograniczoność natury ludzkiéj; ostateczny cel istnienia pozostaje zawsze zakryty przed oczyma naszemi. Następstwem tych bezowocnych dążeń i usiłowań jest tragiczna sytuacya Fausta; zatém nie wynika ona jak w Hamlecie z anormalnéj organizacyi psychicznéj bohatera, lecz źródło jéj znajduje się w ogólnych warunkach bytu ludzkiego. To jest zasadnicza różnica tych dwóch kreacyi. Obiedwie przedstawiają ogólne typy wyższych charakterów ludzkich, lecz Hamlet, to natura anormalna, jednostronna,— Faust posiada normalnie i wszechstronnie rozwinięte władze psychiczne. Zobaczymy niżéj, iż te różnice tłómaczą odmienne zupełnie rozwiązania sytuacyi tragicznéj w obudwu utworach.

Zaznaczona powyżéj różnica między Hamletem a Faustem jest przedewszystkiém następstwem odmiennych procesów tworzenia, którym te kreacye swój byt zawdzięczają. Hamlet, to kreacya zupełnie obiektywna; przynajmniéj, o ile mi wiadomo, nie mamy żadnych danych do przypuszczania, aby w niéj się odbijał charakter samego poety. Powstała ona prawdopodobnie tak samo, jak tyle innych postaci Szekspira, z obserwacyi zewnętrznéj charakterów ludzkich — genialny znawca serca ludzkiego odtworzył w niéj i połączył w jednę poetyczną całość objawy życia refleksyjnego, podobnie jak w Otellu, téj antytezie Hamleta, przedstawił wprost przeciwną stronę psychicznego życia: niepohamowaną, ślepą siłę namiętności.

Inny jest zupełnie proces powstania Fausta. Kreacya ta, jak tego dowodzi zeznanie samego poety, nie jest wynikiem przedmiotowéj obserwacyi charakterów ludzkich, lecz raczéj odbiciem własnych uczuć i dążeń poety. Goethe przelał w Fausta swą własną duszę, utworzył go na obraz i podobieństwo swoje. Chcąc więc należycie pojąć tę postać, trzeba przedewszystkiém zrozumiéć dobrze charakter i usposobienie duchowe samego poety. To ostatnie zadanie nie jest trudne wobec bogatéj literatury biograficznéj, odnoszącéj się do Goethego, w któréj zachowano najdrobniejsze szczegóły jego życia i najmniéj znaczące rysy charakteru. Wskutek tego postać poety bardzo zrozumiale i jasno nam się przedstawia. Jako najgłówniejsza cecha jego duchowéj natury uderza nadewszystko niezmiernie wszechstronne i harmonijne rozwinięcie władz psychicznych. Wia-

domo, iż Goethe łączył w sobie najbardziéj różnorodne przymioty duchowe: nadzwyczajną wrażliwość uczuciową i potęgę wyobraźni, a przytém jasną i trzeźwą myśl, ogromną zdolność badawczą i wielką siłę uogólniania. Dzięki temu, był on zarazem wielkim poetą i niepospolitym uczonym; jego przyrodnicze odkrycia zyskały uznanie powag naukowych, takich, jak St. Hilaire, Helmholtz, Lewes i wielu innych. Dodajmy do tego przymioty towarzyskie, usposobienie niezmiernie żywe i czynne, umysł wspaniały, pełen humanitarnych uczuć, klasycznie piękną powierzchowność, wreszcie żelazną organizacyą fizyczną, a będziemy mieli obraz natury ludzkiéj rzeczywiście wyjątkowo wszechstronnéj i bogatéj. — „Voilà un homme!“— wyrzekł cesarz Napoleon I po poznaniu Goethego. W tych słowach wielki wojownik, który niewątpliwie znać się musiał na ludziach, wybornie określił naturę poety. Istotnie, ze względu na ogół swych przymiotów, Goethe był doskonałym przedstawicielem czysto natury ludzkiéj. Otóż to wszechstronne i doskonałe rozwinięcie psychicznéj strony poety odbija się téż w jego kreacyi, jak to powyżéj ogólnie zaznaczyłem, a w dalszym rozbiorze szczegółowo będę mógł okazać.

Nie należy jednak sądzić, iż Faust jest zupełnie wierném, podmiotowém odbiciem charakteru Goethego; myliłby się, ktoby w losach jego chciał szukać jakiejś analogii z życiem samego poety, jak to np. można widziéć w stosunku bohatera Dziadów do Mickiewicza. Wprawdzie dwa te utwory, Faust i Dziady wiele mają podobieństwa: obadwa są rezultatem twórczéj działalności całego życia dwóch wielkich nowoczesnych poetów; obadwa zawierają najgłówniejsze uczucia i myśli swych twórców, najważniejsze przewroty, jakie się dokonały w ich duchowéj naturze; — jednak znaczne są téż między nimi różnice: głównie zaś to, iż Dziady są utworem bardziéj podmiotowym, w Fauście daleko więcéj przedmiotowości, więcéj materyału świata zewnętrznego.

Wogóle jest to charakterystyczną cechą twórczości Goethego, iż wszystkie prawie jego kreacye zawierają coś z własnéj jego natury i życia obok rysów zaczerpniętych z obserwacyi świata zewnętrznego. Przypominam np. Werthera; wiadomo, że stosunek jego do Karoliny jest dość wiernem odbiciem miłości samego poety dla Karoliny Buff z Wetzlaru; dalsze jednak rozwinięcie charakteru Werthera: cechujący go nadmierny sentymentalizm, całkowite poddanie się uczuciu, prowadzące do samobójstwa i wiele innych rysów czynią go zupełnie różną od Goethego postacią. Toż samo ma miejsce w wielu innych postaciach, np. w Egmoncie, Tassie i t. d. Podobna téż jest geneza Fausta. Powziąwszy ogólny pomysł téj krea-

cyi pod wpływem własnych uczuć i wrażeń, następnie oddzielił ją Goethe od siebie, dodał rysy obce swemu charakterowi i takim sposobem utworzył postać obiektywną, mającą swój własny, odrębny byt. Tak więc Faust w ogólnym zarysie swego charakteru jest wizerunkiem duchowym samego poety, w szczegółowém jednak rozwinięciu swych uczuć, myśli i czynów—kreacyą przedmiotową.

W takim charakterze, jako pewien obiektywny typ natury ludzkiéj, występuje Faust już w pierwszym fragmencie tragedyi z 1791 r. Na tym fragmencie nie mógł oczywiście poprzestać poeta: najprzód z tego powodu, iż przywiązywał wiele wagi do zasadniczéj idei swego utworu i pragnął ją wszechstronnie i zupełnie rozwinąć; następnie zaś dlatego, iż posiadając wysoce rozwinięte poczucie estetyczne, chciał stworzyć doskonałe i skończone dzieło sztuki. Stąd wynikała koniecznie potrzeba dalszego rozwinięcia i ostatecznego wykończenia poematu. Wykończenie zaś każdego utworu poezyi, nadanie mu charakteru estetycznéj całości polega na doprowadzeniu jego osnowy aż do pewnego punktu, stanowiącego naturalny kres rozwoju charakterów i biegu akcyi. Zachodzi pytanie, w jaki sposób mógł to osiągnąć Goethe w Fauście?

Na początku tragedyi przedstawił swego bohatera w kolizyi dramatycznéj, będącéj wynikiem dążeń jego do zrozumienia istotnych zadań życia i znalezienia w niém wyższych celów działalności. Rozwiązanie téj kolizyi, czyli doprowadzenie do ostatecznego kresu rozwoju akcyi mogło być dokonane w dwojaki sposób: albo przez upadek bohatera wobec niemożności przełamania przeszkód, stojących na drodze jego dążeń, lub też przez osiągnięcie celu tych dążeń. Któryż z tych dwóch sposobów mógł obrać Goethe?—czy mógł tragicznie zakończyć swego Fausta?

Wiadomo, że w nowoczesnym dramacie tragiczny los bohatera musi być wynikiem jego własnéj winy, w ten sposób otrzymuje on psychiczne umotywowanie. Hamlet ginie tragicznie skutkiem wad swéj organizacyi psychicznéj, niepozwalającéj mu zapanować nad warunkami zewnętrznemi; upadek Fausta w tragedyi Marlowe'a i w sztukach ludowych jest naturalną konsekwencyą pojęcia jego dążeń jako grzesznéj opozycyi przeciw jedynie prawdziwym zasadom bytu ludzkiego. Żaden z powyższych motywów nie może uzasadniać tragicznego rozwiązania w poemacie Goethego. Faust Goethego jest doskonałym typem człowieczeństwa w pełni rozwoju władz psychicznych, dążenia jego wobec pojęć nowoczesnych są uprawnionym objawem duchowych aspiracyi człowieka. A więc upadek Fausta byłby stwierdzeniem niemożliwości osiągnięcia wyż-

szych celów w życiu, negacyą podniosłych aspiracyi ducha ludzkiego, okrzykiem rozpacznego pesymizmu nad dolą ludzkości.

Takie rozwiązanie poematu było wprost przeciwne zasadom i pojęciom Goethego, który wierzył niezłomnie w postęp i rozwój społeczny, prowadzący do coraz wyższych i doskonalszych form bytu. A zatém poemat musiał się zakończyć apoteozą dążeń ludzkich. Faust, w rezultacie całego rozwoju, musiał dojść do jakiegoś doskonalszego stanu duszy, któryby mu umożliwił zrozumienie stanowiska człowieka w życiu i ostatecznych celów jego dążeń. Naturalnie rozwiązanie w tym duchu losów Fausta musiało przedstawiać ogromne trudności, będące wynikiem niezmiernie, nieskończenie prawie rozległego zakresu przedmiotu, który miał być ujęty w określoną artystyczną formę. Dlatego téż pracował Goethe nad swém olbrzymiém dziełem przez całe życie, rozwijając i uzupełniając ciągle jego osnowę. Czy ostatecznie doszedł do zamierzonego celu? Czy przedstawił w kształtach artystycznych rozwiązanie problematu ludzkich dążeń? Odpowiedź na te pytania obecnie byłaby oczywiście przedwczesną.

Na tém miejscu chodziło mi jedynie o wskazanie zasadniczéj idei poematu, oraz głównego tematu jego osnowy. Zauważę tu tylko ogólnie, iż, niezależnie od wszelkich możliwych zapatrywań na Fausta jako logiczną i estetyczną całość, każdy przyznać musi, że poemat ten jest jednym z najgłębszych i najdoskonalszych utworów poezyi nowoczesnéj. Zawiera niezmiernie doniosłe i żywotne kwestye, daje wiele bardzo do myślenia, skłania do poważnego zastanowienia się nad życiem i jego najważniejszemi zadaniami. Z drugiéj strony, uznana powszechnie artystyczna doskonałość przedstawionych w nim typów i sytuacyi życia, stanowi niewyczerpane źródło estetycznego upodobania i podnosi nasz umysł w najwyższe sfery prawdziwego piękna.

I. Zwątpienie i rozpacz.

Faust rozpoczyna się bolesnym zgrzytem zwątpienia i rozpaczy, zgiełkiem walk wewnętrznych człowieka, miotającego się w więzach ograniczoności ludzkiéj. Cały wielki monolog, rozpoczynający tragedyą, przepełniony jest rozpaczliwemi uczuciami: zwątpienie, niewiara, zniechęcenie do życia, krańcowy pesymizm — oto główne jego motywa. A wszystkie płyną z jednego źródła, z niemożności przekroczenia granic, jakie natura stawia dążeniom ludzkim, zdobycia doskonałéj wiedzy i trwałego szczęścia w życiu.

Tutaj więc zawiera się zasadniczy motyw poematu: wiekuiste aspiracye ducha ludzkiego: stan uczuciowy zaś, w którym one się tu objawiają, stanowi punkt wyjścia dalszego rozwoju akcyi. Goethe wystawiwszy na początku swego utworu z całą mocą poetycką sytuacyą bohatera tragiczną, jako wynik jego dążności, stawia kwestyą na ostrzu noża. Jeśli wszelkie wysiłki ducha ludzkiego w dążeniu do najwyższych celów życia mają za ostateczny rezultat rozpacz i zwątpienie—to jakież rozwiązanie zagadki bytu? Czy są jeszcze inne drogi, mogące zaprowadzić człowieka do upragnionych celów, czy też ostatecznym wyrazem doli ludzkości—beznadziejna rozpacz Fausta? Oto pytania wynikające z osnowy wielkiego monologu. Odpowiedź na nie zawiera się w dalszym rozwoju akcyi poematu.

Ponieważ wielki monolog zawiera zasadniczy motyw całego utworu, nadto, ponieważ uczucia w nim wyrażone są odbiciem nastroju ducha poety, którego wynikiem jest cały pomysł Fausta: stąd więc wypada, iż tutaj powinniśmy też odnaleźć zasadnicze cechy charakteru głównego bohatera. W uczuciach, będących wynikiem najwyższego natężenia jego sił duchowych, powinna się odmalować w całéj pełni jego natura psychiczna.

Poeta wprowadza Fausta na scenę w chwili, gdy po długich latach pracy i mozołów, przebrnąwszy wzdłuż i wszerz całą dziedzinę nauki, doszedł do bolesnego przekonania, iż ostatecznie nic wiedzieć nie możemy. W téj wędrówce po obszarach myśli Faust pozbył się wszystkich złudzeń i przesądów, jaśniéj i głębiéj patrzy na rzeczy niż inni ludzie, ale zarazem odjętą mu została wszelka radość i nadzieja. Tak więc nauka, pozbawiwszy go wiary naiwnéj, zapewniającéj spokój duszy, dała mu w zamian tylko rozpacz i zwątpienie. Dlatego Faust pogardza wszelką wiedzą ludzką, odrzuca ją jako bezużyteczne narzędzie, zwraca się bezpośrednio do żywéj natury, z unesieniem ciśnie się do wielkiéj jéj piersi, z wiekuistego źródła życia chce czerpać żywą prawdę.

Tutaj już okazuje się nam w ogólnym zarysie psychiczna natura Fausta. To nie zimny myśliciel, mogący tylko oddychać mroźną atmosferą abstrakcyi: umie on nietylko myśléć głęboko, lecz także zdolny jest czuć żywo, doświadczać bezpośredniego działania żywych sił przyrody. Taki psychiczny jego ustrój sprawił, iż w swém dążeniu do prawdy nie uwiązł on w jakimś filozoficznym systemacie, nie wpadł w te błędy, które tak często są udziałem myślicieli abstrakcyjnych, biorących swe spekulatywne urojenia za rzeczywiste prawdy. Bo zważmy, gdzie źródło wszelkich tego rodzaju obłędów? Niewątpliwie w jednostronnym rozwoju umysłu. Wiemy, iż wszelkie abstrakcye to uogólnienia wrażeń naszych odbieranych od

zjawisk natury: o tyle więc one zasługują na wiarę, o ile w bezpośredniéj obserwacyi, w odczuciu tych zjawisk znajdują potwierdzenie. Ludzie z wysoce rozwiniętą władzą myśli, ale pozbawieni wrażliwości uczuciowéj, skłonni są przyjmować te abstrakcyjne uogólnienia i snuć daléj ich pasmo, nigdy nie odwołując się do źródła, z którego one powstały, nie będąc zdolni szukać ich uzasadnienia w żywéj przyrodzie. Wnioski, wynikające z takiego rodzaju działalności umysłowéj, mogą być niekiedy bardzo logiczne, a jednak zupełnie fałszywe, gdyż fałsz może się zawierać w służących im za podstawę premisach, jako rezultatach błędnego uogólnienia. Ludzie z takim ustrojem umysłu mogą tworzyć wspaniałe na pozór, lecz w powietrzu zawieszone systemata filozoficzne, mogą w pewnych ograniczonych kierunkach myśli działać z wielkim pożytkiem, lecz nigdy nie będą zdolni do samodzielnego poznania doniosłych i zasadniczych prawd istnienia. Prawdziwie wielcy myśliciele, ci, którzy posunęli naprzód wiedzę ludzką, w nowych ją pchnęli kierunkach, byli zawsze ludźmi żywéj wrażliwości i głębokiego uczucia dla natury. Takim jest téż Faust i dlatego nie zabłąkał się on na manowcach jałowych spekulacyi, bo nieznalazłszy w nich prawdziwéj wiedzy, zwraca się do ostatecznego jéj źródła, do żywéj przyrody i nadnaturalną siłą potęg magicznych chce zmusić ją do wyjawienia tajemnic bytu.

Fakt magicznych studyów Fausta wziął Goethe z legendy i wprowadził go w osnowę swego poematu zgodnie z charakterem czasów, w których rozegrywa się jego akcya. Jednocześnie jednak magia, podobnie jak wszystkie średniowieczne wyobrażenia i pojęcia w utworze Goethego, służy do symbolizowania, przyodziania konkretną, zmysłową szatą pewnych intencyi i myśli poety. I tak tutaj zwrot Fausta do magii uzmysławia namiętne uczucie jego dla natury, pragnienie wniknięcia w istotną treść jéj objawów. Ale bo téż czémże była magia, jeśli nie wynikiem zwrotu do natury, żądzy odgadnięcia jéj tajemnic? Była ona przejściem od ślepéj wiary w przyczyny nadprzyrodzone zjawisk do przekonań opartych na znajomości praw natury; dlatego téż obok niejasnych pojęć praw naturalnych znajdowało się w niéj mnóstwo zabobonów i mistycznych wyobrażeń. Liczne tajemnicze symbole, używane przez średniowiecznych magików, alchemików i astrologów, były to w rezultacie uzmysłowienia jakichś mętnych poglądów na siły natury w dziwacznem połączeniu ze stekiem niedorzecznych, zabobonnych wierzeń. Goethemu wszystkie te magiczne symbole wybornie służą do poetycznego przedstawienia, zawarcia w konkretnych obrazach rozległych pojęć o różnych sferach zjawisk natury.

Znak makrokosmu, który Faust ogląda w magicznéj księdze Nostradama, jest właśnie jednym z tych symboli na pół mistycznych, na pół przyrodniczych; miał on przedstawiać fantastyczny układ wszechświata, płód bujnéj imaginacyi astrologów średniowiecznych. Goethe wyraża poetycznie za pomocą tego znaku ideę powszechnéj natury. Obraz kosmosu, w którym uzmysłowiona jest ta idea, nader żywy i piękny, składa się z przepysznych przenośni:

Jak wszystko tu się w całość wije
I jedno w drugiém działa, żyje!
Jak niebios siły snują się w szeregu,
Podając sobie złote wiadra w biegu!
Jak zwinném skrzydłem błogosławieństw krążą,
Z niebiosów na wskróś ziemi dążą,
I wszechświat harmonijnie wiążą! (1)

Również wspaniale oddane uniesienie, jakie w Fauście wywołuje ten widok. Zdaje mu się, iż odkryte już przed nim leżą wszelkie tajemnice, iż wzniósł się po nad granice człowieczeństwa i z wszechwiedzą bóstwa ogarnia całą naturę. Lecz wkrótce strącony zostaje z wysokości swéj ekstazy przypomnieniem, iż cały ten wspaniały widok to tylko subiektywne wyobrażenie jego umysłu. Tylko w symbolach ograniczonych wyobrażeń pojąć możemy wszechświat. Gdzież pochwycić tę nieskończoną naturę w jéj realnych objawach? Więc Faust ogranicza swe pragnienia: ogląda znak ducha ziemi, symbol natury ziemskiéj. Ta ostatnia jest nam bliższą niż cały ogół wszechświata; Faust czuje możność zawarcia i zniesienia w swém jestestwie całej jéj potęgi. Magicznėm zaklęciem wywołuje ducha ziemi. Ukazuje się straszliwe zjawisko. Pomimo grozy, jaką jest przejęty, Faust chce się z niém mierzyć, uznaje się mu równym — „Jesteś równy duchowi, którego pojmujesz — nie mnie“, odpowiada widmo i znika.

Duch ziemi, jak już wyżéj wspomniałem, jest symbolem ogółu ziemskiéj natury. Wielkość i straszliwość zjawiska, z którém Faust daremnie chce się mierzyć, wyobraża przewagę, jaką natura ziem-

---

(1) Wie alles sich zum Ganzen webt,
Eins in dem andern wirkt und lebt!
Wie Himmelskräfte auf und nieder steigen
Und sich die goldnen Eimer reichen!
Mit segenduftenden Schwingen
Vom Himmel durch die Erde dringen,
Harmonisch all' das All durchklingen!

Cytaty dajemy w nowym przekladzie Ludwika Jenikego, który następnie wydrukować zamierzamy. — (*Przyp. red.*).

ska w swéj całości posiada nad człowiekiem. Natura wszechświata, to wspaniałe widowisko, które możemy tylko z daleka oglądać i podziwiać; natura ziemska otacza nas bezpośrednio, możemy jéj dotykać, oddziaływać na nią, ujarzmiać pojedyńcze jéj siły; jednak nie możemy ani pojąć ogółu jéj zjawisk, ani ich opanować. Faust, który poprzednio chciał cały wszechświat ogarnąć; teraz, widząc swą słabość wobec drobnéj nawet jego cząstki, wpada w stan najwyższego przygnębienia, pod piorunującém wrażeniem ostatnich słów ducha upada zemdlony na ziemię. Z tego stanu budzi go wejście Wagnera.

Tutaj się kończy pierwsza połowa monologu, należąca do najwcześniéj utworzonych części Fausta i zawarta we fragmencie z 1791 r. Cały ten ustęp jest wypływem najszczęśliwszego natchnienia, jakie niezawsze się zdarza nawet największym mistrzom; wybitną jego cechą niezmierna siła polotu poetyckiego i potęga młodzieńczych namiętnych uniesień. Potężne natchnienie tryska tu z każdego słowa, siła uzmysłowienia pojęć i uczuć olbrzymia: każde prawie zdanie zasługuje na uwagę ze względu na niepospolitą plastykę i wyrazistość myśli.

Wogóle niewątpliwą jest rzeczą, iż wszystko to, co Goethe napisał pod wpływem owego pierwszego porywu natchnienia, stanowi najpiękniejszą część Fausta. Wtedy téż powstała prawie w całości tragedya Małgorzaty. Jakkolwiek wszędzie w utworze Goethego znać wyższy poetyczny geniusz, nigdzie jednak nie jaśnieje on tak pełnym blaskiem, jak w tych niezrównanie pięknych scenach z lat młodzieńczych. Późniéj, rzadko kiedy przy tworzeniu Fausta dopisywało mu równie silne i świeże natchnienie, często zastępowane ono było przez mozolną pracę i refleksyą, co wywarło bardzo ujemny wpływ szczególnie na poetyczną wartość 2-giéj części.

Z kolei należałoby nam teraz zastanowić się nad sceną z Wagnerem; ponieważ jednak nie ma ona znaczenia w rozwoju uczuciowym Fausta, o który mi tu głównie chodzi, przeto uważam za właściwe pominąć ją na teraz i przejść od razu do drugiéj połowy monologu.

Wiadomo, iż druga część monologu napisana została w lat kilkanaście po pierwszéj. Znać w niéj téż ślady przebytego doświadczenia, bliższego obznajmienia się z życiem. W pierwszéj części, jak widzieliśmy, wyraża się tylko namiętna żądza wiedzy; niemożność osiągnięcia jéj jest przyczyną cierpienia i rozpaczy. Teraz przybywa nowy motyw: zniechęcenie do życia, przeświadczenie o jego bezgranicznéj nędzy. Jednakowoż to ostatnie uczucie nie jest wcale w sprzeczności z poprzedniemi, owszem jest konsekwentnym ich wy-

nikiem. Faust chciał się wznieść po nad granice człowieczeństwa; poznał swe ograniczenie, został odtrącony przez wielkiego ducha „w niepewny ludzki los“, — teraz w zupełnie naturalny sposób przychodzi mu na myśl cała nędza tego losu, niemożność znalezienia trwałego szczęścia w życiu, zaspokojenia wyższych pragnień serca.

Faust, podobnie jak w sferze intelektualnéj, chcial dotrzéć do najgłębszéj treści prawdy.— i w życiu nie może się zadowolnić pozorem, chce sięgnąć do istoty rzeczy i zjawisk; dlatego wszędzie szuka wybitnych, typowych objawów, w którychby się wyrażały jakieś głębsze, charakterystyczne cechy ludzkiéj natury. A takich objawów próżno szukać w rzeczywistości: wszędzie narzucają się nam te powszednie, drobiazgowe czynniki, które ograniczają i zamącają wszelkie wyższe szczęście:

I najwznioślejsze nawet dary ducha
Z materyą obcą mieszają się wszędzie.

W takim stanie uczuć, Faust, zniechęcony ostatecznie do życia, wobec niemożności zaspokojenia dwóch namiętnych pragnień swéj duszy, pragnień istotnéj wiedzy i wyższego szczęścia, jednę tylko widzi drogę wyjścia: odważnie przekroczyć próg ziemskiego bytu, nie zadrżeć przed ciemną jaskinią wieczności. Tam, w wyższych duchowych sferach może się znajdzie rozwiązanie wielkich tajemnic. A jeśli tam nicość oczekuje? I w takim razie nie cofnie się Faust. Poczucie godności własnéj, wynik podniosłych aspiracyi ducha ludzkiego, nie pozwala znosić całéj nędzy żywota ziemskiego:

Czas dowieść czynem, że mężczyzny godność
Nie ustępuje dostojności bogów.

Tak więc czyn samobójstwa umotywowany jest przez wyłączne panowanie uczuć rozpaczy i zwątpienia w duszy Fausta: beznadziejny pesymizm, przenikający całą jego istotę, przedstawiony z taką siłą i żywością, iż samobójczy zamiar występuje jako psychologiczna konieczność.

Lecz oto nagle nadaje poeta nowy i niespodziany zwrot akcyi. Śpiewy religijne, głoszące zmartwychwstanie Chrystusa, wytrącają z rąk Fausta zatrutą czarę. Jednak nie uczucia religijne go wstrzymują:— to dawno on postradał. Ale z dźwiękami tych świętych pieśni łączą się wspomnienia szczęśliwych czasów dzieciństwa, z nimi budzi się przywiązanie do życia i natury.

Ta pieśń w młodości była mi zwiastunką
Igraszek i obchodu wiosny lubéj;
Dziś pamięć staje się mą opiekunką,
Co mnie wstrzymuje od stanowczej zguby.

Powyższa zmiana w ustroju duchowym Fausta jest konsekwentnym wynikiem jego organizacyi psychicznéj. Widzieliśmy już wyżéj, iż obok siły myśli wybitną jego cechą jest nader żywa wrażliwość. Tutaj ta ostatnia cecha występuje niezmiernie charakterystycznie. Pod wpływem silnie odczutego wrażenia powstają w jego duszy nowe uczucia, które ograniczają wyłączne panowanie poprzednich, przez co czyn samobójstwa, jako będący wynikiem wyłącznego panowania rozpaczliwych uczuć, staje się niemożliwy.

W następującéj teraz scenie *przechadzki* ta druga zmysłowo-wrażliwa strona natury Fausta okazuje się w całéj pełni. Faust, głęboki myśliciel, przedstawia się tutaj jako poeta, pełen zachwytu wobec budzącéj się ze snu zimowego przyrody. Widok wesołego tłumu, używającego przyjemności dnia świątecznego, wzbudza w nim żywe zajęcie jako typowy obraz życia; majestatycznie zachodzące słońce zapala jego wyobraźnię. Pod wpływem tych wrażeń nowe budzą się w jego duszy pragnienia: nieokreślona tęsknota do natury, żądza zespolenia się z nią, pragnienie wyższego bytu na jéj łonie. Te uczucia, oraz tlejąca jeszcze w jego umyśle żądza wzniesienia się do wyższych sfer duchowości wywołują fantastyczno-elegijny nastrój umysłu, wyrażający się w pragnieniu jakiegoś pośredniego bytu między niebem i ziemią.

Jeżeli duchy są w przestworach czystych,
Pomiędzy ziemią a niebem, w błękicie,
To niechże zstąpią z wyżyn promienistych
I w nowe, barwne mnie prowadzą życie.

Widzimy więc obecnie Fausta w stanie najwyższego naprężenia władz psychicznych. Siły zmysłowéj i duchowéj jego istoty wzmagają się do najwyższego stopnia, a żadna z nich nie może znaleść odpowiedniéj sfery działalności.

Rzeczywiście jest on teraz zawieszony między niebem a ziemią, między żądzą wyższego duchowego bytu, a przywiązaniem do życia i natury. Teraz to przystępuje do niego nowa siła, uosobiona w postaci Mefistofelesa, która ściąga go stanowczo na ziemię i nowy nadaje zwrot jego psychicznemu rozwojowi. Poznamy bliżéj w następstwie naturę téj siły.

Obecnie pozostaje nam jeszcze zastanowić się nad pewnemi żywiołami tragedyi, które pominęliśmy wyżéj, zajmując się wyłącznie charakterystyką głównego bohatera.

Przedewszystkiém ta wyborna postać Wagnera, która przez swój kontrast z Faustem tak znakomicie przyczynia się do uwydatnienia właściwości jego charakteru.

Wagner, to doskonały typ ograniczonego pedanta, człowieka ciasnéj głowy i poziomych pragnień. Podczas gdy Faust, idąc za popędem duszy, pragnie przekroczyć granice wiedzy ludzkiéj,—Wagner obraca się w mizernéj sferze swéj nauki, cały zajęty tylko tém, aby wszystkie kąciki i zaułki téj sfery jaknajsumienniéj przeszperać.

Faust w ciągłéj walce między wyższemi pragnieniami ducha a skłonnością do żywéj przyrody, Wagner nie zna wcale takich sprzecznych uczuć, nie pojmuje entuzyazmu Fausta dla natury, sądzi, że prędko można się przesycić widokiem pól i lasów ; zbutwiała atmosfera starych szpargałów milsza mu nad wiosenne powiewy.

Ten kontrast uwydatnia się szczególnie w scenie, rozdzielającéj dwie części wielkiego monologu. Na ograniczone uwagi Wagnera Faust odpowiada nadzwyczaj głęboką i trafną krytyką tego powierzchownego, formalistycznego traktowania nauki i sztuki, jakie właściwe jest ludziom w rodzaju Wagnera. Ten ostatni nie jest nawet w stanie zrozumiéć rzeczywistego znaczenia słów mistrza i zwyczajem ludzi ograniczonych, powtarza wciąż swoje, wynosząc tę zewnętrzną, powierzchowną stronę wiedzy, którą jedynie jest w stanie zrozumiéć.

Wobec prometeuszowych zapędów Fausta, ten ograniczony, bezmyślny szperacz książkowy, traktujący naukę jako rzemiosło, stanowi wyborny kontrast a zarazem uzupełnienie. Te dwa typy, Fausta i Wagnera, w pewnéj mierze streszczają w sobie najogólniejsze cechy działalności ludzkiéj w życiu i społeczeństwie. Biorąc bowiem rzecz bardzo ogólnie, możemy rozpatrywać naturę człowieka pod dwojakim względem. Najprzód jest on osobnikiem, mającym swój własny, odrębny zakres rozwoju, polegającego na wszechstronném wydoskonaleniu ogółu właściwych mu sił fizycznych i psychicznych; następnie jest on jednostką społeczną, mającą za zadanie rozwinąć w sobie pewne szczególne władze, umożliwiające dokładne wypełnienie przypadającego jéj w udziale zakresu ogólno - społecznéj pracy. Pogodzenie tych dwóch dążności rzadko daje się całkowicie osiągnąć ; zwykle przeważa jeden lub drugi charakter w rozwoju : rozproszenie sił w nadmiernéj wszechstronności, lub téż zamknięcie ich w ciasnéj sferze jednego zawodu, zamieniające człowieka w bezmyślną maszynę. Otóż Faust i Wagner stanowią krańcowe typy tych dwóch kierunków. W życiu widzimy pomiędzy temi krańcami mnóstwo pośrednich typów, które mniéj lub więcéj do nich się zbliżają. Oczywiście, więcéj zawsze Wagnerów niż Faustów. Zachodzi teraz pytanie: Jakie jest społeczne znaczenie tych dwóch typów ?

Ostatecznie, biorąc rzecz ze stanowiska utylitaryzmu społecznego, przyznać trzeba, że typ Wagnera więcéj wart niż typ Fausta

w danéj fazie jego rozwoju: Faust w teraźniejszym nastroju psychicznym, wobec zwątpienia i niewiary panujących w jego duszy, niezdolny jest do żadnéj użytecznéj działalności,—sumienny i akuratny Wagner, pełen wiary w każdą powagę, może być bardzo użytecznym pracownikiem w swoim mizernym zakresie. Tylko właśnie w tém rzecz, iż obecny stan psychiczny Fausta jest tylko jedną fazą jego rozwoju, podczas gdy zakres rozwoju Wagnera już zamknięty:—słaby jego umysł nigdy się nie wzniesie poza ciasną sferę zawodu; bezmyślna rutyna zawsze będzie główną sprężyną jego działalności.

Społeczeństwo, składające się z samych Wagnerów byłoby olbrzymią maszyną, niezdolną do życia i rozwoju. Że zaś społeczeństwo nie jest mechaniczną całością, lecz żywą organizacyą,—a istotną cechą życia jest rozwój i postęp: więc istnieć w niém muszą typy faustowskie, umysły wyższe, dążące ciągle do wzniesienia się ponad zakres swéj sfery, żądne samodzielnéj i twórczéj działalności, któraby nowe otwierała horyzonty, nowe wskazywała kierunki i drogi rozwoju. Działalność jednak każdéj jednostki społecznéj o tyle tylko może mieć dodatnie rezultaty o ile jest wynikiem współdziałania sił psychicznych w jednym, określonym kierunku. To ostatnie zaś możliwe jest jedynie wskutek pewnéj równowagi i ustosunkowania w rozwinięciu władz wewnętrznych, czyli wskutek osiągnięcia, lub zbliżenia się do pewnego stałego normalnego punktu rozwoju. A prawem jest ogólném w całéj naturze, iż każdy wyższy typ życiowy dłuższego potrzebuje czasu do osiągnięcia pełni swego rozwoju i większym podlega niebezpieczeństwom zboczenia z właściwéj drogi. Orgranizmy niższe rozwijają się prędzéj od wyższych i mniejszym podlegają zboczeniom. Podobnie ludzie ograniczonego umysłu prędko stosunkowo dochodzą do kulminacyjnego punktu rozwoju i zazwyczaj nie zbaczają z raz obranego kierunku, nie doświadczają wahań i niepewności w swych dążeniach. Przeciwnie ludzie rozległego umysłu, bogatszéj natury nieraz błądzą i zbaczają ze swéj drogi: starcia pomiędzy różnemi szeregami prądów umysłowych w różne popychają ich strony i utrudniają, lub czynią niemożliwym normalny rozwój psychiczny. O ile pomimo tych wszystkich wahań i zboczeń może człowiek dojść, na drodze samodzielnego rozwoju, w pośród ogólnych warunków życia, do pewnéj wewnętrznéj równowagi i harmonii duchowéj—to jest właśnie kwestya, na którą odpowiedź ma się znajdować w dalszéj osnowie Fausta.

Podobnie jak Wagner jest przeciwstawieniem Fausta w sferze dążeń umysłowych, tak w całym owym barwnym tłumie, który poe-

ta wprowadza w scenie przed bramą miejską, widzimy przeciwstawienie pragnień jego w sferze zmysłowego użycia i szczęścia.

Scena ta stanowi prześliczny rodzajowy obrazek, przedstawiony z przedziwną plastyką i realizmem. Występuje tu niezmiernie charakterystycznie ów prosty, wesoły ludek miejski, który całą duszą pogrąża się w uciechach dnia świątecznego, dla którego wycieczka za mury miejskie, odświętny strój, trochę śmiechu i krzyku jest już najwyższą przyjemnością. Oto przesuwają się przed nami najrozmaitsze postacie: rzemieślnicy, mieszczanie, studenci, dziewczęta, żołnierze. A każdy przemawia właściwym sobie językiem; krótkie urywki rozmów zmieniających się ciągle grup charakteryzują dosadnie różne typy. Cały ten różnobarwny tłum porusza się w różne strony, miesza, przewija: istny kalejdoskop życia w całym jego realizmie.

Ten obraz wesołości i zadowolenia świątecznych tłumów w żywéj pozostaje sprzeczności z nastrojem umysłowym Fausta. Jednak sprzeczność nie leży tu w naturze uczuć, lecz w ich stopniu. Faust, jak wiemy, pełen jest przywiązania do życia i natury, pragnie żywo szczęścia i rozkoszy, lecz może on znaleść zadowolenie i szczęście tylko w wyższych objawach życia. Ta sama natura, te blaski promienne słońca, które są uciechą gminu, i w duszy Fausta żywe budzą uczucie. Lecz jakże ogromna różnica w stopniu i rozległości tych uczuć? Dla gminu wystarcza aż nadto ta cząstka natury, która go bezpośrednio otacza. Jasny wesoły dzień wiosenny, ciepło słoneczne, świeże powietrze — oto wszystko, co czuje on i widzi w naturze. Jakże odmiennie Faust zapatruje się na nią! On pragnie całą przyrodę ogarnąć swém uczuciem, czuje się silny „ziemi ból i ziemi radość znosić"; w poetyczném rozmarzeniu chce wznieść się do jakichś niedościgłych wyżyn bytu: za słońcem lecieć i poić się blaskiem jego wiekuistym. Obecnie uczucie Fausta dla natury wyraża się tylko w takich poetycznych marzeniach i tęsknotach; w obecnych warunkach bytu nie może on znaleźć określonego przedmiotu tych uczuć i pragnień. W następstwie ujrzymy ich urzeczywistnienie.

Streszczam teraz w paru słowach rezultaty powyższego rozbioru wprowadzonych dotąd na scenę objawów i typów życia.

Faust to natura ludzka w całém bogactwie swych rozlicznych władz, w dążeniu do coraz wyższego udoskonalenia i rozwoju. Życie ludowe reprezentuje niski i ograniczony stopień bytu psychicznego, w którym władze, będące produktem wyższego rozwoju, w zarodkowym zaledwie ukazują się stanie. Wreszcie Wagner—to typ ograniczenia i jednostronności, nacechowany brakiem wszelkiego indywidualizmu, wszelkich wybitniejszych znamion człowieczeństwa.

Nadto zauważyć należy, iż tak postać Wagnera, jak ogół typów ludowych mają tylko epizodyczne znaczenie: nie grają żadnéj roli w rozwoju akcyi zasadniczéj, żadnego na nią nie wywierają wpływu; służą tylko dla podniesienia przez kontrast cech charakterystycznych głównego bohatera.

II. Przeczenie.

Zostawiliśmy Fausta w stanie wewnętrznego naprężenia sprzecznych sił psychicznych, z których każda dąży do wywarcia na zewnątrz swego działania. W obec tego należy przewidywać, iż ta z pomiędzy nich, która zostanie wzmocnioną przez wpływ czynników zewnętrznych, otrzyma stanowczą przewagę i zdecyduje kierunek dalszéj działalności Fausta. Te zewnętrzne czynniki występują uosobione w postaci Mefistofela. Ażeby więc zrozumiéć dalszy przebieg akcyi, musimy zbadać naturę i charakter téj nowo-wprowadzonéj postaci.

Wiadomo, że Mefistofel występuje téż w legendzie o Fauście; stamtąd zaczerpnął Goethe pomysł swéj kreacyi. Jednakowoż, podobnie jak charakter bohatera głównego uległ zasadniczéj zmianie w opracowaniu Goethego,—i owa postać dyabła-kusiciela w tragedyi wielce się różni od swego pierwowzoru z legendy.

Mefistofel w legendzie jest to dyabeł w téj postaci, w jakiéj go sobie wyobrażała fantazya ludowa pod wpływem dogmatu religijnego. Wiadomo zaś, iż dogmatyka religijna przedstawiała w osobie szatana pierwiastek złego w życiu i naturze. Jako taki, jest on wiecznym nieprzyjacielem Boga, przeciw wszechmocy którego podniósł bunt zuchwały; miota się w bezsilnéj walce, sprzeciwiając się ciągle woli bożéj i dążąc do unicestwienia wszystkiego, co z woli téj powstało. Jest to więc duch wiecznego sprzeciwieństwa, „wróg wszelkich utworów bożych, a przedewszystkiém człowieka, którego, jako najdoskonalsze dzieło boże, ciągle zgubić usiłuje. Wyobraźnia ludowa, dążąc do wyrazistszego uzmysłowienia téj personifikacyi złego, nadałą szatanowi pewną zewnętrzną postać, pewne znamienne cechy, które były wynikiem bądź idei zawartych w dogmacie, bądź dalszego ich rozwinięcia i przetworzenia, w których wreszcie nie obeszło się bez przymieszania jakichś zabytków prastarych wierzeń pogańskich.

Poeci, przedstawiając artystycznie postać szatana, brali różne cechy z dogmatu religijnego i ludowéj legendy, zmieniając je i uzupełniając własnemi dodatkami, stosownie do pojęć, które w téj postaci chcieli uzmysłowić.

Dla lepszego uwydatnienia postaci szatana w poemacie Goethego, przytoczę tu kilka przykładów najznakomitszych demonicznych kreacyi, z których zobaczymy najgłówniejsze sposoby pojmowania demonizmu dyabła chrześciańskiego.

Dante przedstawił postać szatana zupełnie w duchu tradycyi religijnéj, jako uosobienie wszelkiéj potworności moralnéj i fizycznéj, ducha nienawiści, będącego ostatecznėm przeciwstawieniem miłości bożéj, ożywiającéj i poruszającéj świat cały; Milton pojął go więcéj w duchu biblijnym, jako buntowniczego anioła, pełnego jednak tragicznéj wzniosłości; Krasiński w swoim Irydionie przedstawił go także w duchu biblii; jednak cecha buntu mniéj tu jest uwydatniona, więcéj zaś cierpienie będące jego następstwem: Massynisa to posągowa postać ze znamieniem wiekuistéj starości na czole, pełna głębokiego smutku i spokojnego tragizmu. Na tradycyi biblijnéj oparł się téż Byron, przedstawiając Lucifera w Kainie; ale postać biblijnego szatana wziął on tylko jako zmysłową formę, w któréj wyraził swoje własne uczucia i pogląd na świat, mianowicie: uczucie głębokiego smutku w obec jego nędzy i cierpienia. Lucifer to upadły anioł, który został strącony z nieba dlatego, że nie chciał się poddać wszechmocnéj potędze, która, stwarzając świat, skazała go na wieczne cierpienie; nie walczy on z Bogiem, lecz, z głębokiem uczuciem smutku, wskazuje wszędzie nędzę i cierpienia wszystkich istot stworzonych. Jest to więc duch negujący wszelkie istnienie, ale negacya jego umotywowana jest nie demonicznym antagonizmem z wolą bożą, lecz przeświadczeniem o niedoskonałości i nędzy wszystkiego co istnieje.

Zobaczmy teraz, jakim jest szatan Goethego. Dominującą w nim cechą jest także przeczenie: sam on się przedstawia Faustowi, jako duch, który zawsze przeczy. Jednakże przeczenie jego zupełnie odmienny ma charakter od przeczenia Lucifera: w Mefistofelu niema ani śladu uczucia, które widzimy w Luciferze; jest to zimny szyderca, który nielitościwym swym sarkazmem chłoszcze wszystkie objawy bytu. Z tego względu Mefistofel Goethego zbliża się więcéj do szatana legendy, który także, jako duch wiecznego sprzeciwieństwa i opozycyi przeciw Bogu, często walczy bronią szyderstwa. Jednakowoż podobieństwo to jest bardzo powierzchowne. Szatan legendowy neguje to tylko, co istotnie jest dobre; przeciwnie szatan Goethego często bardzo swoim sarkazmem uderza na rzeczywiście ujemne objawy w życiu i działalności ludzkiéj. W ogóle stara się on okazać zawsze ujemną stronę każdéj rzeczy, a wiadomo, iż w tym naszym niedoskonałym świecie, obok dodatnich, wszędzie prawie znajdują się ujemne objawy; zawsze jest odwrotna strona medalu.

Otóż Mefistofel, o ile wyszydza i ośmiesza objawy ujemne, zasługujące rzeczywiście na to, jest wyobrazicielem zdrowéj, rozumnéj krytyki. Tylko, że ta krytyka jest jednostronna, wyłącznie ujemna, podczas gdy rzeczywistém zadaniem sądu krytycznego jest wszechstronne ocenienie rzeczy, a zatém wykazanie tak ujemnych jak i dodatnich ich stron. Ale wiemy, iż taka krytyka tylko w wyższéj działalności naukowéj może się pojawić; zazwyczaj zaś, w stosunkach społecznych, krytyka występuje jako objaw dążności negatywnéj przeciw istniejącemu stanowi rzeczy, którego byt opiera się na bezwzględnéj, niekrytycznéj wierze i uznaniu autorytetu. Wskutek tego sąd krytyczny ogólno-społeczny dąży przedewszystkiém do podniesienia ujemnych stron rzeczy i stąd to w mniemaniu powszechném z pojęciem krytyki łączy się zawsze coś ujemnego.

Są epoki, kiedy ta dążność krytyczna występuje ze szczególną siłą: mianowicie, dzieje się to wtedy, gdy istniejące stosunki bytu społecznego tracą swą żywotną siłę, stają się nieodpowiednie dla dalszego rozwoju. Wiadomo, że czasy nowożytne są właśnie jedną z tych epok: krytycyzm stanowi wybitną ich cechę Jest to naturalną konsekwencyą tych wielkich przeobrażeń, które oddzielają nowożytną epokę od średniowiecznéj. W średnich wiekach, stosunki społeczne, dążenia ludzkie skrystalizowane były w ścisłe formy organizacyi kościelno-politycznéj; w następstwie czego panowała wówczas bezkrytyczna wiara i powaga autorytetu we wszystkich sferach społecznéj działalności. Następnie, gdy wskutek cywilizacyjnego rozwoju, istniejący w średnich wiekach układ stosunków społecznych utracił swą wewnętrzną żywotność i częściowemu uległ rozkładowi; w tym rozkładowym procesie duch negacyjnéj krytyki oczywicie wybitną odegrał rolę, pod jego działaniem upadała powaga autorytetów, myśl ludzka wyswobadzała się z krępujących ją powijaków. Pierwszemi objawami tego prądu krytycznego były żywioły opozycyi w reformacyi przeciw powadze kościelnéj w sferze religijnéj, w humanizmie przeciw powadze scholastyki w filozofii i sztuce. Od tego czasu krytycyzm zyskał prawo obywatelstwa w umysłowej działalności ludów europejskich i występował wielokrotnie w różnych momentach i w różnych sferach społecznego bytu: w filozofii, sztukach, polityce, stosunkach socyalnych i ekonomicznych itp. Szczególnie zaś gwałtownie on wystąpił w racyonalizmie XVIII wieku i w końcu wybuchnął w rewolucyi francuskiéj namiętnym protestem przeciw całemu porządkowi społecznemu.

Widzieliśmy poprzednio, jak charakter życia nowożytnego odbił się w uczuciach i dążeniach Fausta:—teraz wprowadza poeta nowy żywioł tego życia w negacyjnych dążeniach Mefistofela. W Fau-

ście odbija się duch ludzkości nowożytnéj w całéj wszechstronności swych objawów, w całéj rozległości swych uczuć, pragnień i dążności; w Mefistofelu występuje pewien wyłączny, jednostronny szereg umysłowych objawów ducha ludzkiego w ogóle, a ducha epoki nowożytnéj w szczególności. Czynnik negacyi, rozproszony w umysłowéj atmosferze ludzkości i pojawiający się częściowo w pojedynczych objawach psychicznéj działalności jednostek, został przez Goethego wyosobniony, skupiony, że tak powiem, i uzmysłowiony w postaci Mefistofela. Mefistofel Goethego jest to więc krańcowy typ krytyki sceptyzmu i szyderstwa,—postać legendowego szatana jest zewnętrzną powłoką, alegoryą, w któréj uzmysłowione są te właściwości i dążenia ducha ludzkiego. Ostatecznie, szatan z dogmatu i legendy jest także niczém inném jak zmysłowym symbolem, jest on uosobieniem pierwiastku zła w naturze i duszy ludzkiéj, podobnie jak Mefistofel Goethego—pierwiastku krytyki i negacyi. Tylko, że w fantazyi ludowéj powstała postać szatana nieświadomie, jedynie wskutek niemożności zrozumienia pewnych objawów bez przypuszczenia wpływu jakiejś demonicznéj woli; wskutek tego postać ta nie mogła otrzymać ściśle określonego kształtu, lecz tylko mgliste jego kontury, nie może zatém stanowić skończonéj artystycznéj kreacyi. Przeciwnie poeta, tworząc świadomie, dążąc do uzmysłowienia w swéj kreacyi ściśle określonego ogółu pojęć i wyobrażeń, nadaje jéj jasny i skończony kształt artystyczny. W każdym razie jednak legenda dostarcza poecie pierwowzoru jego kreacyi, daje mu ogólne jéj kontury. Duch negacyi nie mógł bowiem być uzmysłowiony w jakiejś ludzkiéj postaci,—w negacyi wziętéj abstrakcyjnie jest coś antyludzkiego, demonicznego; istotą życia jest dążenie do czegoś pozytywnego; negacya sama przez się nie może stanowić głównéj treści charakteru człowieka; nie może miéć w nim umotywowania psychicznego:—gdy tymczasem w postaci szatana znajduje ona to umotywowanie w przypisywanéj mu przez wyobraźnię ludową nienawiści do całego świata, jako utworu woli bożéj.

Że w postaci Mefistofela nie chodziło Goethemu tylko o artystyczne odtworzenie wyobrażenia ludowego, to jest aż nadto widoczne. Gdybyśmy chcieli w ten sposób pojmować Mefistofela, wtedy znalazłoby się w poemacie wiele ustępów zupełnie sprzecznych z sobą. I tak, wiemy, że Faust jestto człowiek naszych czasów, wolny od wszelkich średniowiecznych przesądów; zaraz na początku wielkiego monologu powiada on, iż nie lęka sie piekła ani dyabła. Nawet w scenie kontraktu, kiedy dyabeł stoi osobiście przed nim, wypowiada swoje wątpliwości co do życia przyszłego:

O jakieś *tam* nie troszczę ja się wcale.....
Nie ziębi mnie to, ani grzeje,
Czy kędyś miłość, czy nienawiść tleje
I czy w przyszłego bytu kole
Jest kto nagórze, czy nadole.

Podobnych ustępów możnaby więcéj przytoczyć;—byłyby one zupełnie niewłaściwe, gdyby postać Mefistofela miała być odtworzoną w duchu wyobrażeń ludowych, gdyż w takim razie brakłoby jednolitości w charakterze całego przedstawienia. Ponieważ jednak nie chodziło tu wcale o dyabła ludowego, lecz tylko o uzmysłowienie pewnych abstrakcyjnych pojęć, więc poeta zupełnie sobie dowolnie poczynał z materyałem legendowym, posługując się nim tylko o tyle, o ile to dla uzmysłowienia rzeczy było potrzebne, nie troszcząc się zaś wcale o zachowanie iluzyi w całości przedstawienia. Zresztą cały sposób traktowania roli Mefistofela potwierdza powyższy pogląd:— wszędzie, gdzie występuje on w charakterze legendowego dyabła, traktuje poeta jego rolę w sposób żartobliwy, ironiczny, wskazujący, iż nie chodzi tu na seryo o przedstawienie wyobrażeń ludowych. Wreszcie, jak słusznie zauważył Düntzer, jeden z komentatorów Fausta, sam kontrakt z dyabłem nie gra żadnéj istotnéj roli w rozwoju akcyi: służy on tylko dla ożywienia jéj, nadania zmysłowego pozoru; rozwój akcyi i jéj ostateczne rozwiązanie zupełnie jest od niego niezależne, co w swoim czasie szczegółowo postaram się okazać.

Düntzer, który bardzo trafnie określił stosunek Mefistofela Goethego do jego legendowego pierwowzoru, wyraził jednak pogląd bardzo powierzchowny na ogólne jego stanowisko w tragedyi, mianowicie uważa on, że Mefistofel jest uzmysłowieniem dzikich, zmysłowych namiętności Fausta. Pominąwszy już to, iż takie zewnętrzne usymbolizowanie wewnętrznych, indywidualnych uczuć ludzkich byłoby dosyć niefortunnym pomysłem, — zwrócić należy uwagę na to, iż zmysłowość nie stanowi głównéj cechy charakteru Mefistofela. Prawda, że występuje ona dość wybitnie pomiędzy innemi własnościami jego natury, ale oczywiście, nie jest tém, co najwięcéj zwraca naszę uwagę: najwięcéj przecież uderza nas w Mefistofelu ta niezrównana satyryczna werwa, dowcip, humor, ironia, których nigdy pono żadna kreacya poetyczna nie posiadała w tak znacznéj mierze i w tak doskonałym gatunku. Naturalną jest więc rzeczą, iż krytyka przedewszystkiém te cechy powinna podnieść w postaci Mefistofela; tymczasem Düntzer, rozwodząc się szeroko nad jego lubieżnością, zaledwie mimochodem wspomina o zawartym w nim pierwiastku satyrycznym. Poniżéj się przekonamy, iż zmysłowość, lubieżność, cynizm Mefistofela są tylko naturalną konsekwencyą głównéj jego cechy: przeczenia.

Pomimo jednak tego abstrakcyjnego charakteru roli Mefistofela, umiał Goethe, dzięki swemu poetycznemu geniuszowi, przedstawić ją z niezrównaną plastyką i żywością zmysłową. Stało się to głównie wskutek bardzo umiejętnego zużytkowania i połączenia w charakterze Mefistofela różnorodnych żywiołów psychicznych. Każda bowiem kreacya poetyczna tém żywiéj i plastyczniéj nam się przedstawia, im charakter jéj jest bardziéj złożony i im różnorodniejsze są składowe jego elementa; wtedy bowiem różnostronniéj i wyraziściéj daje się poznać, co jest właśnie warunkiem plastyczności wrażenia. W charakterze Mefistofela spotykamy najprzód żywioły zaczerpnięte z legendy i bardzo żywo odtworzone: złośliwość dyabelska, przewrotność, wykrętna sofistyka; daléj owe cechy, które głównie określają stanowisko Mefistofela w tragedyi: rozumna krytyka, humor, sarkazm, ironia, dowcip; nadto: lubieżność, cynizm, sceptycyzm,— a wszystko to przyodziane w zmysłowe znamiona, któremi wyobraźnia ludowa obdarzyła postać szatana, a które użyte z niezmiernym humorem i dowcipem wielce ożywiają akcyą i nadają jéj bardzo wybitny, zmysłowy pozór. Dzięki temu, pomimo abstrakcyjnego swego charakteru, Mefistofel jest jedną z najplastyczniejszych i ożywionych kreacyi poetycznych.

Przystępując teraz do szczegółowego rozbioru roli Mefistofela, należy nam się cofnąć do prologu w niebie, w którym się ona rozpoczyna. Prolog ten jest, jak wiadomo, naśladownictwem początku księgi Hioba. Podobnie jak tam szatan staje przed Panem pomiędzy aniołami i otrzymuje pozwolenie kuszenia człowieka, aby go z prawéj drogi sprowadzić; słowa, któremi przemawia Pan do szatana, są w części parafrazą tekstu biblii. Przedstawienie jednak charakteru Mefistofela zapowiada nam już jego rolę w tragedyi. W odpowiedziach swoich zdradza on ten szyderczy pogląd na świat, sarkazm i humor, które stanowią jądro jego charakteru: wyszydza wysokie dążenia i aspiracye człowieka, podnosi humorystycznie sprzeczność pomiędzy niskiemi instynktami jego natury i zapędami ku duchowéj doskonałości; człowiek wydaje mu się jakąś istotą chybioną i nieudaną, cała jego działalność — śmieszną i niedorzeczną. Tutaj więc mamy już zaznaczone to zaprzeczne stanowisko Mefistofela wobec dążeń ludzkich. Równocześnie jednak okazuje się i dodatnia strona jego roli, oraz właściwe znaczenie reprezentowanego przez niego żywiołu: „Tobie podobni nigdy mi wstrętni nie byli“ — mówi Pan; a następne jego słowa pouczają, iż działalność tego szatana-kusiciela zmierzać musi w ostatecznym swym rezultacie do spełnienia zamiarów bożych. Dążność człowieka łatwo omdlewa, dlatego dany mu jest towarzysz, który drażni, pobudza i jako szatan musi tworzyć.

Tutaj aż nadto wyraźnie wskazane jest znaczenie rzeczywiste owego ducha negacyjnéj krytyki, reprezentowanéj przez Mefistofela: jakkolwiek jest to siła ze swéj natury ujemna, o ile jednak negacyjny jéj wpływ dotyka objawów bezdusznéj, inercyjnéj działalności człowieka, staje się ona pobudką i bodźcem ożywiającym ducha ludzkiego, siłą czynną i dodatnią, która umożliwia człowiekowi ciągłe postępowanie naprzód i doskonalenie się. Takim sposobem ten duch wiecznego sprzeciwieństwa i negacyi jest jednym z organów, za pośrednictwem których urzeczywistnia się na ziemi wyższa idea, objawiająca się w działalności i dążeniu człowieka i w takiém znaczeniu ta siła negacyjna musi w swoim zakresie twórczo działać.

Tutaj miejsce zwrócić uwagę na styl prologu w niebie. Zarzucano tu poecie bluźnierczy nieprzystojny ton. Zapewne, jest w tém nieco słuszności: istotnie sposób przedstawienia Boga jest tu nieodpowiedni naszemu pojęciu o jego naturze i wielkości. Z drugiéj strony jednak można słusznie zapytać: w jaki sposób miał tu Goethe traktować przedmiot? Nigdyby wyobraźnia poetycka nie mogła stworzyć symbolów, któreby odpowiadały idei Boga, właściwéj umysłowi ukształconemu: można było tylko uzmysłowić jego postać w duchu prostackiéj, naiwnéj wiary; dlatego też napisał Goethe swój prolog w stylu średniowiecznych legend. Wszak po wszystkie czasy używali poeci symbolów ludowych dla uzmysłowienia swych pojęć?— w Fauście jest to tém więcéj na miejscu, że w całym poemacie wyobrażenia średniowieczne służą za zmysłową szatę idealnéj jego treści. Zresztą sposób przedstawienia Boga jest o wiele szlachetniejszy u Goethego niż w średniowiecznych mysteryach: zbliżony więcéj do biblii, z któréj, jak wiemy, wzięty jest główny pomysł prologu.

Przechodzę teraz do czynnego wystąpienia Mefistofela w życiu Fausta. Dla wprowadzenia go do akcyi używa poeta środków znajdujących się w legendzie: Mefisto ukazuje się Faustowi w postaci czarnego pudla, Faust poznawszy demoniczną naturę psa, za pomocą magicznych zaklęć, zmusza szatana do ukazania się w naturalnéj postaci. Pierwsze wystąpienie Mefistofela i dyalog jego z Faustem traktowane w sposób pełen humoru i dowcipu. Słowa, któremi Mefistofel określa swoję naturę, jako „część siły, co zawsze złego chce, a zawsze dobre działa“ — potwierdzają określenie jego stanowiska w prologu. Daléj w wykrętném tłómaczeniu natury światła i ciemności, oraz w humorystycznéj skardze na ten niezdarny świat, przeciw dążeniu do bytu którego biedny dyabeł nic poradzić nie umie, zawierają się nadzwyczaj zręczne sofizmata, charakteryzujące demoniczną naturę Mefistofela, a wyrażone z niezrównanym dowcipem, pełnym naturalności i swobody.

Wogóle, w całéj téj scenie nagromadził Goethe mnóstwo materyału legendowego, który przetworzony został artystycznie w najwytworniejszym smaku w sposób pełen delikatnych odcieni i subtelności. Zauważyć należy, w jaki sposób poeta tak w téj scenie, jak i w następnych rozwinął cały ten aparat cudowności, który otacza Mefistofela i stanowi zewnętrzną, zmysłową powłokę akcyi, oraz poetyczną jéj ornamentacyą. Ten świat duchów i czarów przedstawił Goethe z taką powiewną lekkością, otoczył go takim czarem poezyi, iż stanowi on jednę z największych ozdób poematu. W téj scenie zwrócę tylko uwagę na ów prześliczny śpiew duchów niewidzialnych, który uzmysławia marzenia śpiącego Fausta, będące następstwem czaru: w ulotnych, dźwięcznych wierszach przesuwają się tu jakieś powietrzne obrazy, zasnute mgłą tajemniczą, zachodzące wzajemnie w siebie i oddające wybornie charakter sennego marzenia. Ta cudowność służy za poetyczne ramy, w których Mefistofel rozwija swą działalność, podbudzając, za pomocą czarodziejskiéj ułudy, zmysłowe pragnienia Fausta.

W następnéj scenie rozwinięty jest daléj legendowy żywioł poematu w układzie z Mefistofelem. Że ten układ nie ma istotnego znaczenia w rozwoju akcyi, o tém już wyżéj wspomniałem. Istotną rzeczą jest tu dalszy rozwój stanów uczuciowych Fausta, będący wynikiem poprzedniego jego nastroju psychicznego oraz wpływu Mefistofela. Zauważyłem na początku niniejszego rozdziału, że—wobec stanu w jakim się Faust znajduje, w chwili wystąpienia Mefistofela—dalszy rozwój jego psychiczny zależny będzie od wpływu zewnętrznych czynników, które mogą zapewnić przewagę jednéj z sił psychicznych działających w jego łonie. Otóż teraz w postaci Mefistofela poznaliśmy naturę tych czynników. Mefistofel, w konsekwencyi swego negacyjnego stanowiska wobec wszelkich wyższych dążeń ludzkich, pobudza zmysłowość Fausta, aby, wciągnąwszy go w wir niskich rozkoszy, wykazać całą nędzę i ułomność natury ludzkiéj, która nie może się utrzymać na wysokości podniosłych dążeń, a ugrzęznąwszy w pospolitém błocie życia, ginie w niém nie znalazłszy trwałego zadowolenia i szczęścia. Z tego widzimy, iż wpływ Mefistofela na Fausta nie wynika z jego istotnie zmysłowéj natury, jak uważa Düntzer, lecz jest następstwem sceptycznéj negacyi, tkwiącéj w jego charakterze, szyderczéj pogardy, jaką on żywi dla natury ludzkiéj.

Przyjrzyjmy się teraz, jakie skutki ten wpływ wywiera w psychicznéj naturze Fausta. Zbudzony z ułudnych marzeń, wywołanych przez czary, powraca on do smutnéj rzeczywistości. Przekonanie o niemożności zaspokojenia pragnień i uczuć, przepełniających jego

łono, wtrąca go w najwyższą rozpacz: pierwszą propozycyą Mefistofela udania się w wir życia i uciech odtrąca, utrzymując, że nie ma dla niego szczęścia — tylko od śmierci oczekuje wybawienia z mąk życia. Poprzednio widzieliśmy Fausta w stanie zwątpienia i rozpaczy, teraz, wskutek wpływu Mefistofela, wybucha namiętném przeczeniem i przekleństwem bytu i wszelkich jego objawów. Tę chwilę podchwytuje Mefistofeles, ażeby wyczerpane rozpaczą psychiczne siły Fausta zwrócić w kierunku swoich zamiarów. Chór niewidzialnych duchów, w przepysznych strofach śpiewa na poły szyderczą, na poły żałosną skargę nad zburzonym w duszy Fausta pięknym światem uczuć i pragnień. Faust, pod wpływem czaru i wskutek przeświadczenia o bezużyteczności wszystkich swych dążeń, ulega namowom Mefistofela, aby w zgiełku i gwarze życia szukać zadowolenia swych żądz i popędów zmysłowych.

Jednak tutaj już możemy przewidywać, że duch przeczenia nie dopnie swego celu: Faust wypowiada głębokie przekonanie, iż nigdy nie spocznie w swoich dążeniach, nigdy nie poprzestanie na próżniaczém używaniu rozkoszy chwili. Taki moment upojenia rozkoszą i próżniaczego spoczynku stawia jako termin swego układu z Mefistofelem:

Gdy rzeknę kiedy do przelotnéj chwili:
Stań! piękna jesteś jak ułudy cień!
To już mnie w więzy zakuj swoje
I niech to będzie mój ostatni dzień.

Widzimy więc, że jakkolwiek cały układ z Mefistofelem jest tylko zmysłową powłoką rzeczywistéj akcyi, — jednak i w nim zawarł Goethe głębszą myśl społeczno-filozoficzną, wyrażającą zasadniczy motyw poematu: Faust w legendzie upada już w chwili i wskutek zawarcia układu z szatanem: dlatego czas trwania układu oznaczony jest pewną liczbą lat, w ciągu których zły duch ma wysługiwać się w zamian za zapewnione mu już posiadanie duszy Fausta; Goethe nie mógł przyjąć takiego przedstawienia układu, bo w nim daje się tylko poznać ograniczoność umysłu i pospolitość żądz bohatera, który, jak wszyscy ludzie ograniczeni, poświęca przyszłe dobro obecnemu zadowoleniu: dlatego to układ w tragedyi musiał całkiem inny otrzymać obrót. Tutaj sam układ z szatanem nie pociąga za sobą upadku i potępienia: bo ten szatan nie jest uosobieniem złego, lecz alegoryą negacyi i sceptycyzmu. Wtedy tylko upadek Fausta mógłby nastąpić, gdyby on, ulegając wpływowi tego czynnika negacyi, zrzekł się wszelkich wyższych dążeń, pogrążył się w apatyi i bezczynności. Ale upadek ten nie byłby wtedy wynikiem układu, lecz naturalną konsekwencyą praw rządzących życiem

i naturą ludzką. Istotą bowiem życia wogóle, a życia psychicznego człowieka, jako najwyższego jego objawu w szczególności, jest ciągła w niém czynność żywych sił, a w następstwie tego ciągły rozwój i postęp; więc ustanie téj czynności wstrzymanie rozwoju w jakiejkolwiek sferze życia równa się śmierci i upadkowi. Sferą bytu Fausta, jako reprezentanta człowieczeństwa, jest ogół stosunków moralno-społecznych. Życiem jednostek społecznych jest rozwój i postęp w téj sferze: te z nich, które pozostają w niéj bezczynne, żyją wprawdzie jako osobniki zwierzęce, mogą się przyczyniać do postępu sfer zwierzęcego życia, ale są martwemi rzeczami w życiu społeczném, są ludźmi tylko z kształtu i imienia. W takiém znaczeniu możliwym byłby upadek Fausta. Ale, jak już zauważyłem, możemy przewidywać, że ten upadek nie nastąpi: poznawszy bowiem poprzednio potęgę psychicznych sił Fausta, słusznie możemy powątpiewać, aby te siły mogły kiedykolwiek ustać w swéj działalności, ażeby Faust zagrzązł w bezdusznéj apatyi używania. Jednak Mefistofel nie może tego przewidziéć i cieszy się nadzieją pewnéj wygranéj, bo jest on reprezentantem tylko jednostronnego poglądu na życie; widzi jasno i dokładnie ujemne jego strony, ale niezdolny pojąć dodatnich.

Rozważmy teraz stan uczuć i dążeń Fausta, będący następstwem związku z Mefistofelem. Wiemy, że ogólném następstwem wpływu tego ostatniego jest zwrot pragnień Fausta ku naturze i życiu. Ale w jakim zakresie, w jakim szczególnym kierunku zwracają się te pragnienia? Oto sam Faust wypowiada nader żywo obecny stan swych uczuć:

Gdy zatraciłem wiedzy zapał boski,
Nie zamknę odtąd piersi dla cierpienia.
To, co ludzkości bywa tu udziałem,
Ja zawrzéć pragnę w mém jestestwie całém
I sięgać duchem nizko lub wysoko,
Jéj zła lub dobra w sercu strzedz głęboko
I własne *ja* w istnieniu jéj rozwinąć,
By tak, jak ona, wkońcu w gruzach zginąć.

Poprzednio w wielkim monologu widzieliśmy dążenia Fausta do poznania ostatecznéj prawdy, jego zapędy w sferze intelektualnéj działalności: teraz w zmysłowo-uczuciowych pragnieniach objawia się druga emocyonalna strona jego jestewstwa. Jednak jak poprzednio, przebywając w sferach abstrakcyi, nie stracił Faust uczucia dla żywéj natury, tak obecnie znów, rzucając się namiętnie na jéj łono, poddając się biernie jéj działaniu, zachowuje on właściwe sobie wysokie stanowisko umysłowe, które wyraża się w niezmiernéj rozle-

głości uczuć i pragnień, czyli w znacznym w nich udziale pierwiastku intelektualnego.

Już poprzednio, porównywając uczucie Fausta dla natury z tém, jakie dla niéj żywi gmin prosty, zaznaczyłem odmienny charakter nastroju uczuciowego w różnych fazach psychicznego rozwoju. Obecnie, wobec téj pełni uczuć Fausta i tak charakterystycznego ich objawu, może nie będzie bez interesu zdać sobie dokładniéj sprawę z przyczyn, dla których taki a nie inny jest ich charakter, zbadać jedném słowem psychologiczne zasady uczuciowego rozwoju Fausta.

W tym celu muszę na chwilę odstąpić od głównego przedmiotu i zwrócić się do ogólnych psychicznych praw umysłowości ludzkiéj.

Wedle powszechnie przyjętego poglądu w psychologii, rozwój umysłowy polega na wytwarzaniu się pewnych sił występujących w umyśle naszym w postaci wrażeń, uczuć i pojęć i t. d. Jak wszędzie w naturze, tak i w sferze zjawisk psychicznych panuje zasada jedności sił: wszystkie zjawiska psychiczne są rezultatem rozwoju czynności jednéj siły; wszystkie wywiązują się jedne z drugich i pozostają w ścisłym z sobą związku: od najprostszego wrażenia aż do najwyższych uczuć, pojęć i idei istnieje nieprzerwany łańcuch stanów przejściowych; wyższe stany odróżniają się od niższych większą ilością wchodzących w ich skład elementów. Wiadomo nam jednak, że w działalności psychicznéj istnieją dwie wielkie, napozór zupełnie różne sfery: intelektualna i emocyalna, czyli sfera pojęć i myśli, oraz sfera wrażeń i uczuć.

Wychodząc z zasady jedności sił psychicznych, musimy przypuścić, iż te dwie sfery nie mogą się różnić zasadniczo, iż muszą być w nich pewne wspólne elementa. Cała masa badań i dowodów nowoczesnéj psychologii przekonywa, iż tak jest istotnie. Nie będę się tu oczywiście wdawał w wyczerpujące wywody, przytoczę tylko w ogólnych zarysach pewien pogląd w téj mierze, którego prawdziwość każdy może dostrzec w wewnętrznéj obserwacyi swych własnych stanów psychicznych.

Jest to już dziś powszechnie przyjętym w psychologii pewnikiem, iż wszelkie nasze poznanie polega na dostrzeżeniu podobieństw i różnic między dwoma lub więcéj przedmiotami, wrażeniami zewnętrznemi i t. p. jedném słowem dwoma stanami umysłu. Te stany mogą to być albo wrażenia bezpośrednio z zewnątrz odebrane, czyli pewne sensacye, albo ślady tych reakcyi, tj. ślady wrażeń niegdyś odebranych, albo wreszcie komplikacya pewnéj ilości sensacyi: zawsze sensacya jest tu ostatecznym elementem, a sensacya należy oczywiście do sfery emocyonalnéj, do sfery uczuć i wrażeń. Z drugiéj znów strony oczywistém jest, iż, aby doświadczać jakiegoś

uczucia, trzeba posiadać świadomość tego uczucia; świadomość ta może posiadać mniejszy lub wyższy stopień, ale zawsze istnieć musi. Jeśli uczucie, dosięgając najwyższego stopnia, przytłumia absolutnie wszelką świadomość: wtedy ustaje też wszelka wrażliwość i uczucie; następuje stan omdlenia lub halucynacyi. Jedném słowem, aby coś odczuwać, trzeba być świadomym wrażeń; świadomość jest koniecznym warunkiem wszelkiéj czynności emocyonalnéj, a wiemy, iż świadomość należy do sfery intelektualnéj—sfery pojęć i myśli. Tak więc widzimy, iż w obydwóch sferach występują te same czynniki psychiczne. Różnica zaś pomiędzy niemi jest ta: iż w sferze intektualnéj dominującym żywiołem jest świadomość, polegająca na zmianie dwóch lub więcéj stanów umysłu,—w sferze zaś emocyonalnéj dominuje sensacya, będąca bezpośrednim wynikiem wrażliwości naszéj na bodźce zewnętrzne: w pierwszym razie umysł zachowuje się więcéj czynnie, bo stany psychiczne zostają tu pobudzone mniéj lub więcéj niezależnie od bodźców zewnętrznych; w drugim zaś biernie, gdyż wszelka działalność jego uwarunkowana jest bezpośredniéj wrażeniami zewnętrznemi.

Stopień rozwoju psychicznego zależy w ogóle od ilości znajdujących się w umyśle stanów psychicznych prostych, które, na mocy właściwych mu praw, łączą się w rozległe grupy pojęć, idei. Im wyższy stopień rozwoju umysłu, tém w każdéj jego czynności więcéj złożone występują stany, odpowiadające rozleglejszéj sferze zjawisk zewnętrznych; ponieważ zaś w czynnościach emocyonalnych występują też same stany psychiczne, co we wszystkich innych, tylko w bardziéj bezpośredniéj zależności od zewnętrznych wpływów: naturalną jest więc rzeczą, iż, w osobnikach wyżéj psychicznie rozwiniętych, działalność emocyonalna może być wywołana przez większą ilość, więcéj złożonych czynników zewnętrznych. W umyśle mało rozwiniętym pojedyncze, pospolite zjawiska wyczerpują działalność szczupłéj ilości jego sił psychicznych; przeciwnie naturę psychiczną bogatą, wysoko rozwiniętą, tylko bardzo złożone, typowe, ogólne objawy bytu mogą zadowolnić.

Powracam obecnie do właściwego przedmiotu. Może i tak zbyt długą była ta wycieczka w sferę psychologii; sądzę jednak, iż przyczynić się może do jaśniejszego i głębszego pojęcia obecnego nastroju psychicznego Fausta. Wobec powyżéj streszczonego poglądu, jasném jest, iż uczuciowe pragnienia Fausta muszą być proporcyonalne do jego poprzednich dążności w sferze intelektualnéj: podobnie jak poprzednio wiedzą swoją chciał on objąć całą naturę, tak obecnie chce ją ogarnąć uczuciem.

Wobec tych tytanicznych zapędów Fausta Mefistofel zachowuje się z właściwym sobie sarkazmem i wyszydza je nielitościwie; radzi mu udać się do jakiego poety, któryby go, podobnie jak bohaterów swoich poematów, obdarzył wszelkiemi możliwemi i niemożliwemi uczuciami i zamienił w chodzącą doskonałość. Przy téj sposobności dowcipnie wyśmiana przesada, jaka często się spotyka w nienaturalném idealizowaniu poetycznych kreacyi. W rezultacie Mefistofel radzi przedewszystkiém opuścić ciasną pracownię i jałowe spekulacye i wyruszyć na szeroki świat, na pełne morze życia. Wyborna jest uwaga, w której ośmiesza filozofów, kręcących się w zaklętém kole spekulacyi:

Powiadam ci: kto szpera nazbyt wiele,
Jest jako bydlę, które w błędném kole
Zły duch po wyschłym prowadzi rozdole,
A tam się wokół świeża trawka ściele.

Teraz więc Mefistofel, w charakterze bezwiednego czynnika, działającego w duchu wyższych praw,—oddaje pierwszą usługę Faustowi: odciąga go od bezpłodnych metafizycznych zaciekań, w których tyle wyższych umysłów zużywało daremnie swe siły i zwraca ku naturze i życiu, gdzie każdy głębszy umysł może znaleść tak wiele nauki, każdy człowiek żądny czynu—tak obszerne pole działalności.

Mefistofel, stosownie do swego poglądu na życie, sądzi, że, odciągnąwszy Fausta od dążenia do wiedzy i prawdy, już wygrał sprawę: zamierza wlec nieposkromionego ducha swéj ofiary przez dzikie orgie życia, przez płaską powszedniość, w której on uwięźnie i zginie na zawsze. Ale złośliwy sceptyk, w swéj jednostronności, nie wie o tém, że potok życia ma niebezpieczne wiry, groźne skały i błotniste topiele; ale ma także rozległe i czyste prądy, które unoszą człowieka ku wyższym celom. Faust rzuca się teraz w ten rwący potok życia; nieraz zagrzęznie w jego błotnistych kałużach i rozbije się o skały przeciwności,—ale, nie upadając na duchu, nie ustając nigdy w walce i dążeniu, wypłynie na czyste i jasne obszary, gdzie znajdzie ostateczny cel istnienia i rozwiązanie jego wielkiéj zagadki.

W rozważanym powyżéj ustępie tragedyi znajdują się jeszcze sceny epizodyczne, które jakkolwiek mało mają styczności z główną akcyą, wybornie jednak nadają się do rozszerzenia zakresu przedstawionych w niéj różnych stron życia, oraz do uwydatnienia pewnych cech głównych postaci tragedyi. Każda z tych cech posiada odrębne przymioty i w swoim rodzaju jest prawdziwém arcydziełem.

Najprzód ta sławna scena z uczniem, która należy do najświetniejszych ustępów roli Mefistofela. Tutaj to Mefistofel występuje jako przedstawiciel zdrowéj i rozumnéj krytyki. Znajduje on obszerne pole dla wywarcia swéj satyrycznéj werwy i gryzącego dowcipu, podnosząc i ośmieszając ujemne strony pedantycznéj i powierzchownéj nauki. Jakkolwiek, stosownie do czasu i miejsca akcyi, krytyka ta dotyczy bezpośrednio scholastyki średniowiecznéj,—jednak podniesione w niéj są tak ogólne ujemne właściwości i cechy różnych nauk, iż może ona być zastosowana również dobrze do każdéj epoki. Pedantyzm i bezmyślna rutyna bowiem zawsze, we wszystkich sferach działalności ludzkiéj, grają swoję rolę, gdyż zawsze istnieją umysły powierzchowne i ograniczone, które, niezdolne będąc do samodzielnego, głębszego objęcia przedmiotu, w bezmyślném powtarzaniu raz przyjętych formułek, w ślepém stosowaniu rutynicznéj metody widzą całą istotę nauki. Zresztą system scholastyczny nie upadł całkiem z końcem epoki średniowiecznéj: wprawdzie już w XVI wieku przestał on wyłącznie panować w nauce, ale wiele jego pojęć, zasad i metod przetrwało aż do naszych czasów w zmienionéj wprawdzie formie, ale z tą samą treścią i wartością.

Wiele z tych uwag satyrycznych, które tu Goethe przez usta Mefistofela wygłasza, poczerpniętych jest z własnych szkolnych wrażeń poety, o których mówi znacznie późniéj w „Wahrheit und Dichtung“ (Düntzer). Specyalnie krytyka jest tu zwrócona przeciw głośnéj za czasów Goethego idealistycznéj filozofii Wolffa. Do niéj się to zapewne odnosi ta kilkakrotna szydercza apologia wyrazów, które często tak doskonale zastępują w filozofii pojęcia.

Nie będę się tu szczegółowo zastanawiał nad trafnością satyrycznych uwag Goethego o prawie, logice, teologii, zwrócę tylko w ogóle uwagę na tę genialną bystrość umysłu, z jaką ocenił on słabe strony współczesnéj sobie nauki i dzięki któréj wzniósł się nad rozpowszechnione wówczas pojęcia i poglądy. Podnosiłem już to, iż Goethe był jednym z najdzielniejszych pionierów nowoczesnej nauki: podczas gdy współcześni mu myśliciele (jak np. jego przyjaciel Schiller) całkiem jeszcze byli pogrążeni w dosyć jałowych metafizycznych zaciekaniach,—Goethe zwrócił się do najpewniejszego źródła prawdziwéj nauki: do żywéj natury i w doświadczeniu, w obserwacyi jéj zjawisk szukał prawdy i wiedzy: wszedł on już wtedy na tę drogę, na którą w ostatnich dopiero czasach wkroczyła nowoczesna nauka. Przytaczam tu jako przykład uwagę Mefistofela o metafizyce:

Tam bacz, byś wniknął do jéj treści.
Co w mózgu ludzkim się nie mieści,

Co tli się w nim, albo-li nie tli,
To szumne słowo niby ci rozświetli.

Czy można dać trafniejszą a zarazem dosadniejszą definicyą metafizyki ze stanowiska nauki nowoczesnéj; wszak i współcześni filozofowie naturaliści, jak Spencer, Mill, Ribot itd. nieinaczéj się na nią zapatrują. Pomyślmy, że to było powiedziane wtedy, gdy jeszcze metafizyka wszechwładnie panowała nad umysłami, że jeszcze długo potém najzawołańsze w Niemczech głowy, jak Hegel, Schelling itd. snuły zuchwałe systemy metafizyczne, usiłując gwałtem pojąć to, co nie przystaje do mózgu ludzkiego.

Tyle o treści tych znakomitych uwag i myśli Mefistofela. Co do ich zewnętrznéj formy: to czyż trzeba wykazywać niezmierną żywość i plastykę ekspresyi? Tutaj właśnie szczególnie wybitnie występuje ten niesłychany talent plastyczny Goethego, dzięki czemu najwięcéj oderwane myśli wyrażone są w tak żywéj i dosadnéj formie, iż zdają się jak wyrzeźbione. Wszystkie te aforyzmy Mefistofela mają iście przysłowiową dosadność; nigdzie Goethe ani na chwilę niewpada w prozaiczność: zawsze jest wielkim myślicielem i wielkim poetą. Ta zdolność łączenia tych dwóch tak odrębnych kierunków umysłowéj działalności jest jedną z najbardziéj charakterystycznych cech geniuszu Goethego.

Scena w piwnicy Auerbacha to pełen humoru rodzajowy obrazek z wesołego życia knajpiarskiego, które, jak wiadomo, szczególniéj w Niemczech tak wielu ma zwolenników. Trzeba znać trochę życie i obyczaje studentów niemieckich, aby ocenić całą niezrównaną typowość téj wybornéj sceny. Zresztą nie trzeba tu koniecznie szukać studentów niemieckich: bo gdzież braknie ludzi, którzy sobie umieją życie lekko i wesoło urządzać? którym butelka wina, kilku wesołych koleżków i szczypta płaskiego dowcipu starczą za wszelkie uciechy i wybornie mogą czas zapełnić. Co do poetycznego przedstawienia téj sceny, to zaznaczyć należy wyborną charakterystykę owych czterech wesołych kompanów, niezmiernie ożywiony i charakterystyczny dyalog, oraz niezrównany, pełen swobody i naturalności komizm. Tutaj przychodzi mi na myśl uwaga, którą czyni Lewes z okazyi innego ustępu Fausta (mianowicie prologu na teatrze), że właśnie w takich drobnostkach, w traktowaniu takiego pospolitego przedmiotu zdradza się prawdziwy poetyczny geniusz: w uniesieniu poetycznem, wzbudzonem przez jakiś wzniosły przedmiot, i mierny talent wznosi się niekiedy do wyższéj doskonałości; ale tylko prawdziwy mistrz może w doskonały sposób przedstawić pospolitość. Przypomnę tu niektóre ustępy z Pana Tadeusza, w któ-

rych pospolitość przedmiotu stokrotnie jest okupiona niezrównanym artyzmem formy.

Mefistofel wprowadza Fausta w tę wesołą kompanią, aby mu pokazać jak lekko daje się żyć; jednak nie należy mu przypisywać intencyi wciągnięcia Fausta w tego rodzaju życie: wszakżeż sam je ośmiesza w jego oczach. Ale to też pamiętajmy zawsze, że nie trzeba brać zbyt seryo owéj kusicielskiéj roli Mefistofela: wiemy już, że ona jest tylko zewnętrzną powłoką rzeczywistego jego charakteru. W scenie téj nie chodziło poecie o przedstawienie jednego ze sposobów kuszenia Fausta, lecz o ukazanie pewnéj nowéj typowéj strony życia. Widzimy też, że w ciągu całéj téj sceny Faust zachowuje się zupełnie obojętnie, Mefistofel zaś jest zawsze złośliwym szydercą, który drwi sobie do woli z wesołego ludku.

Zupełnie odrębnego rodzaju epizodem jest scena w kuchni czarownicy. Poprzednio mieliśmy realistyczny obrazek z życia,—teraz dziwaczną poetyczną fantazyą, w stylu najwięcéj wybujałego romantyzmu, w któréj dowolnie pomieszane są najsprzeczniejsze żywioły. Najdziksze pomysły wyobraźni ludowéj, a obok tego wytworny dowcip i subtelna ironia; głębokie satyryczne myśli łączą się z zupełną niedorzecznością, grubym komizmem, błaznowaniem. A wszystko to owiane lekkim swobodnym humorem stanowi wielce oryginalną i piękną całość poetyczną. Scenę tę, przeniknięta duchem północnego romantyzmu, pisał Goethe w Rzymie, w ogrodzie willi Borghese, wśród klasycznych wspomnień i rozkosznéj południowéj natury. Wiadomo, że lubił on podobne sprzeczności; zapewne dlatego, aby nie poddawać się jednostronnemu wrażeniu i panować zawsze nad zewnętrznemi warunkami. Podobnie, pełną szalonéj wesołości scenę w piwnicy Auerbacha pisał w czasie bardzo bolesnych cierpień serdecznych, po zerwaniu jednego z najgorętszych stosunków miłosnych.

(*d. n.*) *Walery Gostomski.*





TOWARZYSTWA
POPIERANIA PRZEMYSŁU I HANDLU
W EUROPIE ŚRODKOWÉJ I POŁUDNIOWÉJ.

W zeszycie styczniowym „Ateneum“ daliśmy obraz ruchu na polu popierania przemysłu krajowego i handlu wywozowego we Francyi. Obecnie przedstawiamy czytelnikom dane, odnoszące się do tegoż przedmiotu, jakie zdołaliśmy zebrać dla krajów Europy środkowéj i południowéj. Podane przez nas wiadomości są może zbyt niezupełne, niekiedy nawet ogólnikowe, lecz tłómaczy nas z jednéj strony trudność zebrania bliższych szczegółów, z drugiéj — cel naszych artykułów, które nie roszczą wcale pretensyi do wyczerpującego studyum o rozbieranym przedmiocie, ale mają raczéj służyć za zachętę i pierwszą wskazówkę dla ludzi dobréj woli, którzyby zechcieli skorzystać z zagranicznych wzorów i zaprowadzić coś podobnego w kraju naszym. A rzecz to konieczna wobec tego, że przemysł nasz dziś jeszcze nie może się wcale mierzyć z zachodnio-europejskim, który jednakże ciągle żywo się krząta koło wszelkich możliwych ulepszeń i postępu, kiedy my prawie że zasypiamy na mniemanych laurach, zdobytych jakoby na wschodnich rynkach cesarstwa. Że te laury wątpliwéj wartości zaczynają już więdnąć pod wpływem współzawodnictwa przemysłu rosyjskiego, wiemy o tém wszyscy, czas więc już wielki wziąć się energicznie do łącznéj pracy, by i one nawet nie uschły zupełnie.

A teraz przystąpmy do rzeczy.

Podczas gdy producenci francuscy lekceważą jeszcze potrzebę zapoznawania się bezpośredniego z konsumentem, współzawodniczący z nimi wytwórcy niemieccy próbują przez stowarzyszanie się, zrzucić z siebie wiekowe jarzmo, nałożone na nich przez komisantów. Dzięki całemu szeregowi instytucyi, obsługujących potrzeby producenta niemieckiego w wyszukiwaniu rynków zbytu dla jego

wyrobów, oraz dzięki przyjętej przez niego zasadzie omijania pośrednictwa kupców przy sprzedaży wytworzonego przezeń towaru, zagadnienie obejścia się bez pośrednika-komisanta nigdzie nie jest tak bliskie rozwiązania jak w Niemczech. W kraju tym wszystkie towarzystwa, mające na celu popieranie przemysłu narodowego, bez względu na to, jaką noszą nazwę, dążą głównie do ułatwienia bezpośredniego stosunku konsumenta z producentem. Towarzystwa te, teoretycznie, mają przed sobą wspólny cel z pojedynczymi komisantami, lecz różnią się z nimi w środkach i cieszą się tą wyższością, że usługi ich są tańsze. We Francyi, jak widzieliśmy w pierwszym artykule, wszystkie urządzenia publiczne, mające na celu popieranie przemysłu i handlu wywozowego, nie będąc instytucyami handlowemi, mają na celu proste informowanie producentów, pozostawiając ich wyłącznie własnym siłom, w korzystaniu z dostarczonych wskazówek. To, co służy za cel dla towarzystw francuskich, jest tylko środkiem dla podobnych instytucyi niemieckich. Korzystają one z zebranych przez się wiadomości do przeprowadzenia aktu kupna-sprzedaży, bądź w swojém własném imieniu, jeżeli stanowią instytucyą, posiadającą kapitał zbiorowy, jak np. *Exportbank* w Berlinie, bądź w imieniu jednego ze swych członków, jeżeli są stowarzyszeniami przemysłowców, jak *Musterlager* w Sztutgardzie.

W dziejach tych instytucyi założenie towarzystwa Wirtemberskiego jest epoką, gdyż w jego statutach odnajdujemy poraz pierwszy te czynniki, które stanowią podstawę wszystkich innych (1). Towarzystwo to zostało założone w r. 1853 o kapitale 144,000 florenów, z których rząd dał 30,000, a prywatni przedsiębiorcy resztę. Pomimo drobnego kapitału zakładowego przedstawiło ono własnym kosztem przemysł Wirtembergii na wystawach powszechnych w Paryżu, Londynie (r. 1855 i 1862) i w pierwszych trzech latach dało dywidendy 4%. Dopóki ograniczało się ono dostarczaniem wytwórcom informacyi o potrzebach rynków zagranicznych, pobierając wzamian umiarkowane komisowe, dopóty posiadało zaufanie przemysłowców i koszta administracyi były pokrywane dochodami, wskazanemi przez statuty. Ale towarzystwo to, mające swój kapitał zakładowy, a więc stanowiące w obec prawa instytucyą handlową, nie zadowalniało się rolą protektora przemysłu krajowego i stało się samo w r. 1860 domem handlowym, prowadzącym interesy na własny rachunek. Z chwilą tego przekształcenia znikło poparcie, jakiego towarzystwo doznawało ze strony przemysłu wirtemberskiego, lecz zarazem produkcya tego kraju nagle się zmniejszyła.

---

(1) „Lettre de Francfort.“ Raffałowicz. L'Économiste, 1884.

Nieszczególnie prowadzone interesy zmusiły towarzystwo do likwidacyi w roku 1871. Tem nie mniéj w pierwszych latach swego istnienia oddało ono rzetelne usługi przemysłowi Wirtembergii. Fabrykanci tamtejsi zdając sobie z tego sprawę, nie przestali zajmować się opracowaniem projektu instytucyi, mającéj na celu popieranie ich interesów. Powodzenie wystawy przemysłowéj w Sztutgardzie w r. 1881 ułatwiło im zadanie. Wskutek odnośnéj petycyi, rząd zatwierdził zamianę czasowéj wystawy przemysłowéj na stałą wystawę wyrobów Wirtembergii. Instytucya ta pod nazwą *Exportmusterlager* istnieje dotychczas w Sztutgardzie i jest ściśle związana ze starszém już od niéj muzeum handlowém. Sztutgardzki *Exportmusterlager* jest stowarzyszeniem przemysłowców, opartém na wzajemności, gdyż zrażeni pierwszém niepowodzeniem przemysłowcy nie chcieli tworzyć instytucyi handlowéj z kapitałem zakładowym. Każdy członek wnosi 25 marek składki rocznéj na koszta administracyi. Zaraz w pierwszym roku stowarzyszeni za pośrednictwem téj wystawy otrzymali zamówień na 80,000 marek. Z ostatniego sprawozdania, ogłoszonego przez zarząd dnia 1 kwietnia 1885 roku, dowiadujemy się, że instytucya ta liczyła wówczas 415 członków (1). Wystawa wyrobów mieściła się w siedmiu salach, a wystawione przedmioty zajmowały 400 metrów kwadratowych. Toż samo sprawozdanie zaznacza ciągły wzrost zwiedzających wystawę i zwiększanie się zakupów zawieranych za pośrednictwem zarządu. I tak, w 1882 roku zwiedzających było 170 osób, z których 26 porobiło zakupy na podstawie wystawionych prób; w r. 1883 zwiedziło wystawę 217 osób, z których 120 poczyniło zakupy; w r. 1884 na 225 zwiedzających 110 zawarło tranzakcye za pośrednictwem zarządu. Od 1 stycznia 1884 r. komitet wystawy wysłał 700 niemieckich, 300 angielskich, 50 francuskich i 250 włoskich katalogów. W ubiegłym roku komitet wystawy otrzymał 270 zamówień i 4343 listy. Wysłał zaś 7782 listy, z których 300 z próbkami, a od 4,000 do 5,000 z cyrkularzami wystawy. 1-go lipca roku zeszłego została otwarta w Hamburgu filia wystawy sztutgardzkiéj. Filia ta nie prowadzi interesów na własny rachunek, to jest nie ma prawa otrzymywania zamówień, ale przedstawiając dodatnie strony produkcyi wirtemberskiéj, służy za przynętę do traktowania bądź bezpośredniego z wystawcą, bądź z zarządem wystawy. Stała wystawa wyrobów w Sztutgardzie, oprócz tego, że zaznajamia świat handlowy z produkcyą Wirtembergii, zastępuje miejsce reprezentanta w stolicy królestwa dla producentów

(1) *Export*, tygodnik wydawany przez towarzystwo geograficzne handlowe w Berlinie w Nr. 14 z przeszłego roku podnosi tę cyfrę do 423.

zamieszkujących odleglejsze prowincye. Ułatwiając zaś ich bezpośredni stosunek z nabywcami, choćby ci nie byli ostatnimi konsumentami, wpływa na zniżenie ceny wyrobów. Instytucya ta oddziaływa dodatnio na przemysł Wirtembergii jeszcze z tego względu, że przyczynia się do podnoszenia jego dobrego imienia za granicą, gdyż ekspedycye zamówień, otrzymanych za pośrednictwem wystawy, przechodzą przez poprzednią krytykę jéj zarządu.

Dodatnie rezultaty, osiągnięte przez towarzystwo wirtemberskie, zachęciły i inne kraje niemieckie do naśladownictwa. Za inicyatywą i wpływem towarzystw geograficznych prowincyonalnych liczba wystaw produkcyi miejscowéj rok rocznie się zwiększa. I tak, najprzód Towarzystwo geografii handlowéj i poparcia niemieckich interesów za granicą w Chemnicach (*Verein für Handelsgeographie und Förderung deutscher Interessen zu Chemnitz*) na posiedzeniu z dnia 22 kwietnia 1884 r. postanowiło urządzić stałą wystawę wyrobów w tém mieście na wzór sztutgardzkiego *Exportmusterlager*, a zarazem przesłało okólniki do kupców, jak i wogóle do poddanych niemieckich, zamieszkałych za granicą, z prośbą o przesyłanie *na koszt towarzystwa* prób wyrobów zagranicznych, znajdujących zbyt na rynkach odnośnych krajów. Kładę nacisk na wyrazach „na koszt towarzystwa“, gdyż zarząd instytucyi zauważył, że mała ta ofiara ze strony towarzystwa posłuży za „bodziec dla usłużności współziomków.“ Tym sposobem, nowopowstała instytucya, łączy w sobie muzeum handlowe, wraz z wystawą wyrobów miejscowych. Nie tworzy jednak oddzielnego towarzystwa, lecz pozostaje częścią składową towarzystwa geograficznego handlowego w Chemnicach.

W ostatnich miesiącach ubiegłego roku przemysłowcy sascy założyli w Dreźnie towarzystwo wywozowe—*Exportverein*. Instytucya ta ma na celu popieranie handlu wywozowego i oprócz innych środków statuty towarzystwa polecają komitetowi urządzanie wystaw wyrobów saskich w głównych punktach handlowych Europy. W lutym r. 1885 przemysłowcy bawarscy, nie chcąc pozostać w tyle za innemi krajami Niemiec założyli *Bayerisches Exportmusterlager*, którego statuty są wierną kopią sztutgardzkiéj wystawy wyrobów. Wygodne położenie geograficzne Monachium, oraz okoliczność, że miasto to jest licznie zwiedzane dla swych muzeów sztuki i dla wielu innych powodów, pozwala mniemać, że wystawa wyrobów bawarskich może się z czasem rozwinąć i tak samo, jak sztutgardzka, przyczynić się do rozwoju przemysłu krajowego. Żadnych jednak danych o tém towarzystwie jeszcze nie posiadam, gdyż nie drukowało ono dotąd żadnego sprawozdania. Z samych zaś statutów trudno przesądzać o przyszłém powodzeniu instytucyi.

Muzeum handlowe niemieckie w Berlinie (*Handelsgeographisches Museum zu Berlin*) różni się tém od instytucyi prowincyonalnych, że gdy te ostatnie, niezależnie od nazwy, jaką noszą, mają na celu popieranie przemysłu jednéj prowincyi, muzeum handlowo-niemieckie ma na widoku dobro całości produkcyi niemieckiéj. Instytucya ta stanowi część nierozdzielną towarzystwa geograficznego handlowego w Berlinie, którego członkowie są *ipso facto* członkami muzeum. O celach i środkach muzeum pouczają nas jego statuty (1), które podaję w dosłownėm tłómaczeniu:

Artykuł I. Muzeum handl. niem. ma na celu przyczyniać się do rozwoju produkcyi niemieckiéj i zaznajamiać wytwórców niemieckich z warunkami i potrzebami rynków zagranicznych. W tym celu:

a) zbiera i klasyfikuje wyroby niemieckie, znajdujące zbyt za granicą, jakoteż materyały surowe, nadające się do zużytkowania przez produkcyą krajową;

b) urządza wystawy pojedynczych gałęzi przemysłu;

c) zbiera wszelkie dane statystyczne;

d) zwraca pilną uwagę na wyroby i materyały zagraniczne, jak i na sposoby fabrykacyi;

e) ogłasza konkursy na tematy naukowe i zagadnienia przemysłowe;

f) zdaje sprawę z czynnności i ogłasza rezultaty za pośrednictwem tygodnika „Export" (2).

Artykuł 2. Z zakresu działalności muzeum wyłączają się przedmioty o czysto naukowym charakterze, materye wybuchające, albo ulegające szybkiemu zepsuciu, jak również ta część produkcyi, która z natury swojéj jest przeznaczona dla zaspakajania potrzeb wewnętrznych rynków Niemiec.

Artykuł 3. Członkami towarzystwa są:

a) wszyscy członkowie towarzystwa Geogr. Handl. w Berlinie i

b) wnoszący jednorazowo 100 marek, lub 5 mar. rocznéj składki.

Artykuł 4. Członkami założycielami muzeum są wnoszący jednorazowo 500 marek.

Artykuł 5. W nagrodę za położone zasługi dla instytucyi, lub dla jego celów, komitet muzeum ma prawo udzielać tytuły członka honorowego i członka-korespondenta.

Artykuł 6. Rokiem rachuby jest rok kalendarzowy.

Artykuł 7. Środki na utrzymanie muzeum składają się:

---

(1) Satzungen des deutschen Handelsgeographischen Museums zu Berlin. *Export*, N. 17, rok 1881.

(2) Wydawanego przez Tow. Geogr. Handl. w Berlinie.

a) ze składek członków;

b) z opłaty za wejścia od osób nienależących do muzeum;

c) z darów, zapisów, donacyi i t. d.

Wyszczególnione powyżéj towarzystwa nie zamykają liczby wszystkich instytucyi, mających na celu poparcie przemysłu niemieckiego za pomocą stałych wystaw wyrobów. Myśl ta, raz zaaklimatyzowana, znajduje coraz szersze zastosowanie. Należy przewidywać, że niezadługo każdy poważniejszy punkt handlowy Niemiec, obok muzeum wyrobów miejscowych, będzie posiadał w swych murach stałą wystawę prób wyrobów głównych niemieckich ognisk przemysłowych.

Prasa specyalna od samego powstania do dzisiejszego rozwoju rzeczonych instytucyi nie przestała być życzliwą dla tych usiłowań, przyznając im wysokie znaczenie praktyczne dla rozwoju przemysłu i rozszerzenia handlu wywozowego. Znakomita praca W. Roscher'a i R. Janasza(1) „*Kolonieen, Kolonialpolitik und Auswanderung*,“ wskazując za przykład Francyą, gorąco zaleca rządowi niemieckiemu zająć się urządzeniem izb handlowych za granicą. Połączywszy je z wystawami wyrobów niemieckich, możnaby nadać izbom, obok ich charakteru politycznego, znaczenie handlowe. Rząd zaś miałby w nich urzędowego instruktora dla swéj polityki celnéj. Jaką wagę przywiązuje dziś producent niemiecki do potrzeby zapoznawania się bezpośredniego z konsumentem, niech posłuży za przykład „wystawa pływająca.“ Pisma nasze już wspominały o tym przedsiębiorstwie, podjętém przez *Exportbank* w Berlinie, a pozostającém pod opieką tamtejszego Towarzystwa Geograficzno-Handlowego. Na usługi przemysłowców niemieckich oddany został *ad hoc* przygotowany okręt, na którym mogli wynajmować miejsce dla pomieszczenia prób własnego wyrobu. Na pokładzie okrętu mieści się biuro, mające cenniki i wskazówki od wysyłających, z prawem przyjmowania zamówień w ich imieniu. Pierwsza wyprawa zwiedza porty morza Śródziemnego. Gdy nadmienimy, że za metr kubiczny miejsca płacono 250 marek, oprócz komisowego za dokonane tranzakcye, to zrozumiemy, że producent niemiecki nie cofa się dziś przed żadną ofiarą, dającą mu nadzieję rozszerzenia koła jego spożywców.

Przechodząc do innych towarzystw popierania przemysłu i handlu w Niemczech, mamy do zaznaczenia *Westdeutscher Verein für Colonisation und Export*. Ze sprawozdania za rok 1884 dowiadujemy się, że towarzystwo liczy obecnie do 700 członków. Główną uwagę zwróciło ono na zachodnią Afrykę. Ono to podało petycyą do Bi-

---

(1) Prezes towarzystwa Geogr.-Handlowego w Berlinie.

smarka o „ochronę interesów niemieckich“ w téj części świata i przez cały czas wypadków, których teatrem był Kamerun i inne wyżéj położone punkty brzegów zachodniéj Afryki, nie przestało zasilać rząd swemi radami i doniesieniami.

Handelsverein in Berlin, założony w roku 1882 o kapitale zakładowym 500.000 marek, zwrócił główną uwagę na odległy Wschód. Będąc domem handlowym o kapitale zakładowym, towarzystwo to przedsiębierze interesy na własny rachunek. W r. 1883 traktowało ono z rządem greckim o monopol dobywania soli, o kopalnie marmuru Kloebe w Grecyi, o kolej, mającą połączyć Jaffę z Jerusalem, o wodozbiory w Jaffie itp. Ale oprócz tego utrzymuje wystawę wyrobów niemieckich w niektórych punktach Wschodu. Założony w pierwszym roku istnienia towarzystwa *Exportmusterlager* w Epirze składał się, jak to wskazuje sprawozdanie na rok 1884, z okazów wyrobów 35 niemieckich i 9 austryackich fabryk. Wartość powierzonych mu towarów wynosiła 83,000 marek. Tranzakcyi zawarto na sumę 28.000 marek.

Mówiąc o instytucyach handlowych Niemiec, nie można nie wspomnieć o prawdziwéj sieci towarzystw geograficznych handlowych, któremi jest pokryte cesarstwo Niemieckie. Przyjmują one udział we wszystkich przedsięwzięciach handlowych z odległemi krajami wschodu i zachodu, południa, czy północy. Instytucye te tak się zżyły z warunkami handlu zamiennego Niemiec z innemi krajami, oddały krajowi tak wielkie usługi, wskazując mu nietylko drogę do czynu, ale nieraz ułatwiając mu możność dojścia do wskazanych celów, iż śmiało rzec można, że stały się osią handlu wywozowego Niemiec.

Niemcy liczą obecnie przeszło 15 samoistnych towarzystw geograficznych, a założone w roku 1878 Towarzystwo geograficzne handlowe w Berlinie ma dziś 20 filii (Zweigvereine), z których 7 w Niemczech, 10 w południowéj Ameryce i 2 w Australii (1).

Chcąc uniknąć niepotrzebnych powtarzań, nie będę tu przytaczać statutów Towarzystwa, które przedstawiają ten sam schemat, co francuskie. W wykonaniu jednak swych zadań Niemcy okazują się daleko praktyczniejszymi. Kiedy Towarzystwo paryskie zadawalnia się ogłaszaniem, czy to z trybuny przez usta podróżnika, czy téż przez opublikowanie w swém sprawozdaniu najnowszych odkryć, rezultatów poszukiwań i wypraw itd., berlińskie tymczasem tworzy w r. 1881 oddzielną instytucyą—Deutsche Export-Bureau mające za zadanie klasyfikować te wiadomości i trzymać je gotowe zawsze do użytku pu-

---

(1) Handelsgeographische Gesellschaften Europa's. Export N. 43 z r. 1884.

blicznego. Obok tego urządzone i utrzymywane za staraniem towarzystwa wspomniane już powyżéj, muzeum handlowe daje, szukającemu wskazówek dla handlu wywozowego, dokładne wiadomości o upodobaniach i potrzebach rynków zagranicznych, jako téż o towarach niemieckich znajdujących zbyt na tych rynkach. Oto w jaki sposób tłómaczy samo Towarzystwo we wstępnym artykule swego organu potrzebę i cele owego biura (1):

„Jeżeli Towarzystwo Geograficzne Handlowe zdobyło sobie uznanie świata handlowego niemieckiego, to przypisuje je głównie temu, że we wszystkich swych pracach ma na celu korzyść materyalną społeczeństwa niemieckiego. Praktycznym tendencyom dzisiejszych społeczeństw nie wystarczają same teoretyczne studya, dla tego Towarzystwo, starając się zadosyć uczynić wymaganiom realnym stowarzyszonych, każdą poruszaną sprawę rozpatruje stosownie do rzeczy z punktu widzenia interesów osób pojedynczych, kół handlowych, albo całego społeczeństwa niemieckiego."

„Bezwątpienia społeczeństwo, a właściwie tę jego część, która zajmuje się kwestyami ekonomicznemi, obchodzą wiadomości o odległych rynkach, ale dla bardzo niewielu tylko ludzi kwestye te przedstawiają interes wyłącznie teoretyczny". „Jeżeli Towarzystwo za pośrednictwem biura wywozowego wysłało w przeciągu swego niedawnego istnienia do 100 inżenierów, techników i komisantów, to miało na celu nie tylko otrzymywanie za ich pomocą wskazówek o warunkach handlowych danych miejscowości, ale zarazem dostarczenie im zarobku, przez ułatwienie im sposobności do praktycznego zastosowania ich teoretycznych studyów."

„Z drugiéj strony, czyż potrzeba dowodzić, jakie korzyści osiągnęło społeczeństwo niemieckie przez osiedlenie się 100 jednostek niemieckich w dalekich krajach." „Czyż osiedlający się na obczyźnie za wskazówkami towarzystwa komisant nie musi oprzéć swego istnienia na wyrobieniu nowego rynku zbytu dla towaru niemieckiego?"

Jednym z celów Tow. Geogr. Handl. jest popieranie przemysłu i handlu wywozowego niemieckiego. Ażeby mu zadosyć uczynić, należało urządzić instytucyą, mającą za zadanie praktyczne przeprowadzenie tego celu. Towarzystwo liczy nie tyle na swoje własne środki ile na współudział całego świata kupieckiego Niemiec, gdyż rozwój biura jest ściśle związany z jego własném powodzeniem.

Deutsche Export-Bureau stało się szybko naturalnym pośrednikiem pomiędzy przemysłem niemieckim a rynkami zagranicznemi. Składka roczna dla członków chcących korzystać z biblioteki i in-

(1) Export N. 12, rok 1884.

formacyî towarzystwa wynosiła 12 marek. Okoliczność, że wskazówki dla Niemców, mieszkających za granicą, były darme, świadczy o obywatelskich celach biura. W r. 1881 dochód biura wyniósł 41000 marek. Wydatki zaś 42000, z których 20000 m. było użyte na subwencyą dla redakcyi wzmiankowanego wyżéj tygodnika, *Export.* W ogólnéj cyfrze 42,000 m. wydatków jest 14000 wydanych na marki pocztowe! Świadczyło nader pochlebnie o stosunkach i działalności biura.

W imię przysłowia fracuskiego: *la où il n'y a pas d'intérêt, il n'y a pas d'action*, Deutsche Export-Bureau zostało zamienione na Export-Bank, to jest z instytucyi cywilnéj stało się domem handlowym. Export-Bank jest towarzystwem akcyjném o kapitale 250.000 m. i datuje się od dn. 28 stycznia 1884 r. Kapitał zakładowy towarzystwa składa się z 500 akcyi po 500 marek, całkowicie wpłaconych i rozebranych przez poprzednich członków biura wywozowego. Bank podejmuje się interesów komisowych, dostarcza informacyi o domach handlowych krajowych i zagranicznych i utrzymuje wydział, zajmujący się za względnie skromną opłatą rozbiorem chemicznym przynoszonych materyałów. Instytucya ta ma prawo urządzać filie i reprezentacye w kraju i zagranicą.

Abonament na informacye kosztuje rocznie 50 marek. Bank pobiera odsetkę dobrowolnie umówioną za doprowadzone do skutku tranzakcye. Za rok 1884 akcyonaryusze otrzymali 10% dywidendy. Rozwój interesów zniewoli dyrekcyą banku do podwyższenia kapitału zakładowego prawdopodobnie już w roku bieżącym. Niezależnie od celów ściśle handlowéj natury, Bank w spuściźnie po *Export-Bureau* utrzymuje wydział statystyczny, drukujący zebrane dane.

Z pomiędzy instytucyi belgijskich, mających na celu popieranie przemysłu krajowego, przedewszystkiém zasługuje na uwagę Muzeum handlowe (*Musée Commerciale*), według którego właśnie wzorował się znany nam już sztutgardzki *Exportmusterlager.*

Powstanie muzeum handlowego belgijskiego jest ściśle związane z instytucyą konsulatów w Belgii, których wzorowa organizacya jest jednym z najważniejszych czynników rozwoju belgijskiego handlu wywozowego. W kraju tym urząd konsula traci coraz bardziéj charakter dyplomatyczny, i konsulowie stają się prawie wyłącznie agentami urzędowymi dla dostarczania wskazówek o stosunkach handlowych kraju, w którym przebywają. Żadne społeczeństwo nie potrafiło wyzyskać lepiéj téj instytucyi i osiągnąć z niéj równie praktycznych rezultatów, jak Belgia. Konsul belgijski jest obowiązany zdawać sprawę w pewnych, z góry oznaczonych odstępach czasu, z ruchu handlu wymiennego Belgii z krajem, w którym przebywa.

Oprócz tego dostarcza wszelkich wskazówek handlowych tak ministeryum, jak każdemu poddanemu belgijskiemu, który się do niego zwraca (1). Do obowiązkowych czynności konsula należy również przesyłanie próbek wyrobów belgijskich, znajdujących odbyt na odnośnych rynkach, jako też próbek materyałów surowych kraju, w którym przebywa, a nadających się do zużytkowania przez produkcyą belgijską. Nadto konsul winien zwracać baczną uwagę na wyroby zagraniczne współzawodniczące z belgijskiemi i przesełać ich próbki, dla zapoznania producentów belgijskich z upodobaniami i potrzebami rynków zagranicznych. Przesyłane próby porządkują się i zachowują w Muzeum handlowém. Broszurka (2), wydana nakładem tego muzeum i rozdawana zwiedzającym, poucza nas o jego zadaniach i organizacyi. Instytucya ta ma na celu zaznajomienie przemysłu i handlu belgijskiego z potrzebami rynku międzynarodowego, a zarazem pragnie ułatwić bezpośredni stosunek między spożywcą a wytwórcą i chronić producenta belgijskiego od niebezpieczeństw konkurencyi zagranicznéj. W tym celu:

a) daje mu sposobność zapoznania się z ulepszeniami porobionemi w obchodzącéj go gałęzi produkcyi, a więc uczy go, w jakich warunkach jego wyrób może wytrzymać współzawodnictwo zagraniczne;

b) zapoznając go naprzód z gustem publiczności, dla któréj przeznacza on swój wyrób, chroni go od wysyłki towaru, nie mającego odpowiednich warunków.

Muzeum zostało zorganizowane ostatecznie dopiero w r. 1879. Pierwszy katalog nosi datę r. 1880.

Do osiągnięcia swych celów muzeum dąży przez:

1) wydawanie „Recueil Consulaire," pisma tygodniowego, specyalnie poświęconego doniesieniom konsulów;

2) zbieranie i dostarczanie publiczności wszelkich danych statystycznych, jak doniesienia i raporty izb handlowych, roczniki handlowe i informacyjne, i w ogóle wszystkiego, co może służyć za materyał dla statystyki handlowéj;

3) utrzymywanie stałéj wystawy wyrobów belgijskich, przeznaczonych do handlu wywozowego, oraz okazów i prób towarów znajdujących pokup na rynkach zagranicznych, a nadsélanych, jakeśmy to już wyżéj powiedzieli, staraniem konsulów belgijskich;

4) utrzymywanie stałéj wystawy towarów wwożonych do Belgii. Wystawa ta składa się przeważnie z prób materyałów surowych, służących potrzebom przemysłu belgijskiego.

---

(1) Export N. 12, rok 1884.

(2) La musée commercial, son but et son organisation.

Po Muzeum handlowém należy wspomnieć o *Société commerciale industrielle et maritime d'Anvers*. Towarzystwo to ma charakter półurzędowy i pozostaje w stałych stosunkach z ministeryum spraw zagranicznych, handlu i finansów. Bliższych wiadomości o jego czynnościach nie posiadam. Wiem tylko, iż za jego staraniem powstało muzeum wyrobów belgijskich w Szanghai (*Musée belge d'échantillons à Schanghai*), na utrzymanie którego rząd przeznacza 25,000 franków rocznie.

Do towarzystw popierania przemysłu i handlu w Belgii należy zaliczyć „Klub byłych studentów wyższego instytutu handlowego w Antwerpii (1), który przyjął nadspodziewanie szerokie rozmiary. Wyższość tego stowarzyszenia kolegów nad innemi podobnemi instytucyami wzajemnéj pomocy wychowańców jednego i tego samego zakładu polega na tém, że klub antwerpski ma na celu, oprócz zachowywania dalszych stosunków między kolegami, popieranie wspólnemi siłami przedsiębiorstw, podjętych przez jednego z członków stowarzyszenia. Do powodzenia klubu nie mało się przyczyniła ta okoliczność, że Instytut handlowy w Antwerpii jest jedną z najlepiéj urządzonych i prowadzonych szkół handlowych świata, i że znaczna część dzisiejszego wykształconego kupiectwa belgijskiego pobierała w nim nauki.

Klub byłych studentów instytutu zyskał sobie ogólną sympatyą. Wzorowo prowadzona instytucya ta zajmuje dziś bardzo poważne miejsce w szeregu towarzystw popierania przemysłu i handlu krajowego w Belgii. Nie tracąc swego pierwiastku moralnego, koleżeńskie to stowarzyszenie oddało rzetelne usługi krajowemu handlowi wywozowemu.

Statuty klubu zaznajomią nas najlepiéj z celami i środkami téj instytucyi. Przytaczam je w dosłownem tłómaczeniu (2):

1) celem towarzystwa jest utrzymywać między członkami klubu stałe i przyjacielskie stosunki;

2) pobudzać ich do przedsiębiorstw handlowych;

3) rozpowszechniać upodobanie do studyów nad handlem i ułatwiać je uczniom instytutu przez dostarczanie im dokumentów i dzieł, traktujących o kwestyach handlowych;

4) zakładać przy instytucie stypendya (*des bourses d'études*);

5) studyować zagadnienia handlowe;

6) bronić praw, jakie nadaje i jakie powinien nadawać patent instytutu.

---

(1) Cercle des anciens étudiants de l'Institut superieur de commerce d'Anvers.

(2) *Extrait des statuts*, powtarzane w każdym numerze organu stowarzyszenia.

Członkami klubu mogą być wszyscy wychowańcy instytutu; tak ci, którzy otrzymali patent z ukończonych nauk, jak i ci, którzy mogą się wylegitymować z przesłuchania kursów.

Członkowie wnoszą 10 fran. rocznéj składki. Komitet ma prawo przyjmować w imieniu klubu wszystkie darowizny, zapisy i t. d.; z czasem, gdy środki na to pozwolą, klub ma zamiar tworzyć stypendya dla ubogiéj młodzieży, pragnącéj się kształcić w naukach handlowych.

Stowarzyszenie to ma swój organ „*Recueil de Rapports Commerciaux et économiques*“, który oprócz roztrząsania bieżących spraw ekonomicznych i handlowych kraju, publikuje otrzymywane od członków-korespondentów wiadomości o warunkach handlowych za granicą.

W pierwszym zaraz numerze wzmiankowanego organu spotykamy się z pracą członka-korespondenta z Warszawy: „Exposé sommaire de la situation de l'industrie textile en Pologne depuis 1815 jusqu'à nos jours“ przez L. Poznańskiego.

W Austryi pierwsze miejsce pomiędzy zajmującemi nas instytucyami należy przyznać Muzeum wschodniemu w Wiedniu. *Das Orientmuseum* jest jedną z licznych kopii muzeum handlowego belgijskiego. Dwie te instytucye różnią się wszakże tém, że kiedy belgijska ma na celu popieranie handlu wywozowego wogóle, muzeum wschodnie ułatwia stosunki wytwórcy austryackiego jedynie ze wschodem Europy i z Azyą środkową. Z okazyi dziesięcioletniéj rocznicy powstania tego muzeum, wydawany przez niego organ (1), mówiąc o pobudkach, które skłoniły społeczeństwo austryackie do utworzenia i podtrzymywania téj instytucyi, szuka ich w charakterze produkcyi tego kraju, skierowanéj głównie ku wywozowi.

Położenie geograficzne Austryi, która na wschodzie graniczy z krajami o znacznie niższéj cywilizacyi, jakoteż jéj wiekowa polityka, wskazująca jéj Salonikę jako przyszły port austryacki, zmusiły niejako społeczeństwo do zwrócenia bacznéj uwagi na Wschód. Myśl utworzenia instytucyi, mającéj służyć za pomost dla stałego stosunku między produkcyą Austro-Węgier i rynkami odległego wschodu zrodziła wystawa powszechna w Wiedniu z r. 1873.

Wystawa ta dała dokładny obraz budzącego się życia na wschodzie; tutaj Europa poraz pierwszy miała sposobność poznać się bliżéj z produkcyą téj strony świata i od owego czasu zaczęła się z nią rachować. Przez utworzenie muzeum założyciele mieli na celu zaznajamianie wytwórców austryackich z postępami produkcyi Wschodu i potrzebami rynków tamtejszych dla ułatwienia handlu wywozowego Austryi do tamtejszych krajów. W tym celu muzeum (2):

---

(1) Oesterreichische Monatsschrift für den Orient z d. 15 stycznia 1885. Artykuł „Unsere Aufgabe.“ — (2) Beilagezu N. 11 der Oesterreich. Monatsschrift für den Orient.

1) utrzymuje bibliotekę dzieł o Wschodzie i posiada najpełniejszy zbiór kart geograficznych krajów tamtejszych;

2) utrzymuje stałe stosunki z instytutami handlowemi i wszelkiemi towarzystwami popierania przemysłu i handlu wywozowego;

3) zwracu baczną uwagę na rozwój społeczny krajów Wschodu;

4) wyszukuje i poddaje analizie chemicznéj tamtejsze materyały surowe;

5) urządza odczyty i ogłasza zebrane wiadomości;

6) wydaje pismo miesięczne „*Oesterreichische Monatsschrift für den Orient*“, które oprócz ogłoszeń i wezwań zarządu muzeum publikuje korespondencye ze Wschodem i zaznajamia czytelnika z wybitnemi przejawami życia tych krajów.

W r. 1871 zostałe założono w Wiedniu Austryacko-Węgierskie towarzystwo wywozu (*Oesterreichisch-Ungarischer Exportverein*) (1). Artykuł pierwszy statutów wskazuje, że zadaniem Towarzystwa jest dawać punkt oparcia rolnikom i przemysłowcom austryackim do tworzenia wspólnych przedsiębiorstw, mających na celu wywóz wyrobów austryackich za granicę. Nadto *Oest. Ung. Exportverein*, podobnie jak wszystkie inne towarzystwa tego rodzaju, zbiera wskazówki o stanie rynków krajowych i zagranicznych i pośredniczy w stosunkach pomiędzy swymi członkami a konsulatami austro-węgierskiemi za granicą. Składka roczna wynosi 15 guldenów. Towarzystwo rozporządza dziś funduszem, pozwalającym mu wysyłać swoim kosztem młodzież handlową za granicę dla dokończenia studyów. Niezależnie od instytucyi centralnéj, za staraniem *Exportverein*'u, a ze współudziałem „Muzeum wschodniego“ i „Towarzystwa przemysłowców“, zostało założone, na wzór paryskich, biuro informacyjne. Instytucya ta ma na celu dostarczenie wskazówek o domach handlowych wiedeńskich i prowincyonalnych austryackich. Według programu ma ona również śledzić za potrzebami rynków zagranicznych, zajmować się sprawami tranzytu i informować publiczność o wskazówkach, dostarczanych przez konsulów austryackich.

W innych krajach środkowéj i południowéj Europy spotykamy się tylko z jedną formą towarzystw popierania przemysłu i handlu wywozowego. Są to towarzystwa geograficzne handlowe, które coraz bardziéj zyskują na znaczeniu. Z pomiędzy nich zasługuje przedewszystkiém na wzmiankę Wschodnio-szwajcarskie towarzystwo geograficzno-handlowe w St. Gallen (2), powstałe w r. 1879. W roku 1884 liczyło ono członków 392. Dochód za ten rok wyniósł 4105,80 a rozchód 4012,95 frank. Według statutów towarzystwo ma na celu:

---

(1) Letre de Francfort. Raffalowicz. Economiste Français 1884.
(2) Ostschweizerische geographisch-commerzielle Gesellschaft in St. Gallen.

1) rozpowszechnianie wiadomości geograficznych ze szczególną uwagą na Afrykę i jéj stosunki handlowe, oraz popieranie przedsięwzięć i interesów szwajcarskich za granicą.

2) współdziałanie z towarzystwem międzynarodowym w Belgii (przekształconém dziś na niezależne państwo Kongo).

Członkowie wnoszą 10 franków rocznéj składki, albo jednorazowo 200 fr. Towarzystwo dzieli się na dwie sekcye:

1) *naukową*, obejmującą działy kartografii, etnografii i zawiadującą biblioteką towarzystwa;

2) handlowo-geograficzną, obejmującą zbiór materyałów surowych, z krain jeszcze dokładnie nieznanych, i powstającą wystawę wyrobów szwajcarskich.

Towarzystwo posiada swój organ wydawany p. t. *Mittheilungen der Ostschweizerischen Geogr.-commerciellen Gesellschaft in St. Gallen.*

Założona w r. 1867 *Societa Geografica Italiana*, liczyła w r. 1881 członków 1400. W r. 1878 sekcya towarzystwa, zajmująca się specyalnie geografią handlową, oddzieliwszy się, utworzyła samoistną instytucyę, ale niewystarczające dochody zmusiły ją w r. 1880 do połączenia się napowrót. *Societa Geografica Italiana* miała w r. 1881 kapitału zapasowego 66,500 lirów i rocznego dochodu 28,000 lirów. W tymże roku towarzystwo otrzymało od hr. Tolfeuer bogaty zapis, którego odsetki są przeznaczane w myśl ofiarodawcy na badania w celach handlowych.

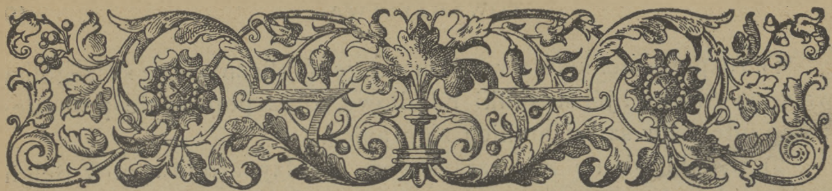
Oprócz tego głównego towarzystwa geograficznego, mającego skądinąd czysto naukowy charakter. znajdujemy we Włoszech jeszcze dwa towarzystwa geograficzno-handlowe. Oba te towarzystwa zwróciły wyłączną uwagę na Afrykę. Są to *Societa d'esplorazione commerciale in Africa*, otrzymujące 4,000 lirów subsydyum rządowego i *Club Africano di Napoli*. Oprócz tych cywilnych towarzystw mamy do zanotowania towarzystwo o ściśle handlowym charakterze *Societa Italiana di Commerzio coll' Africa*. Instytucya ta jest domem handlowym z kapitałem zakładowym.

W Hiszpanii mamy do zanotowania jedno tylko towarzystwo *La Esploradora*, które również tylko Afrykę ma na uwadze.

W Portugalii Lizbońskie Towarzystwo Geograficzne ma sekcyę zajmującą się geografią handlową. Instytucya ta posiada trzy filie: w Oporto, Rio Janeiro i w Fayal. Główny port Portugali, Oporto, posiada własne towarzystwo Geogr. handl., utrzymywane kosztem miejscowéj izby handlowéj (1). *Józef Winnicki.*

---

(1) Handelsgeographische Gesellschaften Europa's. Export N. 43, rok 1881.



MIŁOŚĆ W OPAŁACH.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW KROACYI.

IX. Spojrzenie.

Na audyencyą do cesarza młoda księżna włożyła na siebie ciemną z odbiciem granatowém suknię aksamitną, bufiastą i powłóczystą, która na pozór wydawała się ciężką i tém lepiéj przez to uwydatniała wiotkość okrytéj nią postaci. Ozdoby odpowiadały okryciu głównemu bogactwem i gustem. Pierś osłaniały koronki brabanckie, szyję z góry do dołu otaczała kryza, od któréj odbijały brylanty misternie urobionego naszyjnika i służyły za oprawę głowie, któréj szczegół każdy zastanawiał doskonałą rysów wykończonością. Owal oblicza, oczy, usta, nos, czoło miały zakrój klasyczny. przeniknione nawskróś wdziękiem, który, zdawało się, z głębi bił. Wdzięk potęgowały jedwabiste czarne warkocze, łuczyste czarne brwi i jakby przy ogniu nieco przyrumieniona płeć, powlekająca matem niby zabarwienie policzków i świadcząca o gorącu krwi. Dyszało od niéj południe, ogniste a rozkoszne i tajemniczych jakichś uroków pełne.

Księżna na pokoje cesarskie weszła zawieszona na ramieniu męża, mającego na sobie bogaty strój węgierski. Markiz cały był w złocie, brylantach, turkusach i szmaragdach. Od guzów jego blaski biły; szablę osypywały kamienie drogie; na kołpaku z pośrodka dyamentów wystrzelało pióro czaple; przy butach podzwaniały ostrogi złote. Strój tém się wydawał piękniejszy, że okrywał postać człowieka młodego i przystojnego, luboć nie marsowatego. Na obliczu rozlany miał wyraz tęschnotą nacechowanéj dobroci. Brody nie nosił, wargę zwierzchnią osłaniały mu wąsy niepokaźne, na ramiona spadały włosy długie nad czołem rozdzielone i gładko uczesane,

a tylko u dołu lekko w pukle podwinięte. Szczupły, wzrostu miernego, niósł na sobie z wdziękiem spięty pod szyją na klamrę kosztowną i przesunięty na lewo suto złotem szamerowany dołman.

Para ta, gdy się ukazała, wrażenie w komnatach zamkowych zrobiła. Wrażenie pochodziło nie od stroju bogatego, który pod dachem cesarskim zgoła rzadkością nie był, ale od postaci księżny. Paziowie, gdy mimo nich przechodziła, usta nieco i oczy szeroko otwierali, młodzi urzędnicy cywilni i wojskowi hołd piękności mimowolném głów chyleniem składali, starzy z rodzajem zdziwienia spoglądali. Na wstępie, gdy nazwisko swoje markiz wymienił, skłonił się mu jeden ze służbowych kamerjunkrów i drogę mu z ugrzecznieniem wielkiém wskazując, rzekł:

— Proszę....

Pod przewodnictwem jego przeszli księstwo szereg komnat i zatrzymali się w sali poczekalnéj, w któréj spotkał ich jegomość poważny w pończochach, trzewikach, we fraku, przy szpadzie, we fryzurze puklastéj, w łańcuchu na szyi i z długą w złoto okutą laską w ręku. Jegomościa owego przedstawił kamerjunkier księstwu, jako nadwornego mistrza ceremonii i przedstawił mu księstwo.

— O!—odezwał się mistrz z ukłonem. — Jakżem szczęśliwy, że spotyka mnie ten zaszczyt. . Wasza książęca mość — przemówił do markiza — nie po raz pierwszy stajesz wobec jego cesarskiéj mości.. A zapytać śmiem — na księżne wejrzenie zwrócił — wasza książęca mości?...

— Jeszczem zaszczytu tego nie miała — odrzekła.

— A?.. O... — głową skinął. Zadanie to trudne, nie wątpię jednak, że wasza książęca mość z onego się wywiąże... Chodzi o to najbardziej, ażeby się nie zapomnieć, a raczéj nie zastraszyć wobec majestatu... Damy wszakże odważne bywają... Niech więc jeno wasza książęca mość, bez podnoszenia na majestat oczów, odważnie, jak najodważniéj wykona rewerencyę niską raz, potém drugi raz, wreszcie jeszcze raz... o... Przydygnąć trzeba z odwagą trzy, wyraźnie trzy razy... i to wówczas, kiedy ja, przodem trochę idąc, ręką znak dam....

Słowa powyższe wypowiedział tonem poufności życzliwéj, przy ostatnich zaś zrobił kroków kilka i pokazał ów znak, o którym wspomniał. Polegał on na lekkiém z boku kiwnięciu dłonią.

— Niech wasza książęca mość patrzy nie na oblicze najjaśniejszego pana, ale na dłoń moją— ciągnął daléj — i niech mi wybaczyć raczy śmiałość, z jaką jéj daję skazówki, których ważność wasza książęca mość sama najlepiéj ocenia...

Wyrazy ostatnie wyrzekł tonem przekonania głębokiego.

— Dziękuję wam, panie hrabio—odpowiedział markiz. Oceniamy łaskawość jego...

— A, mości książe—odparł. Pełnię jeno powinność moję względem dworu i majestatu, wobec którego giest każdy ma wysokie znaczenie swoje... Odwagi jeno, mościa księżno, a wszystko pójdzie dobrze... Gdyby najjaśniejszy pan przypuścić was raczył do ucałowania świętéj ręki swojéj, podejdziesz, pocałunek przyklęknąwszy nieco złożysz, rewerencyą głęboką oddasz i, twarzą do najjaśniejszego pana zwrócona, cofniesz się...

— Oczów nie podnosząc — dodał markiz.

— A to się rozumie... A!.. oczy podnosić?.. broń Boże!...

Księżna, z natury odważna i mająca dokładne o ceremoniale dworskim wyobrażenie, gdy mistrz ceremonii skazówki jéj dawał, uczuwać w sobie obawę poczęła. Do duszy jéj zajrzało zwątpienie, azali się z zadania wywiąże. Po za skórą chłód jéj przeszedł. Odchrząknęła zlekka i przysunęła się do męża, jakby w nim opieki i obrony szukała. Mistrz ceremonii, który ruch ten spostrzegł i zrozumiał, odezwał się:

— Odwagi jeno... odwagi... Proszę w pogotowiu być....

Rzekłszy to, wyszedł. Księżna do męża szepnęła:

— Boję się...

— A — odparł markiz — i czego?..

— Żebym się w czém nie zmyliła... Nie przypuszczałam, ażeby to tak uroczystém być miało...

-- Wyobraź sobie, że do kościoła wchodzisz i do ołtarza wielkiego się zbliżasz...

Odchrząknęła, w zwierciadło naprzeciw zawieszone spojrzała, lekkim ciała ruchem odzież na sobie poprawiła, postawę przybrała i w części obawy się zbyła.

Po chwili mistrz ceremonii powrócił.

— Najjaśniejszy pan — przemówił — raczy waszym książęcym mościom pozwolić przed najjaśniejszém obliczem swojém stanąć.... Proszę...

Ze słowem ostatniém ruszył i krokiem miarowym, laskę przed sobą niosąc, prowadził młodą parę. Drzwi się przed niemi, przez halabardników obsadzone, otwierały, portiery podnosiły, wreszcie podniosła się portiera ostatnia i księstwo weszli do obszernéj, wspaniałéj, pozłocistéj, kobiercem wysłanéj i ludźmi zapełnionéj komnaty. Ludzi reprezentowały płcie obie. Byli oni uszykowani. Mężczyźni, dostojnicy wysocy, co się po odzieży ich poznać dawało—zajmowali stronę jedną, damy drugą i tworzyli kąt, którego wierzchołek stanowiło krzesło na podniesieniu, zajęte przez człowieka, ku któremu

wszystkie zwrócone były oblicza. Głowy wszystkie pochylone znamionowały uszanowanie. W komnacie panowała cisza.

Księżna od progu okiem do koła powiodła i rzut ten oka przywrócił w niéj równowagę moralną. Odzyskała odwagę. Są natury, którym obecność świadków odwagę odbiera; są natury, którym świadkowie służą za rodzaj rezerwy, dodającéj im ducha. Księżna należała do tych ostatnich, uczuła się, jakby podtrzymywaną i przy progu wykonała, na skinienie mistrza ceremonii, dygnięcie głębokie, powolne i długie. Do ziemi prawie przysiadła obok męża, który się ukłonem pochylił. Poszła następnie naprzód ku wierzchołkowi kąta, zatrzymała się i znów jak poprzednio dygnęła. Czuła na sobie niejako promienie dziesiątków kilku par oczów, wpatrujących się w nią ciekawie. To jéj nie mieszało — przeciwnie: odwaga w niéj rosła i nawet, o zgrozo! w pochodzie tym uroczystością taką nacechowanym przedstawiła się jéj strona śmieszna. Odbiło się to na jéj obliczu, które się okrasiło uśmiechem, idącym z wnętrza. Śmieszność widziała nie w uroczystości, ale w skinieniach dłoni mistrza ceremonii, ruszającéj się, jakby na sprężynach. Dłoń się po raz trzeci poruszyła i ona po raz trzeci przysiadła głębiéj, powolniéj i dłużéj, jak poprzednio. Przed oczami swemi miała stopień podniesienia, na którém stało krzesło zajmowane przez Leopolda I. Cesarz znajdował się od niéj w oddaleniu kroków trzech. Zjęła ją ochota w oczy mu spojrzéć; powstrzymała się jednak i po chwilce o uszy jéj obiły się wyrazy następujące:

— Najjaśniejszy pan najmiłościwiéj waszym książęcym mościom pozwalać raczy ucałować rękę swoję....

Na podniesienie wstąpił najprzód markiz. Szabla brzękła, ostrogi dźwięk czysty wydały — księżna z pod oka śledziła ruchy męża i, kiedy on pocałunek składał, oblała wejrzeniem oblicze cesarskie.

Przejęło ją politowanie zgrozą podszyte.

Leopold I pięknością się nie zalecał. Byłaby to jednak rzecz mniejsza, gdyby przytém osoby swojéj nie przystrajał w dodatki, które niepowabność jéj potęgowały i uwydatniały. Odzież miał na sobie ciemną, złotem szamerowaną, pod szyję zapinaną i pod szyją zakończoną szerokim, białości śnieżystéj, haftowanym, wyłożonym kołnierzem, który służył za piedestał niejako dla głowy, przykrytéj peruką olbrzymią. Peruka ta nadawała głowie pozór potwornéj ułomności, polegającéj na zbytecznem rozrośnięciu się czaszki. Piętrzyła się ona na wierzchu i osłaniała czoło; z pod niéj wyglądały oczy, mające wyraz zaspania, po oczach szedł nos niekształtny i pod nosem wisiała warga, charakteryzująca rasę habsburską, lecz u Leopolda I rozrosła bardziéj, aniżeli u którego z poprzedników i z na-

stępców jego. Oczom księżny przedstawiły się przedewszystkiém, na tle białem kołnierza wyłożonego, peruka o rozmiarach niezwykłych i warga czerwona brodę wpół przysłaniająca. Ta ostatnia taki fizyognomii nadawała pozór, jakby Leopold I mięsa surowego kawał w zębach trzymał.

Młoda kobieta spojrzała, oczy spuściła i czekała na koléj swoją, która wnet nadeszła. Z oczami spuszczonemi i z dłoniami pod piersiami złożonemi na stopień weszła, kroków parę zrobiła, pod oczy jéj wpadła wyciągnięta w mankietach haftowanych ręka i ona, ku ręce téj się pochyliwszy, lekki na niéj pocałunek złożyła. Podczas kiedy akt ten dokonywała, oskrzydlali ją dwaj dostojnicy dworscy w pogotowiu do podtrzymania jéj, gdyby się tego potrzeba okazała, zdarzało się bowiem, że damy, przy całowaniu ręki cesarskiéj ze wzruszenia mdlały. I ona wzruszoną była, nie do tego atoli stopnia, ażeby aż zemdleć miała. Podtrzymanie wszakże przydało się. Cofać się musiała tyłem, byłaby przeto ze stopnia spadła, gdyby pod łokciami oparcia na dłoniach dostojników nie znalazła. Dzięki oparciu temu, zeszła bez wypadku i, na skinienie mistrza ceremonii, wykonała dygnięcie czwarte, a wykonawszy takowe, znalazła się obok męża u stóp podniesienia.

Spuszczenie oczów nie pozwalało jéj widzieć akcyi mimicznéj, jaka się na podniesieniu cesarskiém odbywała. W ciszy, jaka w komnacie panowała, zabrzmiały jéj w oczach wyrazy:

— Najjaśniejszy pan najmiłościwiéj zapytywać waszéj książęcéj mości raczy o zdrowie...

— Łaska ta najwyższa przejmuje nas wdzięcznością niewysłowioną — odpowiedział książe Frangopano. Dzięki Najwyższemu, księżna małżonka moja i ja dobrem cieszymy się zdrowiem i prosimy Pana Boga o jaknajczerstwiejsze zdrowie i jaknajdłuższe życie dla najmiłościwszego naszego cesarza i króla....

Po odpowiedzi téj nastało milczenie chwilowe, po którém znów, tymże samym wymówione głosem, zabrzmiały wyrazy.

— Najjaśniejszy pan najmiłościwiéj waszym książęcym mościom zezwolić raczy oddalić się i miejsca zająć....

Mistrz ceremonii po raz piąty skinął i księżna po raz piąty wykonała dygnięcie. Nie było to jednak ostatnie. Ceremoniał przepisywał siedem i właśnie na dwa jeszcze pozostawało czasu i miejsca. Cofając się od podniesienia cesarskiego, ujrzała skinienie i dygnęła, następnie ujrzała skinienie znów, dygnęła i usłyszała z ust mistrza ceremonii udzielone przez najjaśniejszego pana najłaskawsze pozwolenie zajęcia siedzenia. Obejrzała się i opuściła na obity czerwonem suknem taburet, stojący pomiędzy taburetami, zajętemi przez dwie

bardzo dostojne damy: księżnę wdowę Rakoczy, Batorównę z domu i księżnę Lobkowicz. Panie te uprzejmemi młodą księżną powitały uśmiechami, ale nie rzekły do niéj słówka jednego. W komnacie téj, w obecności cesarza, bez wyraźnego ze strony jego pozwolenia nikt ani wychodzić, ani odzywać się nie śmiał. Pomimo przeto, że osób było dużo, panowało milczenie pod sklepieniem malowanem, śród ścian, których gzymsy i fugi złocone służyły za ramy dla ozdób, zasłoniętych tu obrazami, owdzie zwierciadłami i układały się symetrycznie do okien, wygiętych w łuki gotyckie.

Pod sklepieniem tém i śród ścian tych panowało milczenie, przerywane od czasu do czasu głosem od tronu, brzmiącym monotonnie i z akcentem takim, z jakim brzmią wyrazy, które księża w kościele przy ołtarzu podczas mszy wymawiają. Słyszane w odstępach pewnych: „Najjaśniejszy pan najmiłościwéj zezwolić raczy“ wiele w tonie podobieństwa miało do „*Introibo et altare Dei.*“ Leopold I udzielił audyencyi jeszcze parę i przez czas ten księżna Julia miała możność rozpatrzenia się w obrazie, jaki sala przedstawiała. Cesarz zasiadał w otoczeniu dygnitarzy najwyższych, zajmujących na taburetach siedzenia po jednéj i po drugiéj podniesienia stronie. Z tyłu stał szereg posągów nie z marmuru ani ze spiżu, ale z ciała i kości, stanowiących istotę ludzi żywych, składających straż przyboczną cesarza. Kołpaki ich widniały, oręże jaśniały, oblicza człowieczy wygląd miały, ale nieruchomość absolutna wątpić kazała, ażeby to były istoty żyjące. Nic na nich nie drgało, ani się chwiało— kitki na kołpakach do góry sterczały tak, jakby nie z pierza, ale z żelaza były.

Nieruchomość podobną zachowywał cesarz i ci wszyscy, co go najbliżéj otaczali z wyjątkiem dygnitarzy trzech, którzy stali. Z tych jeden, szarfą przepasany i łańcuchem przyozdobiony, przemawiał, dwaj zaś inni damom przy wchodzeniu na podniesienie asystowali. Przemawianie następowało, gdy cesarz znak dawał, znak tak słaby, że z obecnych nikt ani go widział, ani rozumiał, albowiem domyśléć się nie można było, że podniesienie palca jednego znaczy udzielenie pozwolenia na ucałowanie ręki, podniesienie palca drugiego znaczy zapytanie o zdrowie, podniesienie zaś palca trzeciego znaczy odprawę gościa i t. p. Ten tylko ruch, jako téż wyciągnięcie ręki, gdy całowanie następowało, wykonywała osoba cesarska — zresztą żadnego. Ruch niejaki manifestował się pomiędzy tymi, co zajmowali boki idącego od tronu kąta. Ci głowy raz spuszczali, znów podnosili nieco i z pod oka wejrzenia zwracali na cesarza. Najznaczniejsze głów podnoszenie i najpilniejsze patrzanie miało wówczas miejsce, gdy osobistość nowa na podniesienie wstępowała. W razie ta-

kim, ze strony zwłaszcza niewieściéj, wzroki i słuchy natężano, wzroki zwłaszcza, albowiem do słyszenia nie było nic innego, jak powtarzane zawsze jednakowo wyrazy, wygłaszane przez dygnitarza, co najjaśniejszego pana w mówieniu wyręczał.

Księżna Julia rozpatrzyła się dowoli w téj reprezentacyi, nacechowanéj charakterem powagi uroczystéj. Oddziaływało to na nią. Przejmował ją rodzaj bojaźni bożéj, skruchy, pokory i tylko w głębi duszy swojéj uznawała, iżby wolała, ażeby na miejscu Leopolda I zasiadał na wywyższeniu człowiek nie z taką wargą, nie w takiéj peruce i nie taki niepowabny.

Gdy życzenie to sformułowało się, nagle powstał ruch. Wszyscy, co siedzieli, naraz jeden podnieśli się. Podniosła się i młoda księżna zdziwiona trochę— głowę wyprostowała i w chwili téj wzrok jéj spotkał się ze wzrokiem cesarza, patrzącego z wyrazem. Cesarz przechodził i w przechodzie rzucił wejrzenie przelotne. Wejrzenie to cechowała wymowa. Mówiło ono — mówiło coś, od czego powieki księżny spadły i oczy jéj się firankami rzęs zasłoniły. Przeminęło to jednak prędko. Cesarz przeszedł, poprzedzając postępujących za nim dygnitarzy, za którymi ruszyła straż przyboczna. Przed cesarzem głowy obecnych, jak kłosy od wiatru się chyliły. Wkrótce orszak za drzwiami zniknął i, po zniknięciu onego poczęło się powolne sali audyencyonalnéj wypróżnianie.

Księżna Julia znajdowała się pomiędzy księżną Rakoczy i księżną Lobkowicz. Jak skoro cesarz odszedł, pierwsza z pań tych do niéj się wnet zwróciła :

— Winszuję, z serca całego winszuję — rzekła.

— O księżno pani — zaczęła markiza.

— Winszuję, z serca całego winszuję — odezwała się księżna Lobkowicz.

Nie zdążyła na odpowiedź się zdobyć, gdy księżna de Sagan, hrabin kilka i baronowych kilka z powinszowaniami do niéj przystąpiło.

Po damach powinszowania składali jéj paziowie. Młoda kobieta nie rozumiała, skąd to pochodzi. Domyślała się, że powód tkwi albo w tém, że dostąpiła zaszczytu całowania ręki cesarskiéj, albo w tém, że w niczém przeciwko etykiecie nie wykroczyła. Księżny Rakoczy o powód zapytać chciała; powstrzymała się jednak, lękając się, ażeby zapytania jéj nie wzięto za naiwność udaną. Przyjmowała więc powinszowania i w towarzystwie licznem przechodziła przez te same komnaty, przez które przed godziną była weszła. U wnijścia do zamku księżna Lobkowicz, która jéj nie odstępowała, zwróciła się do niéj z prośbą :

— Byłby to dla księcia i dla mnie zaszczyt wielki, gdybyśmy księstwo u siebie na obiedzie dziś mieć mogli...

— Zaszczyt ów jest raczéj zaszczytem dla nas — odparła księżna Julia.

— Czekamy więc... O toż się książe ucieszy!..

— Ja jeszcze, co mój pan na to powie, nie wiem....

— Książe Franciszek nie sprzeciwia się zapewne woli pani; gdyby zaś sprzeciwiał się w razach pewnych, to nie teraz chyba, kiedy z powodu żony jego stał się fakt, o którym mówi Wiedeń cały... Młoda kobieta szeroko ze zdziwienia otwartemi oczami na księżnę Lobkowicz spojrzała, ta atoli zajęła się rozmową z markizem, zapraszając go na objadek przyjacielski.

— Obcego nikogo nie będzie—mówiła i opowiadała o przyjemności, jakiéj w kółku poufném będą doznawali.

Księżna Julia nie mogła o fakt zapytać. Zapytała o takowy męża, gdy z nim do kolasy wsiadła i do mieszkania swego, celem zmienienia toalety jechała. Ten atoli odpowiedział:

— Co za fakt?.. Czyż zaszło co nadzwyczajnego?...

— Cesarz nam audyencyi udzielił..

— I tyle... Chyba że...

— Co?—zapytała, dowiedzieć się chcąc, czego się mąż domyśla.

— Należymy do rodziny, która się łaską cesarską nie cieszy... fakt przeto odnosi się może do tego, że mimo to, najjaśniejszy pan przyjął nas łaskawie...

— Zapewne — odrzekła.

— Na dworze najmniejszy cesarza giest ma znaczenie ogromne, nie dopieroż przyjęcie łaskawe ludzi, zaznaczonych piętném niełaski...

Tłumaczenie to wydało się racyonalném. Księstwo do domu przyjechali, przeodzieli się i w półgodziny późniéj znajdowali się w pałacu Lobkowiczów.

Zapowiedź księżny Lobkowicz, jako „obcego nikogo nie będzie“, urzeczywistniła się, ale z małym jednym wyjątkiem, tyczącym się osobistości duchownéj. Gospodyni na wstępie gości swoich uprzedziła.

— Trafił się nam gość, który się na obiad wprosił—rzekła i dodała: — ksiądz Müller... spowiednik cesarski... człowiek znaczenia ogromnie wysokiego, a przytém w towarzystwie bardzo miły...

Ksiądz z uprzejmością wielką powitał młodą parę, a księżnę Julię obrzucił wejrzeniem takiém, jakiém sędzia śledczy obrzuca po raz pierwszy widzianego delikwenta. Okiem ją zmierzył i oblicze swoje w uśmiech ujmujący przystroił.

Rozmowa, która się wnet zawiązała i toczyła przed obiadem, przy stole i po obiedzie, wiła się nakształt girlandy z przedmiotów rozmaitych. Ksiądz wplatał w nią dykteryjki żartobliwe i wyciągał na słowo księżnę Julię, która odpowiadała ze swobodą kobiety światowéj, zasobnéj w materyał do rozmowy. Mówiono o Wenecyi i Wiedniu, o życiu towarzyskiém i wypadkach politycznych, o Ludwiku XIV i jego stosunkach domowych — o wszystkiém, słowem, co stanowiło treść ogólną gawęd potocznych w momencie owym, bogatym w wypadki, znamionujące świtanie nowéj w dziejach epoki. Świtanie to odbijało się w salonach i rzucało odblask na rzeczy najbardziéj powszednie.

Po obiedzie panowie i panie podzielili się na dwa grona. Pierwsi przeszli do salonu; księżna Lobkowicz uprowadziła markizę do pokojów swoich. Tu i tam rozmowa nie ustawała. Ksiądz Müller zagaił materyą o stosunkach hiszpańskich, nadających się do horoskopów politycznych z powodu skojarzenia się węzłem małżeńskim dworu francuskiego z dworem hiszpańskim. Była to materya niezmiernie bogata. Antagonizm pomiędzy Burbonami a Habsburgami stanowił oś polityczną, około któréj obracały się sprawy tureckie, sprawy polskie, sprawy włoskie i wszystkie, jakim Europa za teatr służyła. Więc ksiądz Müller, książe Lobkowicz i książe Frangopano mieli o czém do mówienia.

— Żyjemy w epoce ciekawéj—zauważył ten ostatni.

— Ahm...—ksiądz Müller na to—w epoce, w którejby z łatwością rzeczy pójść mogły krzywo, gdyby zależały wyłącznie od rozumu ludzkiego... Na szczęście czuwa nad nami opatrzność, któréj zrządzeniem na tronie cesarskim zasiada Leopold... Możemy być przeto o następstwa spokojni..

Na pokojach księżny Lobkowicz materya rozmowy miała również koloryt polityczny, a wyszła z tego punktu, że gospodyni domu uścisnęła księżnę Julię i nazwała ją heroiną dnia.

— W Wiedniu całém o niczém inném, tylko o tobie mówią...

— Ależ — odparła młoda kobieta — cóż się koniec końcem tak nadzwyczajnego stało?..

— Jakto co?!..

— Najjaśniejszy pan audyencyi nam udzielił...

— I?..—księżna Lobkowicz na to.

— Oto wszystko...

— I spojrzał! — zawołała z przyciskiem.

— Spojrzał?—zapytała księżna Julia, zdziwiona akcentem, z jakim księżna Lobkowicz wyraz ten wymówiła.

— Spojrzał, ach! spojrzał!... Rzuciło się to w oczy nam wszystkim, zdarzyło się bowiem poraz pierwszy od czasu, jak najjaśniejszy pan na tronie zasiada... Spotkało to ciebie księżno, piękna... o.... Jest to wypadek tak nadzwyczajny, że wypadek ów cały świat wielki wiedeński poruszył do głębi...

X. Zagadki.

Spojrzenie cesarskie wywarło, w rzeczy saméj, wrażenie ogromne, które wyraz swój znalazło w nadskakiwaniach, jakiemi towarzystwo wiedeńskie otoczyło młodą parę. Dygnitarze, którym księstwo wizyty składali, niezwłocznie ich rewizytowali, a wielki marszałek dworu przysłał im zaproszenie na recepcye wieczorne do zamku.

— Ph...—odezwał się przeciągle hrabia Orfeusz, gdy zaproszenie nadeszło—kuzynka widocznie oczarowała cesarza...

Księżna domyślała się, że przyczyna odznaczenia, jakie ją spotkało, nie w czém inném tkwi, jeno w piękności jéj. Kobiety we względzie tym bywają niekiedy do przesady domyślne. W tym razie atoli rzecz się układała naturalnie, ta bowiem zachodziła okoliczność, o któréj powiedzieć było można, „że księżna piękna a Litawor młody." Litawor cesarski posiadał takież same kości i ciało i takąż samą krew, jak śmiertelnicy zwyczajni i od popędów krewkości nie broniły go bynajmniéj, ani reguły etykiety hiszpańskiéj, ani surowość obyczajów, zaprowadzona na dworze. Kto wie przytém, czy widok piękności nie poruszył w duszy jego uczuć, które edukacya tłumiła, lecz zniszczyć nie zdołała! Piękność oddziaływa nie na same jeno zmysły; powinowactwo jéj z dobrém jest bliskie; etyka chrześciańska aniołów i archaniołów przyozdabia we wdzięki jaknajsubtelniejsze, ażeby jaknajponętniejszemi uczynić reprezentowane przez nich cnoty. Zaręczyć więc nie można, że młody cesarz stanięcia przed obliczem jego młodéj księżny nie wziął w znaczeniu zjawiska anielskiego.

Że ona na nim wrażenie sprawiła, to wątpliwości nie ulegało. Gdy się na podniesieniu pojawiła, cesarz drgnął, oczy się mu nagle ożywiły i zabłyszczały, warga się podniosła i zadrżała; rękę wyciągnął i, gdy do niéj młoda kobieta usta przyciągnęła, nie cofnął jéj, wyciągniętą ją trzymał i księżnę oczami ścigał, póki miejsca nie zajęła. Następnie widać na nim było przez chwil kilka wzruszenie, nad którém nie od razu zapanował; gdy zaś zapanował, głowę spuścił i ukradkiem zwracał od czasu do czasu wejrzenia w stronę, w któréj księżna Frangopano siedziała. Dworacy, wysocy dygnitarzę i mężowie stanu, co gesty jego wszystkie wystudyowali

i znaczenie onych na wylot znali, niczego podobnego świadkami nie byli.

— Włoszka...—szeptali sobie w duchu.

— Włoszka...—powtarzały w duszy damy dworskie, znające jeszcze lepiéj gesty cesarskie.

I sformułowało się ogólne, niesłychanie ważne i niezmiernie interesujące pytanie:

— Co z tego wyniknie?..

Około zapytania tego zasnuł się, niby około kołowrotka tkackiego, ruch umysłów w sferach najwyższych i wywołał ruch towarzyski. Stał się bowiem fakt zagadkowy, brzemienny następstwami, których rozum najbystrzejszy przewidzieć nie umiał. Każdy więc i każda pragnęli poznać bliżéj istotę, co fakt ów sprowadziła. Ciśnięto się do księżny Julii, względnie do markiza Frangopano, w którym upatrywano w perspektywie kierownika spraw politycznych, rozdawcę łask i względów monarszych.

Dygnitarze, goszcząc u księstwa, nie wahali się, celem sondowania gruntu, dotykać kwestyi drażliwych. Do kwestyi tego rodzaju należał naprężony nieco stosunek Zrinich do tronu, mianowicie zaś, stosunek eks-bana. Jeden z najpierwszych o takowy potrącił kanclerz...

— Hrabia Mikołaj...—odezwał się—o, hrabia Mikołaj...

— Źle zrobił...—podchwyciła księżna.

— Przez co?..

— Przez to, że urząd złożył...

— Ach! to wielka prawda...

— Ale złe to naprawić by się może dało...—podchwyciła.

— A to jak?..

— Wywierając na nim zemstę...

Kanclerzowi przy wyrazie ostatnim oczy dziwnie zamigotały.

— Zemstę szlachetną...—dodała.

— Szlachetną?..—zapytał.

— I wspaniałomyślną...

— Polegającą na?..

— Zamianowaniu banem brata jego...—odpowiedziała.

— A?..—odezwał się.

— Gdybyś wasza ekscelencya myśl tę najjaśniejszemu panu nasunął...

— O, księżno!..—odrzekł tym tonem, co zarazem zobowiązanie się i niezobowiązanie oznacza.

Myśl ta, z którą się księżna Julia przed kilku dostojnikami zwierzyła, ponieważ z ust jéj wyszła, poszła w obieg i stała się rodzajem

skazówki we względzie téj zagadki, jaka się w dniu audyencyi zrodziła. Zagadano o Piotrze Zrinim, jako o postawionym przez włoszkę kandydacie na godność bana i dziwiono się jeno, czemu ona na godność tę męża nie prowadzi. Wszak Frangopanowie banami bywali. Czemuż nie kieruje męża?

— Pokieruje go ona inaczéj... –domyślano się.

Nadszedł dzień recepcyi. Jarzące światło zalewało komnaty, przeznaczone na przyjmowanie gości—przyjmowanie, polegające na tém, że goście bawili się sami, niekiedy muzyka przygrywała, a zawsze w bufecie znajdowały się jadła i napoje, pozwalające zgłodniałym posilić się, spragnionym pragnienie ugasić. W ciągu wieczora nadchodził moment, w którym się najjaśniejszy pan pojawiał. Towarzyszyło mu dostojników dworskich kilku. Wchodził; goście się szykowali w dwa szpalery, śród których się przesuwał powoli, kiwając z lekka głową na prawo i na lewo panom i damom, co się przed nim nisko pochylali i zatrzymując się od czasu do czasu dla rzucenia po słów kilka niezrozumiałych osobistościom, na których się uwaga jego zatrzymywała. Tego lub téj o zdrowie pytał; temu lub téj słówko łaskawe rzekł i na odpowiedź nie czekał. W sposób ten recepcye się odbywały—zawsze jednakowo, bez zmiany najmniejszéj. W sposób ten odbyła się i ta, na któréj się księstwo Frangopano pojawili.

Sale zalewało światło, odbijające się w zwierciadłach, kryształy się iskrzyły, bronzy i złocenia wystawały, tu i owdzie potworzyły się grupy, z których jedne siedząc, drugie przechadzając się, zabawiały się rozmową. Do jednéj z grup, skupionych około podeszłéj księżny Rakoczy, wchodziła księżna i księżniczek kilka, w liczbie ich księżna Julia. Księżna Rakoczy nachyliła się do niéj i szepnęła:

— Przysuń się do mnie...

Gdy młoda kobieta ruch ten wykonała; księżna Rakoczy przysłoniła sobie usta wachlarzem i półgłosem zapytała:

— Hrabianka Helena Zrini... znasz ją?..

— Doskonale...—odrzekła.

— Powabna?..

— Urocza...

— Cnotliwa?..

— Czyż o tém wątpić można?.. Zriniówna...

— Tak... no... — odrzekła poważna matrona. Wątpić jednak można, co się prawowierności tyczy... Zriniowie na punkcie tym nie są zbyt twardzi...

— Przeciwnie... Zachowują zakon i pełnią obrządki; w domu kapelana mają...

— Słyszałam o tém... mnicha...

— Augustyanina... Człek świętobliwy...

— Świętobliwość augustyańska chwiejna nieco... o..—rzekła stara księżna.—Lepsza jednak taka, niż żadna, pomimo że nie pojmuję dla czego Zriniowie nie wzięli sobie kapelana z towarzystwa jezusowego... nie pojmuję...—dodała tonem zafrasowania i po chwilce zapytała:—Ale Helena?..

— Dziewczyna najbogobojniejsza...

— To mnie cieszy... Wiesz bowiem?.. syn mój do Czakowaca pojechał...

— Słyszałam o tém...

— Otóż to... Pojechał... Nie wiem jeszcze, czy co będzie z tego...

— Wasza książęca mość mówisz?..—zapytała księżna Julia tonem takim, jakby nie wiedziała o co chodzi.

— Mówię, że nie wiem, czy co z tego będzie...

— Z czego?..

Księżna Rakoczy jednak, jakby zapytania tego nie słyszała, prawiła daléj:

— Najjaśniejszy pan wprawdzie na ciebie spojrzał, ale to się tłómaczyć może rozmaicie... Zobaczymy... zobaczymy... Franciszek jednak, syn mój, pojechał... pojechał... Najjaśniejszy pan...—zaczęła.

I urwała. Ruch się zrobił.

— A!.—odezwała się, usiłując się podnieść. Jakaś kuzynka, która jéj nie odstępowała, pośpieszyła z podaniem ramienia i sędziwa niewiasta wstała.

— Chodźmy...—rzekła do księżny Julli.

Obie księżny, jedna siwa i żółta, druga młodością i pięknością jaśniejąca, uszykowały się w szeregu, oczekując na monarchę. Oczekiwanie potrwało chwil kilka. Ukazał się nareszcie, szedł powoli w odzieży aksamitnéj w kryzie białéj, w orderach i łańcuchu; peruka jego kiwała się raz w prawo znów w lewo, warga wisiała; nagle stanął niby wryty naprzeciwko księżny Julii, warga mu zadrgała, oczy wlepił i, zwracając się do księżny Rakoczy, zapytał:

— Pani... za Wenecyą... tęschnisz?..

Widocznem było, że zapytanie drogę zmyliło, dla tego téż stara księżna odpowiedziała:

— Najjaśniejszy panie... łaski tyle...

— Mąż... zdrów?..

Mąż jéj, głośny Jerzy II, który do spółki ze Szwedami na Polskę był napadł, od lat czterech w grobie spoczywał.

— Najjaśniejszy panie...—odrzekła.

— Wdziękami swemi młodemi przyozdabiasz pokoje nasze..— wybąknął; warga mu zadrgała; na księżnę Julię z pod oka spojrzał, zlekka, jakby dla ulżenia sobie w piersiach duszności, odsapnął i daléj poszedł.

W sposób ten w annalach dworskich przybył fakt nowy, dziwniejszy i bardziéj zagadkowy, aniżeli poprzedzający. Wszyscy, co się w sali znajdowali, widzieli, że się cesarz przed księżną Julią zatrzymał i mówił. Ogół przekonany był, że przemawiał do niéj; ci jednak, co bliżéj stali, dostrzegli, że przemawiał do księżny Rakoczy; ci zaś, co stali jeszcze bliżéj, słyszeli wyrazy przemowy. Powstały stąd sprzeczności wnet na miejscu. Szeregi się rozprzęgły, grupy potworzyły, rozmowy ciche się pozawiązywały—wyrazy cesarskie z ust do ust krążyć i wywoływać zachwyt ogólny poczęły.

— Jakie to wielkie!.. jakie wspaniałe!.. jakie głębokie!..

— Najjaśniejszy pan o Wenecyi wspomnieć raczył...—odezwała się do jednego z baronów w pończochach i szarfie jedna z hrabin w sukni kanarkowéj, nadając wyrazom swoim akcent tajemnicy gabinetowéj.

— O Wenecyi...—odpowiedział baron.

— I o mężu...

Baron westchnął.

— Co to za mądrość głęboka!..

— Ach!.. głęboka...

Nikt, z tych nawet, co najdokładniéj wyrazy przez Leopolda I, wymówione słyszeli, omyłki nie zaznaczał. Bo i jakże! Omyłka się nie przypuszczała w ustach cesarskich. Ci przeto, co wiedzieli, jak się fakt wyraził, przypisywali omyłce myśl mądrą i głęboką, przypisywali jéj naumyślność doniosłości ogromnéj. Jedna tylko księżna Rakoczy nie podzielała opinii ogólnéj i jedna księżna Julia miała opinię od ogólnéj odmienną. Pierwsza nie wiedziała, co myśléć; druga instynktem kobiety młodéj odgadywała uczucia, jakie widok jéj w młodym człowieku wzbudzał. Zeszły się i spotkały dwa prądy magnetyczne, których zlanie się zależało od warunków jeszcze nieznanych. Podczas kiedy cesarz do księżny Rakoczy mówił, stojąc przed księżną Julią, téj ostatniéj krew falą do głowy uderzyła i sprawiła jéj rodzaj omdlenia—omdlenia takiego, jakiego doznawać musi motyl, gdy wiatr go rzuci na liść mimozy i liść się nad nim zawiera, ogarnia go, dusi i udusza. Młoda kobieta czuła coś nakształt gniecenia do koła siebie—czuła coś nakształt więznięcia skrzydeł—gorąco i słabo się jéj robiło. Odetchnęła i ulgi doznała, gdy się cesarz oddalił.

— Słyszałaś?..—zapytała jéj tonem poufnym księżna Rakoczy, uprowadzając ją ze sobą na miejsce dawniejsze.

— Słyszałam...—odrzekła.

— Wszystko?.. co do słowa?..

— Wszystko, zdaje się...

— Cóż ty na to?..

— A cóż!..

— Najjaśniejszy pan, o! najjaśniejszy pan... Powiem ci coś pod sekretem... Najjaśniejszy pan złożył dowód rozumu wielkiego, że się oddał w ręce ojców jezuitów... Gdyby z nim był ksiądz Müller, byłby mnie o zdrowie męża mego nie pytał... Wiesz dla czego?..

— Dla tego, że książe Jerzy nie żyje...

— To jedno, a po drugie, że jest—tu głos zniżyła i westchnęła—w piekle... oh, w piekle...

— Bóg miłosierny...—zaczęła księżna Julia.

— O! nie mów ty mi tego... Bóg miłosierny, zapewne, ale nie na takich, jakim on był, grzeszników zapamiętałych.. O...—westchnęła—on w piekle i najjaśniejszy pan o zdrowie jego pytał.. Co to znaczy?..

Księżna Julia ramionami wzruszyła. Grzeczność nie pozwalała jéj staréj i bardzo poważnéj damy z błędu wyprowadzać. Nie powiadała więc, że zapytanie to stosowało się nie do nieboszczyka księcia siedmiogrodzkiego, ale do żyjącego markiza.

— Chyba...—zaczęła księżna Rakoczy tonem domysłu—chyba że... Ale nie... Był to grzesznik za wielki...

— Bywają więksi...—odparła księżna Julia.

— Co ty powiadasz!..

— Cóż nieboszczyk tak dalece złego popełnił?..

— Ach!..

— Na Polskę napadał...

— O, to rzecz najmniejsza... W tém racyę miał, jako ojciec syna, co po kądzieli ród swój z Batorych wyprowadza i może rościć pretensyę do korony polskiéj. . Ale... nieboszczyk—rzekła z oburzeniem—jezuitów odpychał... Wiesz?..

— Słyszałam o tém...

— Tak... odpychał... i dla tego do piekła poszedł, a najjaśniejszy pan o zdrowie jego pytał... Dzieją się rzeczy, których rozumem ludzkim pojąć nie sposób... Prawda?..—zapytała.

— Prawda...—odrzekła księżna Julia.

Rozmowę dalszą przerwało nadejście jakiegoś młodego wielkiego pana, który księżnę pozdrowił, obok nich miejsce zajął i mówić zaczął o wieści nowéj, co się tylko na pokoje dostała.

— Najjaśniejszy pan ma zamiar dać polowanie. .

— W rzeczy saméj?..—zapytała księżna Rakoczy.

— Taka pogłoska chodzi...

— Nic o tém słychać nie było...

— Przed chwilą... W chwili téj jednak pogłoska toczy się już, jak lawina...

— Która spadnie, rozbije się i nic z tego nie będzie...

— Kto wie...—odparł młody człowiek, przypatrując się z boku księżnie Julii.

— Ja bo polowań nie lubię...—odezwała się księżna Rakoczy, udziału w nich brać nie mogę...

— W powozie...—rzekł młody pan.

— Szkodzi mi powietrze świeże...

— Słyszałem jednak, że wasza książęca mość... niegdyś...

— Ach...—westchnęła. Niegdyś?.. Dosiadałam niegdyś konia nieježdżonego...

— Pani polowanie lubi?..—zapytał młody człowiek księżny Julii...

— Dosyć...—odrzekła.

— W Wenecyi się poluje mało... laguny...

— Ale laguny nie zalewają wszystkich posiadłości weneckich...

Przysunęła się księżna Lobkowicz.

— Zapewne państwo o pogłosce mówicie... zaczęła.

— Polowanie...—odrzekła księżna Rakoczy.

— Niespodziewane i nieprzewidywane...

— Dziwne, zaprawdę, dzieją się rzeczy...—księżna Rakoczy na to.—Czy jednak pogłoska to prawdziwa?..

— Jaknajprawdziwsza. . Najjaśniejszy pan oznajmić raczył wielkiemu łowczemu, którego spotkał w komnacie krągłéj... Będzie polowanie, będą inwitacye...

— I na jakąż to intencyą?..—zapytała stara księżna.

Na zapytanie to młody pan i księżna Lobkowicz równocześnie na księżnę Julię spojrzenia zwrócili i, luboć były to spojrzenia przelotne, młodéj kobiecie policzki krwią się oblały. Księżna Lobkowicz odpowiedziała:

— Najjaśniejszemu panu podobało się...

— Na kiedyż to?..

— Pojutrze...

— Jeżeli pogoda będzie sprzyjała...

— Naturalnie...

Nadszedł moment, w którym wedle przepisów, recepcya się kończyła. W momencie tym wielki marszałek dworu oznajmił gościom, jako najjaśniejszy pan oddalić się im pozwala i wnet na pokojach powstał ruch. Zaproszeni powstawali, żegnali jedni drugich i wynosili się. Księżna Lobkowicz, poprzedzając w towarzystwie księżny Julii jéj i swego męża, mówiła do niéj głosem zniżonym:

— Pojawienie się twoje, moja ty najpiękniejsza, sprowadziło zmiany nadzwyczajne i niesłychanie ważne.

— Zmiany?..—odezwała się młoda kobieta.

— Najjaśniejszy pan... ożywił się...

— Niepokoi mnie to...—szepnęła księżna Julia.

— Czemu?..

— Nie wiem...—westchnęła.

— Jj... niepokoić się nie masz czego... kto wie... kto wie...— powtórzyła księżna Lobkowicz dwa razy i zamierzała słów parę jeszcze dodać, lecz z powodu zbliżenia się osób innych poprzestać musiała na serdecznéni a długiém młodéj księżny uściśnieniu.

Z pożegnaniami do niéj ciśnięto się. Darzono ją ukłonami niskiemi, jakie składali mężczyzni i okazami czułości wielkiéj, z jakiemi wynurzały się panie. Powiedziéć nie można, ażeby to jéj zadowolnienia sprawiać nie miało. W sferze, do któréj należała, potrzeba wielkiego bardzo hartu ducha, ażeby nie dać przystępu próżności. Miłemi więc były młodéj księżnie hołdy, które odbierała, a miłemi jéj były tém bardziéj, że się takowych nie spodziewała. Wezwanie jéj do Wiednia miało znaczenie somacyi, nacechowanéj niełaską, dotykającą rodziny, do któréj mąż jéj należał i przypuszczalném było, że cecha ta odbije się na przyjęciu. Na to się zanosiło. W zetknięciu się najpierwszém towarzystwo okazywało jéj grzeczność wielką, ale zimną i sztywną. Lecz—cesarz „spojrzał" i w chwili jednéj zimno i sztywność zmieniły się w serdeczność, podszytą rezerwą etykietalną, co w takiém, etykietą drobiazgową skrępowaném towarzystwie, jakiém było towarzystwo owoczesne wiedeńskie, wydawało się rzeczą naturalną.

W następnym po recepcyi dniu wielki marszałek dworu osobiście przywiózł księstwu inwitacyą na polowanie, mające odbyć się nazajutrz. Inwitacyą zaopatrzył w informacye ustne, nabrzmiałe wielką dla młodéj pary przychylnością. Informacye tyczyły się szczegółów etykiety, która i na łowach przestrzeganą była, a polegały głównie na tém, ażeby we wszystkiém i wszędzie zostawiać cesarzowi stanowisko przodowe i miejsce najpierwsze.

— Gdy—mówił—najjaśniejszy pan kogo do boku swego powoływać raczy, to się do osoby jego konno nie podjeżdża, piechotą nie

podchodzi bliżéj, jak na kroków siedem... Dawniéj było dziesięć ale świętéj pamięci cesarz nieboszczyk, postanowieniem powziętém na radzie aulicznéj dnia 7 marca 1651 roku, naznaczył kroków siedem...

Wymieniał i tłómaczył szczegóły inne. Nie omieszkał dać skazówki i co do toalety, dla któréj istniały przepisy szczegółowe; na odchodném zaś zalecił stawienie się na punkcie zbornym punkt o godzinie oznaczonéj.

— Punktualność bowiem—powiadał—jaknajściśléj jest przez najjaśniejszego pana przestrzeganą...

Jest do zauważenia, że hrabia Orfeusz, ani na audyencyi ani na recepcyi się nie prezentował—nie prezentował się zaś nie dlatego, że mu odmówiono, ale dla tego, że żądania nie zanosił. Księżna mu to wymawiała i do wystąpienia na dworze namawiała.

— Nosisz nazwisko, które ci obecnie szeroko drzwi otworzy.., mówiła.

— Uhm... -odpowiedział z giestem przeczenie oznaczającém.

— Czemu?..—zapytała.

— Dla tego, że są to drzwi, przez które łatwiéj wejść, aniżeli wyjść...

— A to?..—zapytała.

— Przejście przez nie, jak przejście przez próg klasztorny, wkłada na duszę charakter raz wyryty i nigdy niezmazany.. Człek traci swobodę umysłu i woli...

— Przesadzasz...

— Patrz, księżno, na dworaków wszystkich: czy aby jeden z nich nie zmienił się w maryonetkę?..

— Przerażasz mnie...

— Nie przerażaj się...

— Jeżeli się i ja w maryonetkę zmienię?..

— To zależy...

— Od czego?..—zapytała.

— Od tego, jak będziesz siebie samę brała: czy, jako aktorkę, czy też, jako spektatorkę?.. Trudno to wprawdzie na taki lub inny nastroić się ton, można jednak... Mówię to z doświadczenia własnego... Udało mi się utrzymać w roli spektatora, kiedym się czasu onego w świecie polerował i napatrzyłem się tak dalece, że od patrzenia daléj ochota mi odpadła...

— Byłbyś wziął udział w polowaniu...

— Komedya, mościa księżno, ze zmianą dekoracyi...

— Niewinna jednak...

— O tém z góry nic mówić nie można... Niewinność tego rodzaju podobną bywa do zielonéj trawy porastającéj na trzęsawiskach... Wygląda to nakształt łąki rozkosznéj, a jest. w istocie rzeczy, topieliskiem...

Młoda kobieta zamyśliła się. Nowe, w jakiém się niespodzianie znalazła, położenie nie było dla niéj ani trochę jasném. Przeczuciem coś odgadywała i „coś" owo przedstawiało się jéj tak, że przypuszczać mogła zagrażające jéj jakieś bliżéj nieokreślone niebezpieczeństwo. Na dworze Ludwika XIV wiedziałaby, o co chodzi. Na dworze Leopolda I, w którą jeno stronę wzrok zwróciła, w każdéj przedstawiała się jéj gęsta zasłona, przy któréj na warcie stała etykieta uniżona, wygładzona, wypolerowana, z głową pochyloną i dłoniami bogobojnie złożonemi, ale niezłomna i nieubłagana. Sprawy sobie z tego zdać nie umiała i na zastanawianie się czasu dosyć nie miała z powodu, z jednéj strony, wizyt ustawicznych, z drugiéj, ustawicznego myślenia o stosowaniu się do przepisanych drobiazgowo form.

XI. **Astrologia.**

Komnata miała wygląd niezwykły. Kształt jéj wewnętrzny przedstawiał koło regularne; sufit był sklepiony i zaopatrzony w okna, które od punktu środkowego rozchodząc się ku obwodowi, tworzyły gwiazdę ośmiopromienną. Każdy z promieni dochodził do gzymsu, po którego drugiéj stronie przedłużał się oknem podłużném. Komnata więc posiadała ośm okien—wyglądała nakształt klatki dużéj. Posiadała ośm okien, ale drzwi ani jednych. Wchodziło się do niéj przez podłogę, przez otwór otoczony balustradą. Środek zajmował stół krągły suknem czerwoném okryty, a zastawiony instrumentami astronomicznemi, pomiędzy któremi w oczy się przedewszystkiém rzucała ogromnych rozmiarów kula niebieska, osypana podzielonemi na konstelacye gwiazdami. Obok leżały większe i mniejsze lunety, linie, trójkąty, cyrkle, kompasy, papiér, kałamarze, pióra, wałeczki podłużne, rurki, miseczki jedne z piaskiem, drugie z żywém srebrem, jakotéż książek dużych kilka i pokreślone na tekturze figury, przedstawiające się pod postacią tych figur, jakie się dziś używają, jako wzory do posadzek. Figury podobne widzieć się dawały na ścianach do koła rozwieszone. W komnacie, któréj podłogę gruby okrywał kobierzec, znajdowało się stołków kilka i krzesło jedno. To ostatnie stało pod ścianą usunięte; na jednym ze stołków, przy stole siedział człowiek stary, okryty tą odzieżą, która w czasie owym służyła, jako uniform uczonych i miała podobieństwo niejakie do sutany

księży świeckich i habitu zakonnego. Uczeni stanowili stan i fach i odznaczali się śród śmiertelników zwyczajnych.

Mąż uczony przy stoliku siedział, przed nim stała lampa i rzucała odblask na oblicze pożółkłe i zmarszczkami okryte. Blask padał na karton znakami okryty i figurami pokreślony. Uczony jednak na figury nie patrzył. Łokcie miał na stole oparte a oczy powiekami zasłonięte. Spał. Spał i nagle ocknął się. Oczy przetarł, na zegar spojrzał—odchrząknął. Po odchrząknięciu ziewnął, znów odchrząknął i jął się na stole narzędzia niektóre przestawiać. Przysunął klepsydrę, zwierciadło wklęsłe i jakieś jeszcze narzędzie, odsunął nieco lunetę, wstał, spojrzał na zawieszony na ścianie duży barometr, powiódł okiem po półeczkach, na których stały słoje i słoiki szklanne z płynami i proszkami i zatrzymał się przed jedném z okien. Przez okno widzieć się dawało niebo gwiazdami obsypane. Starzec postał chwilę i przeszedł do okna obok. Przy tém postał znów i udał się do następnego. Obszedł okna wszystkie po kolei, obejrzał horyzont cały, zamyślił się i, usiadłszy przy stole na miejscu swojém, jął się znów przestawiać narzędzia. W ciągu czynności téj coś snadź o słuch jego uderzyć musiało, albowiem przerwał przestawianie nagle i zwrócił oczy ku otaczającéj otwór barjerze.

— A...—odezwał się po cichu sam do siebie i, cyrkiel w rękę ująwszy, począł stawiać takowy na leżącym przed nim, figurami poznaczonym kartonie.

Oblicze jego wyrażało natężenie uwagi, które nie harmoniowało z obojętnością poprzednią. Z obojętności przeszedł nagle do zatopienia się głębokiego w badaniu—do zatopienia się tak głębokiego, że ani słyszał, ani widział, jak z otworu w podłodze wysunęła się postać ludzką i, o baryerę ręką się opierając, na niego patrzała. Uwagę jego postać ta wówczas dopiero na siebie zwróciła, gdy postąpiła kroków kilka.

— Ach!..—zawołał, z siedzenia się zrywając z szybkością, na jaką wiek mu jego pozwalał, w głąb się cofając i przybierając postawę pokorną i uniżoną.—Wybaczyć mi racz, najjaśniejszy panie.

Osobistością, co weszła, był nie kto inny, jeno Leopold I.

Cesarz nic nie odpowiedział. Kroków parę postąpił, po stole, po rozstawionych na takowym narzędziach okiem powiódł i na krześle poręczowém usiadł.

Zapanowało milczenie. Starzec stał, cesarz siedział.

Leopold miał na sobie podbitą lekkiém futerkiem, długą, koloru ciemnego odzież i na głowie, zamiast peruki, ciepłą futrzaną czapkę. Bez peruki wyglądał bardziéj po ludzku, mimo że téż same pozostawały rysy oblicza, téż same przymglone oczy i taż sama obwisła

warga. Brakło jednak tego, co szpetność potęgowało i z racyi téj przedstawiał się pod postacią mniéj wstrętną. Usiadł, głowę spuścił, powieki zamknął, zdawało się, w głębokiém utonął zamyśleniu. Starzec, nie zmieniając postawy, z pod oka na niego patrzał; w oczach jego powoli kreślił się wyraz zadziwienia, które w końcu zmieniło się w zapytanie, mogące być w następujący wytłómaczone sposób:

— Co mu się stało?..

Milczenie panowało długą chwilę. Ciszę przerywało miarowe dygotanie zegaru, który szedł, nie zważając na obecność cesarza i znaczył czas zarówno dla niego, jak dla robaczka najmizerniejszego. Skazówka przesuwała się z minuty na minutę, wreszcie zegar szypieć począł, poprzedzając szypieniem bicie godziny i cesarz głowę podniósł. Podniósł głowę, westchnął, patrzał jakby starca nie widział, w końcu się odezwał:

— Cóż więc?..

— Najjaśniejszy panie...—odparł zapytany, głowę z uszanowaniem pochylając.

— Obserwowałeś, doktorze?..

— Obliczałem, najjaśniejszy panie...

— Co?..

— Kierunek promienia...

— Syriusza?..

— Nie, najjaśniejszy panie... Na horyzoncie naszym świeci obecnie blaskiem całym gwiazda wieczorna...

— Wiemy o tém...—przerwał cesarz.

— Weszła—dodał doktór—w konstelacyą waszą, najjaśniejszy panie...

— Wenus weszła w konstelacyą naszą!..—podchwycił cesarz żywo..

Leopoldowi I uradowanie zajaśniało na obliczu, z oczów mgła pierzchła; wstał, nie jak zwykł—z powagą monarszą—wstawać, ale jak wstaje zwyczajny, lat dwadzieścia cztery liczący, śmiertelnik i odezwał się:

— Widzieć to musimy...

Starzec mu lunetę podał. Cesarz, okiem na zegar rzuciwszy, podszedł do jednego z okien, lunetę do oka przyłożył i—snadź rzeczy świadomy—od razu ją na niebo, w punkt o który mu chodziło, zwrócił.

Patrzał długo. Po ustach jego od czasu do czasu uśmiech się przewijał i warga dolna mu drżała. Obserwował i obserwowany był. Starzec, z boku stojąc, przypatrywał się mu z tym w oczach wyrazem, który oznacza rozwiązywanie zagadnienia. Gdyby zaś kto

w chwili téj starca obserwował, poznałby, że wyraz w oczach jego, niepewny zrazu, upewniał się stopniowo i strzelił wkońcu wykrzyknikiem: *eureka!* Doktór zagadnienie rozwiązał. Do oczów jego wrócił spokój obojętny, ów spokój uczonego, którego nie wzruszają wyroki, występujące pod postacią rezultatów badań naukowych.

Cesarz lunetę od oka odjął i sam do siebie rzekł:

— Tak.. Wenus w konstelacyi....

Rzekłszy to, lunetę starcowi oddał i miejsce swoje zajął.

— Horoskop? — odezwał się po chwili tonem zapytania.

— Nie stawiłem go jeszcze, najjaśniejszy panie...

— Czemu?...

— Wnijście do konstelacyi nastąpiło dziś dopiero....

— Dziś? — zapytał Leopold I tonem, w którym brzmiało zdziwienie lekkie. Nie w chwili, gdyśmy po raz ostatni audyencyą udzielali?..

— Dni temu pięć Wenus zbliżyła się—mówił starzec— zbliżyła się w sposób taki, że zachodziła wątpliwość, co do drogi, którą pójdzie... Widać w niéj było wahanie się tak, żem przypuszczał, iż się po dotycznéj prześliznie, nie wkraczając w środek tarczy.... Wkroczyła dziś dopiero, najjaśniejszy panie...

— Dziś — szepnął cesarz.

— Najjaśniejszemu panu wiadomo — ciągnął starzec— że światła niebieskie nastawiają drogi swoje nie wedle przeszłości, ale na przyszłość.... Drogi ich idą ku temu, co będzie...

— Stawże, doktorze, horoskop...

— Najjaśniejszy pan zejść mnie właśnie raczyłeś nad badaniem aspektu...

— Badaj daléj...

— Zabierze to czasu nieco—zauważył starzec tonem przestrogi pokornéj.

— To nic — odparł cesarz. Poczekamy...

Mąż uczony ręce zlekka zatarł, zlekka odchrząknął i zapytał:

— Wasza cesarska mość przeto pozwolić mi raczy?..

— Na co?..

— Do rzeczy przystąpić?

— Rób, doktorze... rób tak, jakbyś się nie znajdował w obecności cesarza... Cesarz znika w obliczu tych sił, co się nam pokazują tajemniczo na stropie niebieskim....

— Nie znika, najjaśniejszy panie—odparł starzec.

— Śmiertelnik każdy ma gwiazdę swoję...

— Ma... ale inną jest gwiazda śmiertelnika, odpowiadającego przed Najwyższym sam za siebie, inna śmiertelnika, odpowiadające-

go za miliony... Cesarz... cesarz zwłaszcza taki jak ty, najjaśniejszy panie, jest *legio*...

Słowa te zasępiły Leopolda I. Czoło sfałdował i, głowę zwiesiwszy, w milczeniu się pogrążył.

Doktór z boku przy stole usiadł i, rozłożywszy przed sobą karton czysty, naznaczył na nim punkcikami gwiazdy w takim, jak się w konstelacyi przedstawiały, rozkładzie. Zrobił to z pamięci — widocznie wprawę posiadał. Naznaczył następnie gwiazdę jeszcze jednę i począł od niéj, przy pomocy linii, przeprowadzać linie proste, co gdy uskutecznił, zamyślił się. Wpatrzony w figurę, przedstawiającą się pod postacią rozstrzelonych a z punktu jednego wyprowadzonych dłuższych i krótszych linii, myślał chwil kilka; następnie końce linii literami greckiemi pozaznaczał i cyrklem odległość tak punktu środkowego do końców, jakotéż końców pomiędzy sobą mierzył, zapisując na papierze osobnym wyniki mierzenia. Wyniki te ujął w formułę matematyczną—dodawał i odciągał, mnożył i dzielił. Zajmowało to czasu sporo. Zegar wybijał kwadranse, wybijał godziny: astrolog obliczał—cesarz czekał.

— Konjunkcya przeważa nad opozycyą — odezwał się wreszcie starzec.

— Hęm? — wykrzyknął cesarz, jakby przebudzony nagle.

— Konjunkcya, najjaśniejszy panie, przeważa nad opozycyą...

Cesarz westchnął.

— Teraz kwadratury zbadać należy....

— Badaj — rzekł Leopold I-szy.

Starzec, odsunąwszy papier, a przysunąwszy przed siebie karton, począł na figurze poprzednio nakreślonéj łączyć liniami prostemi końce linii rozstrzelonych. Wyszedł ztąd podzielony na trójkąty wielobok, w którym on wycinki kreślił i wykreślił czworobok nieregularny, ochwytujący najdłuższemi jednego z kątów ostrych ramionami punkcik, wyobrażający Wenerę.

— Horoskop się zaznacza — odezwał się starzec. Kwadratura wyszła i wasza, najjaśniejszy panie, konstelacya bierze w uściski gwiazdę, co w nią weszła...

— Bierze ją w uściski!—zawołał Leopold I-szy w uniesieniu.

Z siedzenia się zerwał i wnet, jakby niewidzialną pociągnięty ręką, napowrót usiadł.

Uniesienie świadczyło, że się w nim natura ludzka poruszyła.

Usiadł; przez chwil kilka milczał; z głębi piersi odetchnął i odezwał się głosem zwyczajnym:

— W uściski ją bierze... Horoskop tak stanął?..

— Tak się, najjaśniejszy panie, nastawił, ale...

— Ale... co?..

— Na tém nie koniec jeszcze...

— A... tak...—odrzekł cesarz, świadomy tajemnic sztuki. Światło jeszcze...

— Na jaki zamiar wasza cesarska mość chcesz, ażeby światło odpowiadało?—zapytał uczony.

— Na jaki zamiar ? — powtórzył cesarz.

— Na pokój?.. na wojnę?.. na postanowienie od tronu jakie?...

— Ach!.. nie na pokój, ani na wojnę, ani na postanowienie żadne... Nie... Idzie tu o co innego....

Wyrzekł słowa powyższe i zamyślił się, jakby odpowiedzi w głowie szukał. Po chwili zaczął powoli przez zęby cedzić, wymawiając wyrazy z wysiłkiem niejakim.

— Chodzi o nas... o mnie samego, ach!... o mnie — powtórzył głosem, żalem, czy pretensyą nabrzmiałym. — O mnie...

Zaimek „ja“ w liczbie pojedyńczéj wymawiał z brzmiącym dziwnie akcentem. Akcent ów znamionował gwałcenie czegoś, czy téż czemuś na przekór czynienie, a to dla tego zapewne, że dla monarchy „ja“ nie istnieje. Istnieje dla niego „my“—liczba mnoga, która w nim w zasadzie neutralizuje człowieczość. Myśleć za wszystkich i czuć za wszystkich nie sposób inaczéj, jak nie myśląc o sobie i nie czując dla siebie. Nie wszyscy monarchowie do warunku tego nagiąć się mogą. Ale Leopold I należał do tego ludzi rodzaju, co się rolą swoją przejmują nawskróś. Zasada była dla niego tém, czém jest dla budowli fundament. Co mu w duszę wszczepiono, tém się przejął na wylot i z przekonaniem głębokiém wierzył, że pomazanie olejem przeistoczyło w niém naturę człowieczą. I mimo to, uczuł, że się natura jego ludzka poruszyła. Odezwało się w nim: „ja“

— Chodzi o *mnie*—mówił—o to, ażebym kiedy niekiedy o majestacie moim. . zapominać mógł...

Starzec z głową pochyloną milczał i czekał.

— Czy rozumiesz, doktorze? — zapytał cesarz.

— Ja, najjaśniejszy panie, rozumieć nie potrzebuję... Rzecz się tyczy światła niebieskiego, które wyjaśnia i skazówki daje stosownie do postawionego mu zapytania...

— W konstelacyą weszła Wenus?..

— Tak jest, najjaśniejszy panie...

— Wenus... to jest piękność?..

— Piękność odwieczna, najjaśniejszy panie — odpowiedział.

— Zwróć-że się do niéj i powiedz jéj, że na odpowiedź od niéj czeka nie cesarz, ale młodzieniec, który piękność... pokochał... Tego dosyć?..

— Badałem aspekt i kwadraturę dla majestatu cesarskiego...

— Ha... — westchnął cesarz.

— Konstelacya zresztą, najjaśniejszy panie...

— Prawda... Niech więc idzie!..

Wyrazy ostatnie takim wymówił tonem, jakim poniter, podwyższając kolejno stawki, stawia wszystko na kartę i wymawia: *va banque!*

Głęboko odsapnął. Stary astrolog z lunetą ku oknu się zwrócił; pierwéj atoli, zanim badanie rozpoczął, zawinął się i z półeczek na okno poprzenosił: słoików z płynami różnobarwnemi trzy, dwie sztuki szkła pryzmatycznego i kredy białéj kawałek. Kredą zakreślił na podłodze do koła krzesła, na którém cesarz siedział, krąg i krąg ów podzieliwszy na części dwanaście, część każdą zaznaczył znakiem zodyakalnym. Od znaku, w którym się znajdowało słońce, przeprowadził drogę do okna i opisał takową krédą, niby ramą, ilustrując ramę cyframi chaldejskiemi. Daléj pałeczką czarnoksięską ku cesarzowi skinął, po znakach kredowych nią powiódł i na oknie ją złożywszy, do obserwacyi przystąpił. Przyłożył lunetę do oka— patrzał, patrzał, odjął, znów patrzał; do stolika odszedł, na figurę na kartonie spojrzał, coś zapisał i znów do okna przystąpił. Powtórzył to razy kilka, wreszcie przy stole stanąwszy i na notatki patrząc, mówić począł:

— Promienie gwiazdy, co w konstelacyą waszéj cesarskiéj mości weszła, skupiają się w ognisko Bereniki, dawczyni zwycięstwa i zwracają się stale w kierunku gwiazdy waszéj cesarskiéj mości; barwa ich jest barwą płomienia niebieskiego... Naliczyłem ich pięć, liczba nieparzysta, to znaczy konjunkcya bez opozycyi...

Zwrócił się do okna napowrót, ustawił słoiki i na zawarty w nich płyn spuszczał promienie za pomocą pryzmatów szklannych. Promienie się łamały w linie rozmaite. Starzec linie te na papierze znaczył, ułamki zestawiał, ściągał, kombinował i po pracy dosyć długiéj złożył z takowych napis, który w milczeniu cesarzowi do przeczytania podał. Leopold I spojrzał, brwi zmarszczył, przeniósł wejrzenie na stojącego z głową pochyloną starca, w papier się wpatrzył, wreszcie powolnie litera po literze wyczytał:

— J-u-l-i-a — i dodał: Ona...

Starzec głosem uroczystym zaczął:

— Horoskop wskazuje Julią, osłodę życia waszéj cesarskiéj mości ..

Rzekłszy to, laseczką czarnoksięską na odwrót znaków kilka dał; znaki zodyakalne i chaldejskie na zakreśleniu kredowém starł, drogę przerwał, słoiki i pryzmaty uprzątnął, lunetę na stole położył

i w postawie pokory uniżonéj, jaką był przybrał za wejściem cesarza, stanął.

Cesarz czas jakiś w zamyśleniu siedział, milczał, westchnął i milczenie przerwał, zapytując:

— Horoskop?...

— Najjaśniejszy panie — odrzekł starzec.

— Powtórz, doktorze...

— Najjaśniejszy pan kazać raczy mi robotę rozpocząć na nowo?

— Chcemy, żebyś jeno horoskop powtórzył...

— Niestety, woli waszéj cesarskiéj mości uczynić zadość nie jestem w stanie... Mówiły za mnie siły niebieskie, któreby znów zaklinać potrzeba...

— Napis...

— Napis? — zapytał.

— Karton nam pokaż — rzekł cesarz, oczami wskazując.

Starzec karton ze stołu wziął, cesarzowi go pokazał i cesarz nie wyczytał na takowym nic, nie nosił bowiem na sobie pisania śladów najmniejszych.

— O? — odezwał się zdziwienia tonem.

Starzec stał z kartonem w ręku.

— Było tu imie...

— Nie wiem — odparł.

— Zgoła? — zapytał cesarz.

— Najjaśniejszy panie—odpowiedział, nadając wyrazom akcent protestu uniżonego.

Cesarz wstał, do okna podszedł; chwil kilka wpatrywał się w punkt na niebie, w którym Wenus jaśniała, odwrócił się i krokiem powolnym ku baryerze się skierował; za baryerę ręką się ujął, spuszczać się począł i w otworze zniknął.

— Aaahf—odetchnął astrolog stary, wyczekawszy, aż w otworze znikła nie tylko osoba cesarska, ale i słuchu onéj donioslość.

Odetchnął, uśmiechnął się, biret doktorski na głowie sobie poprawił i na zegar okiem rzucił.

— Toć to północ już minęła... uu?.. Hm?.. Młoda kobieta młodemu człowiekowi w oko wpadła i... co?.. gwiazdy temu winne.... O gwiazdy!.. Trzeba jednak na kogoś odpowiedzialność zwalić: na kogoż, jeżeli nie na gwiazdy?.

Tocząc tę z samym sobą rozmowę, na stole porządek czynił, instrumenta poukładał, znaki z sukna postrzepywał i, książki przesuwając, nad jedną się zastanowił. Nie czytał jéj, ale patrzał na nią przez chwilę, oczy przymrużył, głowę nieco przekrzywił i tonem przekąsu odezwał się:

— Kopernikus... Ph?.. Czy co z tego będzie?... Nic chyba.... Było gadania trochę i gadanie poszło na wiatr.... nie — poprawił się i z uśmiechem dodal: na gwiazdy, które nie nadaremnie świecą, kiedy ludziom poczciwym zysk niosą... Gdyby nie gwiazdy, co bym ja począł z sobą?.. O gwiazdy!..

Że wszystko już ułożone i uporządkowane było, staruszek lampę wziął i temi samemi schodami, na których znikł cesarz, spuszczać się w dół począł. Schody kręcone szły przez cztery piętra i na piętrze każdém ustęp formował izbę, podobną do téj, w któréj założoném zostało obserwatoryum astrologiczne. Różnica polegała na tém, że obserwatoryum było sklepione, ustępy zaś miały sufity płaskie, opierające się na grubych belkach drewnianych. Na dole w ścianie widzieć się dawało drzwi troje — jedne wielkie, kute, te prowadziły na podwórzec, dwoje małych, również kutych, przebitych w murze w jednakowéj od pierwszych odległości. Tu się poczynały schody, po których gdy zeszedł mąż uczony, było cicho i pusto. Starzec się zwrócił do drzwi małych na prawo, klucz z kieszeni wydostał, zamek otworzył, wyszedł i pozostała za nim ciemność. Gdy jednak na pół godziny przedtém zeszedł był cesarz, ciemność rozpraszały latarnie i oświecały gromadkę ludzi uzbrojonych, którzy go przyprowadzili i odprowadzili. Leopold wyszedł drzwiczkami na lewo; warta ruszyła za nim i towarzyszyła mu przez długi, pusty kurytarz, doprowadzający do schodów. Na schodach on szedł przodem, warta postępowała za nim. Na piętrze pierwszém przedstawiły się znów drzwi, za któremi się znów otworzył kurytarz. Daléj nastąpiły komnaty. W jednéj z nich warta się zatrzymała, cesarz minął następną; słabo oświeconą i zakończył pochód swój w pokoju, dającym się od pierwszego oka rzutu rozpoznać, że był to pokój sypialny. Z boku, od ścian nieco odsunięte stało kotarami osłonięte łoże wspaniałe, w kącie na stoliku paliła się lampa alabastrowa; na kominie gorzał ogień. W pokoju przyległym służba na wezwanie czekała.

Długo jednak służba czekała nadaremnie. Leopold I nie wzywał jéj i sam się nie rozbierał. Usiadłszy najprzód przy kominku, w płomień oczy wlepił i dumał. Od kominka przeszedł do okna, otworzył je i oczami śledził migotania gwiazd w konstelacyi, w któréj Wenus jaśniała; od okna udał się do klęcznika, ukląkł na poduszce, dłonie złożył, głowę spuścił i pogrążył się w modlitwie cichéj, którą zakończył odezwaniem się głośnem:

— Panie, czyż ja nie mam prawa być równie szczęśliwym jak poddany mój!..

Klęczał chwilę jeszcze z głową do góry podniesioną i z wargą drgającą; z klęczek wstał, w dłoń klasnął—wbiegło trzech szatnych

i przystąpiło do osoby monarszéj, która wnet, z odzieży dziennéj rozebrana, w nocną przebrana, w szlafmycę zaopatrzona, w pościeli położona i ciepło okryta, do zażywania snu przysposobioną została. Dodawać nie potrzeba, że sen uciekał od powiek Leopolda I.

XII. Na polowaniu.

Luboć się cesarz położył bardzo późno, wstał jednak nazajutrz rano, to jest, o téj godzinie, o któréj wstawać zwykł; mszy porannéj w kaplicy zamkowéj wysłuchał, śniadanie spożył i, przebrawszy się stosownie, na łowy pojechał. Na koniu wyglądał nieświetnie. Rumak dzielny, co pod nim, munsztuk żując, szedł z zacięciem zrywania się do lotu, nie nadawał postawie jego akcentu rycerskości. Cesarz trzymał się pochyło i taką miał minę, jakby na siodle drzémał. Może i drzemał ze względu na to, że noc bezsennie spędził. Za nim w oddaleniu niejakiém postępowała eskorta świetna, złożona w części z gwardyi przybocznéj, w części z urzędników dworskich, wchodzących do korpusu łowieckiego. W przejeździe przez miasto wiedeńczycy i wiedenki zatrzymywali się i pokłonem pochylali. Cesarz mijał ich obojętnie. Za miastem kawalkada ruszyła kłusem i na miejscu zbornéni stanęła punkt o godzinie oznaczonéj, szykując się nieopodal od zastępu zaproszonych, złożonego z osób płci obojga.

Miejsce zborne znajdowało się w południowo-zachodniéj Wiednia stronie, pomiędzy Schönbrunnem a Kalksburgiem. W punkcie tym wznosił się zniszczony późniéj przez Turków pawilonik, przed którym w linii prostéj ciągnęła się baryera biała, oznaczająca zagrodzenie. Z boku nieco w baryerze otwierały się wrota na biegunach osadzone, za nią zaś widniały lasy, okrywające przestrzeń, rozlegającą się pomiędzy rzeczkami Wien, od któréj stolica nazwę wzięła, a Liesing, która Wiedeń zdala od południa opływa i, w połączeniu ze Schwechem, do Dunaju wpada. Przestrzeń ta przedstawia się pod postacią wyżyny wzgórzystéj, rozłożonéj symetrycznie do pasma, ciągnącego się z zachodu na wschód i stanowiącego podział wód, które w strumieniach spływają na północ ku Wienowi i na południe do Liesinga. Strumienie tworzą wąwozy, jedne urwiste, inne o spadkach łagodnych, inne znów urwiste i kamieniste. Śród lasów polany i miejsca otwarte formują mniejsze i większe wytoki, które, w kombinacyi z wąwozami, wytwarzają knieje i stanowiska myśliwskie.

Miejscowości téj część, wysokim ogrodzona częstokołem, zajętą była na zwierzyniec, część większa ku zachodowi wysunięta

przeznaczoną była na wyłączny dla cesarza myśliwski użytek. Łowy odbywały się w ten sposób, że ze zwierzyńca wypuszczano jelenie, sarny, zające, wilki, lisy, dziki, niekiedy niedźwiedzi nawet i te, przez psy gonione, wpadały do kniei i wychodziły na stanowisko cesarskie. Wszystko to było uregulowane i oprogramowane. Na stanowiskach cesarskich wznosiły się altany z balkonami, w kraty żelazne na wypadek wszelki zaopatrzone. Zwierz ten jeno od strzału cesarskiego nie zginął, który, bądź przeznaczony był na zapasy z psami, bądź też wymykał się, w bok szedł i knieją zmieniał. Żaden jednak nie uchodził, knieje bowiem obrzucano sieciami, buntownik się w takowe dostawał, uplątywał i z powrotem do zwierzyńca szedł. Że Leopold I dosyć często chybiał, więc myśliwi inni mieli sposobność strzelania; w razie takim jednak mówiło się, że „zranionego przez najjaśniejszego pana“ dokonywali.

Takiemi były łowy, na które księstwo Frangopano zaproszeni zostali. Z góry przez wielkiego łowczego wtajemniczeni, wiedzieli co ich czeka. Chodziło o wystąpienie stosowne, o przejażdżkę wświcie cesarskiéj i o uczestniczenie w końcu w śniadaniu, które się przyrządzało w Wiedniu i zastawiało, bądź—gdy pogoda sprzyjała—na otwartém powietrzu, bądź téż w pawilonie. Pawilon na to był właśnie.

Dnia tego jednak pogoda dopisywała świetnie. Po mglistym nieco poranku nastąpił dzień jesienny jasny i cichy, nacechowany tą smętnością, którą zżółkłe liście nawiewają i obnażone gałęzie charakteryzują. Zastęp zaproszonych, nieliczny ale dobrany, uszykował się wzdłuż drogi, jak skoro eskorta cesarska ukazała się wdali. Jeźdźcy płci obojéj stanęli w szeregu jednym, w którym księżnéj Julii dostało się miejsce na skrzydle prawém. Młoda kobieta wyglądała pysznie. Pod nią był koń kary kruczéj czarności, arabskiéj rasy, ognisty a łagodny, na którym ona, w udrapowaniu odzieży, co kształty jéj uwydatniała, wydawała się niby geniusz wmieszany pomiędzy śmiertelników zwyczajnych. Jazda konna przyrumieniła jéj policzki; z pod odrzuconego w bok woalu gazowego, który z ukosa przez czoło wałkiem lekkim się przewijał, wyglądały oczy jéj duże, czarne. głębokie. Siedziała na siodle od niechcenia, prowadziła konia z wdziękiem niewysłowionym,—zdawało się, że była przewodniczką tego szeregu jeźdźców, co się w lewo od niéj ciągnął—że hetmaniła temu orszakowi świetnemu, w którym konie i ludzie, rynsztunki i odzieże odznaczały się wyglądem i bogactwem.

Cesarz zrobił zastępu tego przegląd—przed szeregiem przejechał i razy kilka głową skinął. Przegląd zaczął od lewego. Naskrzydle prawem zatrzymał się—widocznem było, że przemówić coś chciał,

lecz konia ściągnął i, ściągając, niewłaściwie go snadź zażył tak, że koń, zażyciem tém zdziwiony, na tylnych łapach przysiadł i przedniemi do góry się wspiął. Cesarz w siodle równowagę stracił—strzemiona i cugle wypuścił. Koniuszowie poskoczyli. Na szczęście koń, który intencyi złéj nie miał najmniejszéj, stanął i jeźdźcowi do odzyskania równowagi pomógł. Masztalerz go pogłaskał; cesarz strzemiona włożył i cugle ujął i, nie oglądając się, daléj ruszył.

Wypadek ten sprawił niejaki, pomiędzy damami zwłaszcza, niepokój. Słyszéć się dało ochów parę. Księżna Julia nie krzyknęła, strwożyła się jednak; pomyślała sobie, że najjaśniejszy pan nie należy do rodzaju jeźdźców znakomitych i dla tego wielkiém było zdziwienie jéj, gdy usłyszała, mimowolnie niby wyrywające się z ust, wykrzykniki:

— Jakże świetnie jego cesarska mość konia zażył!..

— Jakiż z najjaśniejszego pana jeździec doskonały!..

-- O jeździec...—w duchu sobie powiedziała.

Politowanie ją zdjęło. Na zastanawianie się atoli czasu nie miała, w chwili téj bowiem wielki łowczy na damy skinął i wskazał im miejsce tuż za cesarzem. Damy się naprzód wysunęły. Amazonek dwanaście do Leopolda I, przyszlusowało. Cesarz, ochłonąwszy z wrażenia doznanego, wprowadził konia w ten chód szkolny, co się kurs galopkiem zowie. Damy wnet kursgalopkiem ruszyły. Za przykładem dam poszedł hufiec męski. Galopował cesarz, galopowały damy, galopowali dygnitarze wysocy, galopowała eskorta; tentent kopyt wszedł w takt miarowy a to dla tego, że ponieważ Leopold I z prawéj nogi konia swego do galopowania poruszył, więc wszystkie i wszyscy z nogi prawéj galopowali. Powstało stąd regularne: tra-ta-ta—tra-ta-ta—tra-ta-ta, które echo na lasy niosło i w ostępach powtarzało. Tra-ta-ta rozlegało się po okolicy. Młoda hrabina jakaś, co obok księżny jechała, za ruchem galopka ciałem się podając, zawołała:

— Ach! jakież to zachwycające...

— Co?..—zapytała księżna.

— Nie słyszysz pani... echa?.. Góry górom, lasy lasom jazdę naszą podają... Zdaje się, jakby nas jechało tysiące tysiące... Ach! nikt jak najjaśniejszy pan jazdy urządzać nie umie... Ach! te echa...

Tra-ta-ta—tra-ta-ta. Cesarz zadumany jechał przodem, mijając pikierów, którzy go, ustawieni wzdłuż drogi co kroków półtorasta, salutowali. Galopował, kiwał się i myślał. O czém myślał? Może o gwiazdzie téj, co w konstelacyą jego weszła i na którą mu astrolog horoskop postawił? Horoskop imię Julii wypisał. Kobieta żadna bardziéj, aniżeli ona, gwiazdą się zwać prawa nie miała. Jaśniała,

promieniła, światłem się mieniła i na karym źrebcu galopowała. Może Leopold myślał o tém, jak koniowi lekką być musiała, albo o tém, z jakiém uczuciem kary źrebiec na grzbiecie swoim ją dźwigał, albo o czémś podobném. Rzeczy takie przypuszczalnemi były z tego względu, że cesarz dopuszczał się w momencie tym, czego się przedtem nie dopuszczał nigdy, a mianowicie, głowę spuszczoną w bok wyginał i przez ramię w tył spojrzenia rzucał. Rzucał spojrzenia nie na kogo innego, tylko na księżnę Frangopano. W manewrze tym tak się wydoskonalił, że spojrzenia wydłużał i zmieniał je w patrzenie. Była to sztuka nie mała. Sztuka ta atoli sprowadziła zdarzenie nadzwyczajne.

Droga prowadziła wzdłuż strumienia Liesing do Breitenfurth i w Breitenfurth zwrócić należało w prawo, ażeby dojechać do uroczyska, zwanego Wilcze Doły (*Wolfsgraben*), na którém odbyć się miały łowy. Drogę tę cesarz znał doskonale, przewodniczył dobrze, dojechał do Breitenfurth i, zamiast wziąć się w prawo, w tył się zapatrzył i pogalopował wprost. Pogalopował cesarz, pogalopowały damy, pogalopowali zaproszeni panowie i dworzanie i eskorta—wszyscy. Na damach, panach i eskorcie nie sprawiło to wrażenia najmniejszego. Cesarz prowadził, oni się za nim garnęli. Dworzanie jednak zaniepokoili się ogromnie. Na Wilczych Dołach przysposobioném było polowanie i śniadanie. W cóż się to obróci? Dwa odyńce na uwięzi czekają przy parkanie, czeka niedźwiedź z lasów tyrolskich sprowadzony, czeka jeleni kilka, psy skomlą, dojeżdżacze w pogotowiu stoją, a cesarz towarzystwo łowcze Bóg wie dokąd prowadzi.

Za Breitenfurthem droga zmieniła postać, z szerokiéj bowiem, równéj i ujeżdżonéj stała się wąską pod górę idącą i nie noszącą na sobie śladów uczęszczania. Szczegół ten nie zwrócił na siebie uwagi cesarza. Galopował daléj pomimo, że koń nie szedł tym pewnym, co poprzednio, krokiem. Nie zważał na to, że przy drodze pikierów nie było i, dzięki okoliczności téj, nie była ona oczyszczoną z zawad, jakie przedstawiają podróżni. Skutkiem tego, trafił się chłop z furą drzewem nałożoną. Chłop z drogi nie zboczył, cesarz na niego wprost najechał i byłby ze spotkania tego nastąpił wypadek, gdyby nie koń, który furę z natchnienia własnego wyminął. Damy zdumionego chłopa objechały, panowie także; z eskorty gwardzista jeden mimojazdem dla zabawy korbaczem go ściągnął; wielki łowczy się przy nim zatrzymał i zapytał:

— Dokąd droga ta prowadzi?..

— Oj oj...—była odpowiedź.

— Czego stękasz?.. Nie stękaj, ale odpowiadaj!..

— Odpowiadam na zapytanie, co mi na plecy spadło...

— Odpowiadaj na to, co ci do uszów wpada, jeżeli ci uszy milsze aniżeli plecy... Dokąd droga ta prowadzi?..

— Na zrąb...

— A za zrębem?..

— W las...

— A za lasem?..

— W wąwóz pfalzauski...

— Czy z wąwozu tego można na Wilcze Doły wyjechać?..

— Można, ale trzeba do Breitenfurth wrócić...

Informacye te dostawszy, wielki łowczy ostrogami konia spiął i za orszakiem popędził.

Widocznem było, że cesarz zbłądził, nie było jednak nikogo, co by się go z błędu wyprowadzić ośmielił.

Kursgalopek szedł daléj porządkiem swoim z tą jeno różnicą, że się echo nie rozlegało. Dźwięczny tentent kopyt zmienił się w mętny łoskot deptania. Zaszła zmiana jeszcze jedna. Poprzednio damy jechały po sześć z frontu; na wąskiéj drodze musiały się wyszykować dwójkami. To ostatnie usunęło księżnę z pod promieni spojrzeń w tył cesarskich i zmusiło Leopolda I do wykręcenia się na siodle w celu dowiedzenia się, co się stało. Popatrzył, ale—czy widział? Od chwili téj spojrzeń w tył już nie rzucał, patrzał przed siebie i dojechał na zrąb, na którym tu i owdzie drzewo w sągach stało, tu i tam chłopi fury ładowali, ślady kół się rozchodziły i plątały, pnie sterczały, a w poprzek leżał dąb duży zrąbany. Na widok dębu tego koń cesarski kark wygiął, uszy nastawił, furknął, nogi zebrał i susem jednym na drugą stronę kłody się przerzucił.

Przerzucił się koń, przerzucił się cesarz, ale, niestety—nie na koniu. Koń, kitę do góry podjąwszy, brykać począł; cesarz zaś pozostał na ziemi grzbietem do góry, przedstawiając postawą swoją podobieństwo niejakie do X. Z siodła, niby z procy, wysadzony, zakreślił w powietrzu łuk i padł na ziemię plackiem, pozbywając się z głowy kapelusza i peruki. Kapelusz, peruka i on zajmowali miejsca oddzielne, pierwszy na prawo na ziemi legł, druga na pniu zawisła, trzeci zaś, na wielkie swoje szczęście—na to szczęście, co rodowi Habsburgów stale przyświeca—dostał się na miękki grubo warstwą liści suchych okryty grunt.

Wypadek ten z piersi dam wydobył jeden wielki okrzyk trwogi. Wszystkie przed dębem konie wstrzymały i, zanim okrzyk ich przebrzmiał, z po za kolumny damskiéj wyskoczył, wichrem mimo przepędził, przez dąb przesadził i na miejscu przy cesarzu konia osadził jeździec. Jeźdźcem tym był markiz Frangopano. W mgnieniu oka

z konia zeskoczył, pochylił się, cesarza ramieniem wpół objął, dźwignął i na nogi go postawił.

— Najjaśniejszy panie... co?..—ze spółczuciem przemówił.

Cesarz się zatoczył, wnet jednak poprawił się i o sile własnéj stanął.

— Wody może?..

Leopold I nic nie odpowiadał.

— Jak się wasza cesarska mość czujesz?..

Przez czas ten dojechał orszak cały; mężczyzni z koni pozsiadali i w oddaleniu, jakie etykieta nakazuje sformowali półkole, w którém oblicza wszystkie przyodziały się w wyraz smutku głębokiego. Masztalerze poskoczyli do konia cesarskiego i wnet go pojmali. Łagodne zwierzę brykało, lecz wziąść się dało.

Cesarz nic nie odpowiedział na ostatnie markiza zapytanie i wprawił go przez to w położenie fałszywe. Frangopano nie wiedział, co z figurą swoją począć. Spodziewał się podziękowania a nie dostawał odpowiedzi; patrzał w oblicze Leopolda I i widział, jak twarz jego, blada zrazu, odzyskiwała powoli barwę cery zwyczajną, jak oczy, które wyrażały przestrach, przybierały wyraz niezadowolnienia surowego. Trwało to chwil kilka; wreszcie cesarz odwrócił się do niego tyłem i wykonał skinienie, zrozumiałe jeno dla dworzan. Dworzanie poskoczyli. Wielki marszałek przystąpił w postawie, oznaczającéj oczekiwanie na rozkazy. Zamiast rozkazu usłyszał zapytanie.

— Gdzie się podział Breitenfurth?..

— Pozostał, najjaśniejszy panie, za nami...

— Przejechaliśmy go?..

— Przejechaliśmy, najjaśniejszy panie...

— Niech tam na nas czekają...

Rozkaz ten wielki marszałek orszakowi myśliwskiemu powtórzył i wnet damy się zwróciły, panowie na koń powsiadali. Markiz jeszcze, co ze sobą począć nie wiedział. Wydawało się mu, że mu się należy przynajmniéj, jeżeli nie Bóg zapłać serdeczne, to uprzejme bodaj głowy skinienie. Nie wiedział, że stoi w obec tego samego Leopolda I, który nie będzie się czuł obowiązanym dziękować Sobieskiemu, za pewną — „przysługę małą." Nie wiedział téż, co począć z sobą,—aż marszałek na niego skinął, dając mu znak oddalenia się. Nie pozostawało nic innego: cofnął się, na koń wsiadł i w chwilę późniéj złączył się ze zjeżdżającym z góry orszakiem, w którym rozmowa toczyła się o wypadku, o zimnéj krwi i o heroiczném znalezieniu się cesarza, a także o tém, że nad świętą osobą jego wyraźnie czuwa opatrzność.

— Ten pień...—ktoś się odezwał.

— Ach! pień...—ktoś zawołał.

— Bez przerażenia o tém myśléć nie można...

— Tak blisko...

— Tak blisko, że... peruka...

Na wzmiankę o peruce, jednéj z dam słabo się zrobiło, opanowały ją mdłości,—pogarnięto się do niéj z solami i było to wielkie dla księżnéj Julii szczęście, uwaga bowiem na mdlejącą damę zwróconą odwróciła się od niéj w chwili, kiedy ona śmiechem parsknęła. Do śmiechu pobudziło ją wspomnienie peruki na pniu. Koniowi cugle ściągnęła, usta sobie chustką od nosa zasłoniła i zapanować zdołała nad wybuchem, który by ją był na wieki skompromitował. Ochotę jéj do śmiechu zneutralizowały przytém słowa męża.

— Zdaje się—rzekł markiz półgłosem, przyszlusowawszy do niéj—żem się naraził na niełaskę cesarską...

— Skąd-że to!..—odparła.

— Etykietę zgwałciłem...

— W razach podobnych wolno chyba gwałtu się na etykiecie dopuścić...

— Zdaje się... Ale...

Ktoś podjechał; rozmowa się pomiędzy małżeństwem zerwała; księżna straciła do śmiechu ochotę.

Orszak, z góry zjechawszy, zatrzymał się w Breitenfurth przy karczmie.

— Cóż nastąpi daléj?..—rzucił ktoś pytanie.

— Dziś z łowów nic już nie będzie...—odpowiedział z dygnitarzy jeden.

Opinia ta znalazła uznanie o ile powszechne, o tyle jednogłośne; nie wiedziano jeno, jak się odbędzie powrót do Wiednia i czekano, bądź na rozkazy, bądź na powrót cesarza, w ogóle—na wiadomość ze zrębu. Z panów jedni z koni pozsiadali i przechadzali się, inni żartować poczęli z chłopami, których ściągnęła obecność jeźdźców płci obojga, przedstawiających grono, jaśniejące przepychem. Chłopi, w gromadę zbici, przypatrywali się oczami zdziwionemi. Wszystkie dzieci, prawie wszystkie niewiasty i nie jeden z mężczyzn mieli usta otwarte. Na zadawane im zapytania albo nie odpowiadali wcale, albo odpowiadali pomrukiem niezrozumiałym, a ściągali się w ilości coraz to większéj tak, że zebrała się pod karczmą ludność wsi całéj w momencie, gdy z góry kłusem wyciągniętym nadjechał łowczy wielki. Nadjechał, konia wstrzymał i głosem donośnym zawołał:

— *Pleno titulo* panie i panowie, uszykować się raczcie tak samo, jak pod pawilonem... Najjaśniejszy pan przybyć raczy za chwilę...

Wnet panowie rzucili się do koni, powsiadali i uszykowali się. Od karczmy drogi się rozchodziły—jedna do Wiednia, druga do Wilczych Dołów. Szereg wyciągnął się wzdłuż pierwszéj.

— A nie!..—zawołał wielki łowczy—nie tędy...

Drogę do Wilczych Dołów wskazał.

— Nie do Wiednia?..—ktoś zapytał.

— Nie...—odpowiedział.

— Łowy więc?..

— Łowy...—odrzekł wielki łowczy i, gdy się szereg wyrównał, dodał:—Najjaśniejszego pana okrzykiem uwielbienia powitać należy, za zbliżeniem się przeto osoby jego, niech w szeregu panuje milczenie, niech jeno oczy wasze, panie i panowie, wyrażają zachwyt i nie prędzéj, aż jego cesarska mość do środka szeregu dojedzie, niech nagle i mimowolnie z piersi wszystkich wydrze się okrzyk: *Hoch*!.. Konieczném jest, ażeby okrzyk był mimowolny...

Zwrócił się następnie do wieśniaków.

— Wy chłopi!..—podniesionym zawołał głosem. Wy, jak skoro okrzyk „*hoch*!“ usłyszycie, krzyczcie z sił całych... krzyczcie i czapkami wymachujcie... Rozumiecie?.. Który nie krzyknie i czapki w górę nie podniesie... kije!..

Powiódł następnie okiem po szeregu panów i gromadzie włościan i wkrótce potém ukazał się na drodze złożony z dworzan i gwardyi orszak, na czele którego jechał stępem cesarz w peruce i kapeluszu. Jechał, zbliżył się,—w szeregu panów oblicza jeźdźców przybrały wyraz rozrzewnienia radośnego i unabożnienia dziękczynnego, w oczach dam niektórych błyszczały łzy a dłonie ich niby do modlitwy się składały. Cesarz dotarł do środka szeregu—milczenia nie przerwał nikt i kto wie, co by było nastąpiło, gdyby nie wielki marszałek, który, brwi zmarszczywszy, ręką energicznie dał znak. Na znak ten z piersi wszystkich wydarł się nagle okrzyk grzmotny. Okrzyk chłopi podchwycili. *Hoch*! zabrzmiało donośnie, przeciągle, zawrzało i echem się poniosło na lasy i góry.

Leopold I zlekka kapelusz podniósł i zlekka głową skinął.

Okrzyk powtarzać się nie przestał, aż na dany przez wielkiego łowczego znak szereg się złamał i orszak sformował się tak, jak poprzednio, gdy z pod pawilonu ruszył.

Cesarz nie rzucał już spojrzeń w tył, jak na drodze z Wiednia do zrębu, niebawem téż doprowadził grono gości myśliwych na Wilcze Doły, gdzie nastąpiło najprzód ogólne z koni zsiadanie, daléj rozprowadzanie na stanowiska w końcu trąbienie i hukanie. Leopold I

w otoczeniu dam, które wnętrze altany zajęły, zajął miejsce swoje na balkonie mając pod ręką dworzan, co muszkiety i lonty zapalone trzymali i w odwodzie gwardyą, która na warcie stała.

Słyszéć się dało zławianie się psów, i zławianie się to niebawem zmieniło się w to gwałtowne, chóralne, ze skowyczeniem połączone ujadanie, które znamionuje, że psiarnia goni na oko. Gonienie, echami po ostępach roznoszone, ozwało się w oddaleniu i stopniowo się wzmagało, zbliżało, aż zabrzmiało potężnie nieopodal i na strzał cesarski wyszedł duży, rozjuszony, kłami białemi i okiem zaognioném błyskający odyniec, na którego psy, również rozjuszone, z tyłu i z boków się rzucały. Na widok ten dam kilka tłumiony okrzyk przerażenia wydało. Cesarz flintę wziął, na baryerze oparł, złożył się; giermek lont przytknął, wystrzał huknął—pies się wywrócił, odyniec daléj poszedł.

— Ranny!..—wygłosił pośpieszający za psami dojeżdżacz.

— Ranny!..—powtórzyły z kniei głosy, którym zawtórowały wystrzały, powtarzające się jeden po drugim.

Wkrótce trąbienie oznajmiło, że dzik zginął, hałas w lesie ustał i w czas jakiś późniéj wielki łowczy, poprzedzając niesionego na drągu odyńca, nadbiegł z zapytaniem, jaką najjaśniejszy pan zwierzynę ruszyć rozkaże.

Cesarz rozkaz dał. Trąbienie i gonienie powtórzyło się dla jelenia, który również zginął; powtórzyło się następnie dla drugiego jelenia i dla drugiego dzika—i tak daléj, aż się łowy skończyły i zastawiono—dla cesarza w altanie, dla gości pod niebem otwartém—śniadanie.

Po śniadaniu komendant gwardyi zażądał w imieniu cesarza od księcia Frangopano szpady, oświadczając mu, że do rozkazów dalszych aresztowanym jest w domu własnym.

XIII. **Przygoda wielkiego marszałka.**

Polowanie nie wypadło tak, jak—zdaje się—wypaść było powinno. Nieprzewidziany w programie wypadek spadnięcia z konia szyki pomieszał; aresztowanie markiza pomieszanie szyków spotęgowało. Odbiło się to na powrocie do stolicy, który się dokonał w tym samym, co wyjazd z takowéj porządku i z taką samą na pozór swobodą. W oczach jednak jadącego przodem cesarza malowało się roztargnienie, które się wyraziło przez to, że się cesarz, jak to w zwyczaju jego było, przy pawiloniku na punkcie zbornym nie zatrzymał i gości zaproszonych nie pożegnał. Przejechał—za nim pociągnęła kawalkata cała. Orszak posuwał się kursgalopkiem i dopiero u bra-

my miasta kursgalopek zmienił się na stęp a to dla téj przyczyny, że widziéć się dały drogą zalegające tłumy ludu. Koń cesarski z natchnienia własnego kroku zwolnił. Lud okrzyki „*Hoch*!“ wydawał: u saméj zaś bramy burmistrz na czele rady miejskiéj w strojach odświętnych drogę najjaśniejszemu panu zastąpił i w krótkiéj przemowie wyraził uczucie wdzięczności dla Pana niebios i ziemi, który świętą osobę jego opieką swoją osłonić raczył:

— W bolesnym—jak powiadał—wypadku... w wypadku o którym gdy wiadomość do miasta wpadła, serca wiernych poddanych twoich przejął smutek niewysłowiony... Wieść ta była dla nas wieścią Hiobową... Zmieniła ją radośna i dla tego, najjaśniejszy panie, widzisz na obliczach naszych w połączeniu nieoschłe jeszcze łzy smutku rozpaczliwego i wyraz radości niewysłowionéj...

Przy wzmiance o łzach i rozpaczy burmistrz się skrzywił; przy wzmiance o radości uśmiechem oczy napełnił i usta rozciągnął. Wypadło to arcykomicznie i byłoby dwór do śmiechu pobudziło, gdyby się był zaśmiał cesarz. Cesarz atoli, słuchając, wzrok miał w uszy konia, na którym siedział, wlepiony i najmniejszy oblicza jego ruch nie poświadczył, jako krasomówcze przemowy okresy do słuchu mu wchodzą. Przemowy nie słyszał; kontorsyi burmistrza nie widział; dolna mu warga drgała; dworzan płci obojga wargi drgały także, żaden z nich atoli, ani śmiechem nie wybuchnął, ani nawet uśmiechem ust nie okrasił. Każdy z nich stosował się do cesarza z wyjątkiem księżny Julii, która się stosowała do saméj siebie. Zawadzało jéj mocno—aresztowanie markiza. Luboć się już, jak jéj się zdawało, dostatecznie z etykietą i ze zwyczajami dworskiemi oswoiła, nie mogła jednak pogodzić się z myślą aresztu tego.

— Za co?..

Zapytanie to, w głowie młodéj kobiecie tkwiące, przeszkadzało jéj uwagę na akcentowaną mimiką komiczną przemowę zwracać. Patrzyła—nie widziała. Trzymała się gromady, nie wiedziała bowiem, co z sobą począć. Domyślała się, iżby *crimen lesae* etykiety popełniła, gdyby się od drużyny oddzieliła i do siebie udała. Trzymała się przeto gromady i z nią razem, pod przewodnictwem cesarza, dotarła na podwórzec pałacowy. Przed wnijściem głównem cesarz się zatrzymał. Na dokonany przezeń ruch, znamionujący ochotę zsięścia z konia, z koni zsiadło towarzystwo całe. Odbyło się to szybko i porządnie. Masztalerze pomogli damom. Goście cesarscy znaleźli się na bruku podwórca prędzéj, aniżeli cesarz sam, który z bruku podwórca pośpiesznie wszedł na schody, przekroczył otworzone przed nim na ścieżaj podwoje i znikł. Znikł—bez oglądania się po za siebie.

Pośpiech ten miał na sobie pozór ucieczki—ucieczki, stanowiącéj sama przez się pogwałcenie etykiety dworskiéj.

Dworzanie osłupieli.

Bez rozkazu, bez skazówki najmniejszéj pozostawiona—porzucona raczéj—przed progiem płci obojga gromada nie wiedziała, co począć z sobą. Panowie i damy spoglądali jedni na drugich a w oczach ich malowało się zdumienie. Samo już poprowadzenie drużyny od punktu zbornego do zamku formę naruszało. Naruszało ją jednak w części. Najjaśniejszemu panu podobać się mogło po wypadku, o którym ludność stolicy zawiadomioną została, pokazać się ludności na czele zastępu, co był wypadku świadkiem. Powinien był jednak o świadkach pamiętać. Powinność ta frasowała szczególnie wielkiego marszałka dworu, który od pawilonu zbornego do zatrzymania się przed progiem zamkowym myślał nad rozwiązaniem niesłychanie ważnego zadania, przedstawiającego się mu pod postacią następującego zapytania:

— Gdyby najjaśniejszy pan najmiłościwiéj gościom na pokoje wejść rozkazać raczył, jak się wnijście to uskutecznić by mogło?..

Zapytanie tyczyło się odzieży. Wystąpienie gości na pokojach w odzieży łowieckiéj wydało się wielkiemu marszałkowi czynem, przechodzącym pojęcie wszelkie. Nie przypuszczał, ażeby się cesarz miał do tego zapomnieć stopnia i wprowadzić na posadzki pałacowe damy w amazonkach, mężczyzn w botfortach. Coś podobnego wydawało mu się wprost rzeczą niemożliwą. Uspokajała go atoli do pewnego stopnia nadzieja rozkazu. Nadzieja ta zawiodła. Dygnitarz znalazł się w kłopocie niewysłowionym. Stanął, we drzwi za któremi cesarz znikł oczy wlepił i miał wyraz człowieka zawstydzonego i przerażonego. Przerażenie pochodziło od poczucia ogromnéj, jaka na niego spadała, odpowiedzialności. Zwrócił się do wielkiego łowczego z zapytaniem w oczach. Wielki łowczy ramionami ścisnął i mruknął.

— *Casus fatalis*...

Sytuacyę wytłómaczył, ale rady nie udzielił.

Sytuacya wyrażała się przez to, że kilkadziesiąt osób, należących do najznakomitszych w cesarstwie rodzin, skwarzyło się na słońcu.

Słońce, luboć jesienne, przypiekało. Przypiekanie spowodowywał podwórzec zabudowany, w którym kamienie, szkła, blachy rozgrzane wypromieniały cieplik skoncentrowany. Damy wyglądały, niby piwonie. Księżnéj krew o mało z policzków nie tryskała. Było jéj duszno, a przytém niepokój ją przejmował. Oglądała się. Wydało się jéj, że w jedném z okien pałacowych widzi za szybą

oblicze cesarza. Spojrzała raz, spojrzała raz drugi; przekonała się, że w rzeczy saméj było to cesarza oblicze; nie łudziła się — chyba pod tym względem, iż wzrok cesarski na postaci jéj spoczywał. Przez szybę tego widziéć nie mogła. Złudzenie to jednak zadowolnienia jéj nie sprawiało—przeciwnie. Męża jéj aresztować kazał i jéj się przypatruje! Drażniło ją to. Chciałaby się usunąć jaknajrychléj.

Chęć tę podzielali z nią wszyscy.

Młody jeden pan, kapeluszem się wachlując, do marszałka podszedł i zapytał:

— Ekscelencyo... i jakże?..

— Polowanie się powiodło — odpowiedział dygnitarz.

— No... tak... — odrzekł młody pan tonem od niechcenia. Powiodło się....

— Znakomicie...

— O... znakomicie... Luboć... — zaczął tonem, zapowiadającym obiekcyą.

— Najjaśniejszy pan — podchwycił dygnitarz — wyrazić się raczył, że się powiodło znakomicie...

— A...—młody pan na to.—Jeżeli tak, wypadło więc jakby mu Dyana we własnéj przewodniczyła osobie... Ale... nie o to mi chodzi — zaczął.

Wielki marszałek przerwał:

— Wasza książęca mość arabczyka dosiadałeś... Czy to ten... zdobyty?..

— Nie... nie ten...

— Byłem przekonany, że ten...

— Tamto przecie siwy...

— Siwy?.. nie gniady?..

Wielki marszałek w sposób ten zagadywał, usiłując odwracać zapytanie, na które by odpowiedziéć nie umiał. Udawało się mu to z młodym księciem. Przystąpił jakiś baron—i tego zagadać potrafił. Powiodło mu się także z grafem. Wogóle z panami radę sobie dawał; ale zwróciła się do niego jedna z blondynek, rudawa trochę i nie dała mu się z tropu zbić.

— Ekscelencyo — zaczęła.

— Powinszować pani muszę — podchwycił.

— Ale....

— Wyglądałaś świetnie....

— Czy my tu na podwórzu długo jeszcze pozostawać mamy?— zapytała wręcz.

— Pogoda dzisiejsza dziwnie łowom sprzyjała – wielki marszałek na to.

— Czekamy już godzin dwie przynajmniéj...

— Godzin trzy — poprawiła szatynka, co do blondynki przyszlusowała.

— Cztery co najmniéj — odezwała się podchodząca w chwili téj brunetka.

— Pół godziny jeszcze nie ma—zareplikował wielki marszałek.

— Ekscelencyo! — wykrzyknęło kilka naraz.

Posypały się z ust pięknych sprostowania, co do czasu i reklamacye, co do pozostawania na podwórzu.

— Póki tego będzie? — odezwała się jedna tonem pretensyi.

— Panie! — zawołał wielki marszałek, dłonie podnosząc. Moje *pleno titulo* panie!.. Cierpliwości!.. chwileczkę jeszcze cierpliwości!.. Czyżbyście na tę zdobyć się nie mogły cnotę?..

— Sił brak! — odparła jedna.

— Ale nie brak poświęcenia—odrzekł marszałek.

— Poświęcenia? — powtórzyło kilka z akcentem zdziwienia; jedna zaś zapytała: — Dla kogo?..

— Dla najjaśniejszego pana... Dla najjaśniejszego pana — powtórzył dwukrotnie, dobitnie, z akcentem oznaczającym, że chodzi o rzecz wagi ogromnéj.

Z mężczyznami powiódłby się manewr podobny. Pokolenie, wychowane w poszanowaniu władzy bezwzględném, nie pytało o istotę poświęcenia i miało sobie za obowiązek najświętszy, gdy o nie w odniesieniu do osoby monarchy chodziło, dogadzać wszelakim przywidzeniom, fantazyom i dziwactwom. Poświęcało się jednakowo, czy poświęcenie polegało na zahazardowaniu życia, czyli téż na kiwaniu palcem. Z damami atoli rzecz nie poszła tak gładko, pomimo że i im na gotowości do poświęcenia się nie brakło, o czém poświadczył wydany przez jednę z nich okrzyk.

— Dla najjaśniejszego pana! — zawołała — ach!.. czegożbym ja dla najjaśniejszego pana nie zrobiła?.. Dla najjaśniejszego pana?..

— O księżno! — odparł wielki marszałek wzruszony i rozrzewniony.

— Tak... gdyby najjaśniejszy pan zażądał odemnie życia, dałabym mu bez namysłu życie... wszystko... ale...—zaczęła.

— Pani... — podchwycił wielki marszałek, przeczuwając restrykcyą jakąś groźną. — Chwilka cierpliwości mniejszą jest, aniżeli wszystko....

— Na podwórzu?.. na słońcu? — zapytała.

— Poświęcenie....

— Cóż najjaśniejszemu panu po poświęceniu, które prowadzi do zemdlenia?

Gdy wyraz ostatni wymówiony został śród dam, które wielkiego marszałka otoczyły, słyszéć się dały stękania i pojękiwania. Były to wszystko damy młode i mniéj więcéj piękne, wydawały więc stękania i pojękiwania dźwięczne. Wydzierające się z piersi ich achi i ochi brzmiały srebrzyście. Przypuszczać należy, że brzmienia te, zlewające się w rodzaj pewien chóru śpiewnego, wzruszały wielkiego marszałka, człowieka acz leciwego i poważnego, ale jarego i podpasionego, a więc odczuwającego na sobie wpływ kukań niewieścich. Położenie męża tego przyrównać by się dało do położenia przepióra śród bijących na trwogę przepiórek. Otaczające go damy podchwyciwszy ostatni téj księżny, co z nim mówiła, wyraz, jedna po drugiéj wywoływać poczęły:

— Jam bliska zemdlenia!..

— Duszno mi... oh!..

— Ja mdleję!.. ach!..

— Po co my tu? — odezwała się jedna głosem skargi tkliwéj.

Wielki marszałek miał na zapytanie to tłómaczenie racyonalne: „Cesarz rozkaz dać zapomniał.“ Ale—czyż on powiedziéć mógł, że „cesarz zapomniał“? W czasach owych było to rzeczą nieprzypuszczalną. Cesarz, pomazaniec boży, nie myli się i nie zapomina nigdy. Nie—wielki marszałek do tłómaczenia podobnego uciec się nie mógł. Nie pozwalało mu na to sumienie. Nieomylność cesarska stanowiła dla niego dogmat religii politycznéj, który ukuty na dworze hiszpańskim, przeszedł na dwory francuski, austryacki i na tym ostatnim wzmógł się w potęgę wielką. Wielki marszałek przeto myśl o zapomnieniu cesarskiém odganiał od siebie i raczéj by dopuścił, ażeby mu język w gębie usechł, aniżeli by miał odpowiedzialność własną podobném osłonić tłómaczeniem.

— Cierpliwości!.. poświęcenia!.. Poświęcenia, cierpliwości! — przemawiał do dam z błagalnym w głosie akcentem.

Akcent ten nie zdołał katastrofy odwrócić. Jedna z dam—hrabina czy baronowa któraś — zemdlała. Męska towarzystwa połowa pogarnęła się do niéj z ratunkiem. Słyszéć się dały okrzyki trwogi, okrzyki, które wielkiego marszałka zatrwożyły. Okrzyki podobne na podwórzu cesarskiém? — skandal!.. Mdlejące damy w zamku, w którym, niby w świątyni, chodzono na palcach i mówiono po cichu?.. Jeżeli nieczekanie na rozkaz było w mniemaniu jego występkiem, to występkiem jeszcze większym przedstawiło się mu dopuszczenie dam do rozruchów mdławych pod bokiem cesarza. Horror! Przed czémś podobném wzdragała się dworska dusza jego. Nie— tego on nie dopuści. Nie — tego on dopuścić nie może. Przed nim stanęła alternata, złożona z dwóch pogwałceń formalności, z których

jedno było złém, drugie gorszém jeszcze. Przedstawiło się mu do wyboru: to, albo to. Poznał, że wahać się nie można, poczuł w sobie popęd heroiczny—wybrał. Na odpowiedzialność swoję wziął złe mniejsze.

— Niech będzie co chce — odezwał się tonem, który drżeniem swojém zdradzał postanowienie heroiczne. Panie i panowie, w wypadku tym nadzwyczajnym odważam się na czyn, który mieć może następstwa groźne!.. Żegnam was w imieniu najjaśniejszego pana!..

Wyrazy ostatnie wymówił z pewnym rodzajem uniesienia, znamionującego dziwienie się odwadze własnéj. Wymówił je i stanął w postawie, wyrażającéj oczekiwanie na następstwa. Myśliwi tymczasem koni dosiadali. Panowie posługiwali damom, udzielając im pomocy do podnoszenia nóg na wysokość strzemion i usadowiania się na siodłach. Czynności téj młodzież oddaje się z ochotą. Wielki marszałek przypatrywał się onéj obojętnie, myśląc o czynie własnym, nie zważał przeto, jak jeden z grafów młodych podsadzał małżonkę jego, jak ona następnie rękę mu na siodle przysiadła, jak na młodego człowieka wymownie spojrzała i jak młody ów pan, wyekspedyowawszy wielką marszałkowę, poskoczył do markizy Frangopano i jéj również do wsiadania na koń pomagał. Ale mu ona na siodle ręki nie przysiadła. Podziękowała, wdzięcznie się uśmiechnęła i odjechała.

Jak skoro ona poprzedzając towarzyszącego jéj masztalerza, za bramą zamkową znikła, jedno z okien zamkowych z trzaskiem się otworzyło i w oknie ukazała się postać cesarska.

W chwili téj młody graf do wielkiego marszałka się zbliżył w intencyi zamienienia z nim słów kilku.

Lecz na doprowadzenie intencyi swojéj do skutku czasu mu zabrakło. Z okna słyszéć się dał głos cesarza. Głos zabrzmiał gniewnie, ucinkowo, metalicznie. Wielki marszałek skamieniał; młody graf również. Nie rozumieli oni tego, co cesarz powiedział. Wnet atoli zrozumieli. Przed nimi jawił się komendant warty pałacowéj i zwracając się do wielkiego marszałka w te do niego przemówił słowa:

— Z rozkazu najjaśniejszego pana mam zaszczyt aresztować ekscelencyą waszą... Upraszam ekscelencyi waszéj o oddanie mi szpady i o udanie się na strażnicę...

Wielki marszałek w milczeniu szpadę odpiął i oficerowi wręczył.

Komendant zwrócił się do grafa.

— Z rozkazu najjaśniejszego pana mam zaszczyt aresztować waszą nawskróśjasność... Upraszam nawskróśjasności waszéj o oddanie mi szpady i udanie się na strażnicę...

Nawskróśjasność w milczeniu, z wielkiém atoli w oczach zdumieniem, szpadę odpięła i oficerowi wręczyła.

— Proszę *pleno titulo* panów za mną—przemówił ten ostatni.

Wielki marszałek i młody graf poszli za oficerem, który ich zaprowadził na strażnicę i z oznakami grzeczności wielkiéj oddał pod wartę, zalecając komendantowi warty, ażeby ich nie puszczał bez wyraźnego najjaśniejszego pana rozkazu.

— Warta ścisła — dodał.

Wskutek zalecenia tego winowajcy ulokowani zostali w izbie do strażnicy przyległéj, zaopatrzonéj w drzwi mocno okute i w okna grubo okratowane. Meble w izbie téj składały się z pryczy i stołków paru. Służyła ona za więzienie dla paziów, gdy się z nich który zbytku lub przekroczenia dopuścił. Paziowie zależeli od zwierzchniéj wielkiego marszałka władzy. Z powodu tego była mu ona znaną, pozostawała bowiem w rozporządzeniu jego. Posyłał do niéj chłopców, smarkaczów i oto — dostał się sam. Nie spodziewał się czegoś podobnego. Stąd téż, gdy się drzwi za nim zamknęły, opanował go smutek wielki—tak wielki, że nie usłyszał wyrazów, które do niego wystosował młody graf.

— Oto się nam, ekscelencyo, trafiło!..

Wielki marszałek wyrazów tych nie słyszał. Na środku izby stanął, ręce wyciągnął, palce u rąk splótł i głowę spuścił.

— Oto się nam, ekscelencyo, trafiło!—powtórzył graf.

— Ha! — odrzekł wreszcie.

— I za cóż to?..

— Za co?..

— Dopuściliśmy się przestępstwa jakiegoś... Spadła na nas kara...

— Kto wié, czy to kara...

— Cóż więc?..

— Może więzienie prewencyjne — odpowiedział wielki marszałek z westchnieniem.

— I czeka nas sąd?..

— Kto wié...

— Który—ciągnął graf—wskazać nas może na utratę czci, majątku, na banicyą, na śmierć?..

— Kto wié...

— Od czegoż to zależy?..

— Od najwyższéj woli najjaśniejszego pana — odrzekł wielki marszałek tonem rezygnacyi pokornéj.

— To mi się podoba! — zawołał graf. Radbym jednak istotę winy mojéj znać...

Marszałek westchnął.

— Czy wiesz, ekscelencyo, czémeś przewinił?..

— Wiem — westchnął.

— A... to co innego... Powiedz-że mi...

Wielki marszałek głową pokiwał i na stołku usiadł.

— Powiedz przynajmniéj, jaki ja w winie twojéj udział wziąłem, albo wziąść mogłem?..

— Żadnego... zdaje się... — odpowiedział zapytany głosem niepewnym.

— Los twój jednak z tobą podzielam...

— Tak się najjaśniejszemu panu podobało...

— Jakaś w tém jednak musi być racya — zaczął graf — jakąś popełniłem winę... Kiedy?... jaką?... Dawniéj, czy obecnie?.. Dawniéj ?.. — zamyślił się na chwilę. Nie... nie przypominam sobie nic a nic... Obecnie zaś popełnić mogłem coś zdrożnego chyba w tym momencie, kiedy najjaśniejszy pan okno otworzyć raczył...

— Najjaśniejszy pan w oknie stał i patrzył...

— Patrzył... Cóż widział?.. Ach!.. — wykrzyknął graf i dłonią się w czolo uderzył. Niezawodnie widział!..

— Co? — zapytał wielki marszałek.

— A!.. co?.. Dokonałem dwóch czynności, z których jedna.... Nie widziałeś, ekscelencyo?..

Wielki marszałek przypominając sobie, wzniósł do góry oczy i po chwilce odpowiedział:

— Markizie Frangopano na koń wsiąść pomogłeś...

— Tak... Ale to nic...

— Pomógłeś wsiąść na koń żonie mojéj...

— Niestety — odparł graf z westchnieniem.

— Miałżebyś oddaną żonie mojéj usługę uważać za winę sobie.

Młody graf z pod oka na wielkiego marszałka spojrzał i odpowiedział:

— Nie .. nie ja uważam, ale najjaśniejszy pan dostrzegł może czego....

— Czego, naprzykład?.. Raczył chyba nie upodobać sobie tego, żeś pomocy udzielił małżonce winowajcy...

— Może... zapewne... — podchwycił graf tonem, jakim się wygłasza domysł, rozwiązujący zagadnienie. Tak... zapewne... W takim jednak razie, celem poznania doniosłości winy mojéj, radbym się, ekscelencyo, dowiedziéć o twojéj..

— O mojéj?.. Ach! — odrzekł wielki marszałek.

— Czegóżeś się dopuścił?..

— Zgwałcenia formy — odpowiedział głosem takim, jakim by mówił: „Morderstwa.“

Odpowiedział i westchnął głęboko.

— W czém? — zapytał graf.

— Nie ma co taić... losy nas połączyły ciosem spólnym, wyznam więc przed tobą, żem pożegnał gości myśliwych bez czekania na rozkaz najjaśniejszego pana... Dopuściłem się występku ogromnego...— powtórzył z przyciskiem tragicznym.

Tragiczność przycisku oddziałała na grafa, który oczy szeroko otworzył i rzekł:

— *Casus fatalis*... Przecież... nadzieję mieć wolno....

— Nadzieja też mnie nie opuszcza... Liczę na Boga, na łaskawość, na miłosierdzie najjaśniejszego pana, a przytém i na to, że w razie tym zachodzi okoliczność, która winę moję do pewnego bodaj stopnia łagodzi...

— Winszuję ci, ekscelencyo, térnbardziéj, że przypuszczam, iż okoliczność ta i mnie posłuży...

— Zapewne, widzi bowiem Bóg, który mnie sądzić będzie, że jeżelim winę popełnił, to nie dla czego innego, jak dla odwrócenia skandalu... Damy mdleć zaczęły... Wszak widziałeś — zapytał.

— Czemuż najjaśniejszy pan rozkazu pożegnania gości dać nie raczył? — odezwał się graf.

— Czemu?.. ha! — odparł wielki marszałek z giestem odpowiednim. Nie moja, nie nasza rzecz w to wchodzić... Taką była wola jego.. Wolę tę zgwałciłem w intencyi, która, mam w Bogu nadzieję, uwzględnioną i policzoną mi na karb gorliwości w służbie najjaśniejszemu panu będzie....

XIV. Głowy kapuściane.

Przygoda, jaka spotkała wielkiego marszałka dworu i młodego hrabiego, członka rodziny z dziada pradziada do dworu przywiązanéj, równie jak przygoda, któréj uległ markiz Frangopano, wywarły w wiedeńskim świecie wrażenie zaniepokojenia zagadkowego. Co do markiza, jakotéż co do wielkiego marszałka zagadka rozwiązać się dawała. Biegli w dogmatach, tyczących się majestatu monarszego, rozumieli, że pierwszy popełnił występek *lesae majestatis*, drugi zaś popełnił występek, który się także do téj odnosił kategoryi. Jeden świętą cesarza osobę w objęcia pochwycił, drugi na rozkaz nie czekał. Występki tego rodzaju wytłómaczyli wierszami Syrokomla i ołówkiem Andriolli, przedstawiając chłopa, co „za czub wojewodę wlecze.“ Wojewoda, polując na kaczki, z czółna do wody wypadł, topił się i byłby się utopił, gdyby go chłop z wody za czuprynę nie

wyciągnął. Chłop za wyratowanie wynadgrodzenie sute otrzymał, za ujęcie atoli ręką chłopską czupryny wojewodzińskiéj dostał baty. Pomiędzy markizem Frangopano i wielkim marszałkiem z jednéj a Leopoldem I z drugiéj strony zaszedł wypadek analogiczny. W stosunku do cesarza byli oni tém, czém chłop był w stosunku do wojewody, z tym na niekorzyść ich dodatkiem, że stosunek ów potęgowała mistyka pomazania, czyniącego monarchę namiestnikiem bożym. Okoliczność ta pogarszała położenie winowajców — podnosiła występek do znaczenia zbrodni, któréj jednak dopuściło się tylko dwóch: markiz i wielki marszałek. Ale — jakąż była zbrodnia młodego hrabiego?

Pytanie to żywo mężów stanu, dworzan, starych i młodych, wojowników i ludzi cywilnych, ich żony, siostry i córki, wszystkich zajmowało. Zajmowało wszystkich tak żywo, że wobec niego na drugi plan zeszły stosunki dyplomatyczne i sprawy polityczne. Wysunęła się naprzód sprawa, która w cień usunęła Turcyą, Wenecyą, Polskę, Francyą, Hiszpanią a nawet i stolicę apostolską. Najdrobniejsze onéj szczegóły nabrały znaczenia ogromnego. Analizowano i komentowano każdy ruch, każdy gest Leopolda I. Zastanawiano się nad tém, jak on z konia zsiadł, jak na schody wstępował, jak w oknie stał, jak okno otworzył, jak patrzył, jak mu warga dolna drżała. Mówiono po cichu, tajemniczo; mężowie stanu nie wypowiadali przez ostrożność zdania swego, rezerwując się aż rzecz wyklaruje się dostatecznie. Tejże saméj o tyle o ile reguły trzymały się „damy stanu“ — rodzaj niewiast wielką acz niewidoczną przy takich, jakim był dwór wiedeński w czasach owych, dworach rolę odegrywających. Zaznaczała się śród nich stara księżna Rakoczy, wielka pani, wielka religijna zelantka, wielka jezuitów przyjaciółka i protektorka, żyjąca niby na uboczu i do niczego się niby nie wtrącająca. Ona także zdanie swoje rezerwowała i ostrożność zachowywała, ale o wszystkiém wiedzieć chciała, mając na widoku syna, który na północnych Węgrzech zajmował stanowisko panującego udzielnego i miał przed sobą do rozwiązania zadanie, przekazane mu w spadku po ojcu a niezmiernie skomplikowane interesami polityczno-religijnemi, opierającemi się o Konstantynopol, Wiedeń, Presburg, Klausenburg, Zagrzeb, a wybiegającemi ku Bukaresztowi, Jassom, Warszawie, Paryżowi, ku Moskwie nawet. Stara księżna śród powikłań tych wypatrywała dla syna drogę, przyświecając sobie pochodnią wiary. Pochodnia ta wydawała się jéj pewną. Dla tego téż trzymała się oburącz dworu wiedeńskiego, praktykując dewocyą, ciekawość, jakotéż kombinowanie zdarzeń i wysnuwanie z takowych wniosków. Taką była działalność jéj i — rzecz prosta — działalności téj za oś

służyła osoba cesarska. Leopold I był dla staréj księżny przedmiotem uwagi i badań ustawicznych. Studyowała go i myślała o nim we dnie i w nocy, modląc się i po modlitwie nastrajając ducha do modlitwy następnéj. Wiadomość o łowach zamierzonych wywołała na usta jéj uśmiech, po którym oczy wzniosła, westchnęła i rzekła:

— O Jezu najsłodszy!.. markiza Frangopano...

Domyśliła się, że łowy urządzone zostały na intencyą włoszki, któréj widok zapalił oczy Leopolda I połyskiem, nigdy przedtém nie oglądanym. Połysku tego nie dopatrzył nikt, tylko ona. Uśmiechnęła się, wnet bowiem wykombinowała widok dla syna we względzie układanego dlań małżeństwa z Heleną Zrińską. Markiza była małżonką brata rodzonego matki Heleny.

— To dobrze — w duchu sobie powiedziała, upatrując w tém palec opatrzności.

Na intencyą tę zamówiła niezwłocznie mszę jednę, drugą i trzecią, rozdawała ubogim jałmużnę i do ołtarza św. Franciszka obrus pannom swoim dzierzgać kazała. Stanowiło to ramy do zabiegów, ku którym się w duchu nastrajała, ustawiając wytyczne w kierunku młodéj kobiety, co zdołała postacią swoją wywołać połysk w oczach cesarza. Połysk ów zdradzał zagranie krwi młodéj w istocie, któréj serce wyziębiono a głowę rozpalano.

— Palec opatrzności — powtarzała sobie, przechodząc w myśli wszystkie kobiety piękne, co się przesunęły przed sennemi młodego cesarza oczami. Palec opatrzności... Byle się jeno ta kukułka wenecka do zniesienia w gnieździe mężowskiém jajka ułożyć umiała... A...

Głową kiwnęła. Znaczyło to, że przysposabiać ją na ten koniec zamierzyła. Nie wzięła się jednak do tego obcesowo, przekonaną będąc, że rzecz zrobi się sama, nie przypuszczała bowiem, ażeby się śród poddanek Leopolda I znaleść mogła kobieta, któraby nie ulegała urokowi okupionéj za jaką bądź cenę łaski cesarskiéj. Chodziło jéj też nie o konkluzyą zarysowującego się dramatu, ale o przystawienie do ognia tego pieczeni własnéj—o ujęcie sobie z góry téj, któréj w momentach pewnych Leopold I-szy nic do odmówienia mieć nie będzie.

Otwierała się dla księżny działalność dyplomatyczna wielce interesująca, a wymagająca wielkiego taktu, niemałéj przezorności i ogromnéj ostrożności. Nie nagliła przeto — wyczekiwała, studyowała. Do studyowania przybył jéj materyał świeży pod postacią młodéj kobiety i jéj do osobistości rozmaitych stosunku. Potrzebowała się w tém pierwéj dokładnie rozpatrzeć i rozpoznać.

— Po co ona przybyła?..

Zapytanie to przedewszystkiém w umyśle księżny strzeliło. Wiedziała, że do Wiednia powołał młode małżeństwo w formie życzenia wyrażony rozkaz cesarski; wiedziała jednak, że każdy, co rozkaz tego rodzaju przyjmuje, nie przyjmuje go bezinteresownie. Któż by się bezinteresownie do tronu zbliżał? Tron w czasie owym identyfikowano z ołtarzem,—a ponieważ do podnóży ołtarza nie przystępowano inaczéj, jak w celu zaskarbienia sobie miłosierdzia, łask i korzyści rozmaitych, a zatém w celu nie innym przystępowano do podnóża tronu. Jeden wyobrażał drugi z powodu jednakowego obydwóch pochodzenia. Stara księżna przeto domyślała się, że młode stadło przywiozło z sobą, jeżeli nie z góry powzięte, to *a posteriori* ukute widoki i zamiary, które w tym razie posłużyć by mogły za pomost pomiędzy stronami. Stąd zapytanie, tyczące się pobudek przybycia, miało znaczenie swoje.

Wiadomo, że młoda para z zamiarami przybywała. Hrabina Piotrowa powierzyła w Czakowcu młodéj księżnéj do przeprowadzenia interes, którego ta jeszcze poruszyć należycie czasu ani sposobności nie miała. Pochwycił ją wir życia dworskiego i pochłonął uwagę jéj całą. Rzuciła słówko tu i owdzie; słówko to w obieg poszło, doniosłość atoli miało tak długo, póki nie nadeszły wypadki, które je niejako zdmuchnęły. Aresztowanie markiza dało do myślenia. Po dokonaniu onego, przy osobie księżny Julii sformowała się próżnia niby: gdy z polowania powracała, panowie i panie stronili od niéj, jakby w gronie ich intruzką była. Gdy zaś po aresztowaniu markiza nastąpiło aresztowanie wielkiego marszałka i hrabiego, w umysłach nastał odmęt, podobny do fermentu w kadzi, w któréj wycisk winogradu na wino się przerabia. W mózgach ekscelencyi i nawskróś jasności różnych zrobiło się krążenie pierwiastków myśli, dające w rezultacie zawrót głów.

Księżna Rakoczy nie została uwiadomioną o wypadkach, jakie na polowaniu i w skutek polowania zaszły w takim, jak następowały, porządku. Doszły one wiadomości jéj w porządku odwrotnym, od aresztowania młodego hrabiego zaczynając. Wieczorami zbierało się u niéj kółko—parę dam, kilku panów, co nawy karyery swojéj trzymali na wodach fortuny Rakoczych i oglądali się na cesarstwo. W kółku tém żywo bardzo interesowano się termometrem atmosfery dworskiéj. Od chwili przeto wrażenia, jakie księżna Julia w czasie audyencyi sprawiła, zajmowano się nią z troskliwością szczególną—z tą jednak troskliwością, która się nie zdradza okrzykami i wybuchami a to z téj racyi, że towarzystwo to poufne składało się z ludzi w intrygach dworskich biegłych i wytrawnych. W gronie tém—rzecz prosta—pojawiały się sutany i birety, równie jak i habity zakonne.

Gościem częstym bywał franciszkanin, ojciec Spinola, który za cel życia wytknął sobie zlanie w jedno wyznania katolickiego z wyznaniem protestanckiém na podstawie ustępstw wzajemnych, ustępstw, domagających się od protestantów zrzeczenia się wszystkiego, co ich od katolików różni, od katolików zaś niczego. Na tém polegać miała wzajemność. Dzięki wzajemności tego rodzaju, ojciec Spinola znajdował w sferach rządzących, tak duchownych jak świeckich, uznanie i poparcie i miewał częstą z księżną Rakoczy styczność z powodu, że nazwisko Rakoczych służyło protestantyzmowi w Węgrzech i Siedmiogrodzie za sztandar i osłonę. Księżna w sprawie téj brała udział gorący. Przekonana, że mąż jéj skazanym jest na męki piekielne, pragnęła synowi losu podobnego oszczędzić. Garnęła więc do siebie osoby duchowne, nadewszystko zaś te, co w sferze dworskiéj tkwiły.

Wieczorem, w dniu, w którym tyle zaszło wypadków, przy ognisku jéj zasiadło grono zwyczajne. W gronie tém księdza nie było ani jednego. Zebrało się osób mniéj niż zwykle, co księżnę zdziwiło trochę. O powód obecnych zapytała.

— Zatrzymał ich zapewne wypadek?..—odrzekł zapytany.

— Jaki?..

— Aresztowanie młodego hrabiego X...

— O?..—odezwała się. Jakże się to stało?..

— Przyaresztować go kazał sam najjaśniejszy pan...

Stara księżna raz i drugi zcicha chrząknęła, chwilkę milczała i o szczegóły się dowiadywać jęła. Obecni, z których żaden w polowaniu udziału nie brał, poinformować jéj należycie nie mogli. Powtarzali, o czém słyszeli, a jeden rzekł:

— Nastąpiło to w skutek aresztowania wielkiego marszałka...

— O?..—odezwała się księżna. Toć całe chyba towarzystwo pod klucz się dostało...

— Nie całe, ale... i markiz jeszcze...

— A!..—zawołała.

W piersi jéj zbierał się okrzyk zdziwienia głośny. Powstrzymała się jednak i spokojnie zapytała:

— Skąd-że to poszło?..

— Wasza książęca mość wie, co najjaśniejszego pana spotkało...—odrzekł jeden.

— Nie wiem o niczém...

— Rzecz szczególna!.. Wiedeń cały zaalarmowany i do owacyi napędzony został...

— Z powodu?..

— Najjaśniejszy pan raczył... z konia spaść...

— Zapatrzył się na markizę...—podchwyciła.

Odezwanie się to niedyskretne wywołało śród obecnych wejrzenia zagadkowe i ściskania ramionami.

Księżna uwagi nie powtórzyła, ale z zajęciem troskliwém, w którém nastrój naciągany czuć się dawał, zaczęła:

— Z konia spadł!.. oh!.. z konia!.. no, proszę!.. I cóż?.. jakże?.. Złamał, zwichnął co sobie?.. Nieszczęście jakie?.. No?.. Oh! Boże jedyny!.. Trójco przenajświętsza!.. Ledwie żyję... ledwie dyszę, tak mnie ta wiadomość przejęła... Oh!..

— Nic z tego najjaśniejszego pana nie spotkało?..

— Jam przy tém nie był... nie wiem; ale ludowi radować się nakazano dla tego właśnie, że opatrzność nad najjaśniejszym panem czuwała...

— Czy pewno?..—zapytała.

— Nieinaczéj... i jutro w kościołach wszystkich odbędą się nabożeństwa dziękczynne...

— A...—w pamięci sobie księżna zanotowała i dodała:—Posłać muszę do wielkiego marszałka dworu z zapytaniem o zdrowie jego cesarskiéj mości...

— Wielki marszałek aresztowany...

— O!?..—wykrzyknęła.

— Miałem już zaszczyt o tém wysokości waszéj oznajmić!..

— Prawda... zapomniałam... Trzeba jednak, ażeby jego cesarska mość wiedział, że mnie obchodzi najdroższe zdrowie jego...

Zawiadomienie tego rodzaju trudności nie podlegało. Organizacya służby dworskiéj, doprowadzona do najwyższéj doskonałości swojéj, nie dopuszczała opróżnienia stanowiska i funkcyi dla tego tylko, że zabrakło nagle osobistości, co stanowisko to zajmowała i funkcyę tę pełniła. Dostojnik każdy posiadał zastępcę, do którego szlusował zastępca, mający znów zastępcę, mającego zastępcę itd. Gałęzie służbowe, hierarchicznie organizowane przedstawiały szeregi funkcyonaryuszy, przyozdobionych w tytuły z przystawkami: *ober*, *unter*, *hoch*, *gross* itp., wedle których utrzymywał się porządek ścisły. Miała przeto gdzie i jak zamanifestować się troskliwość księżny Rakoczy o zdrowie Leopolda I. Czy o to jéj jednak chodziło?

Zapewne, obchodziło ją zdrowie Leopolda I, jak obchodziło wszystkich, co wprost lub ubocznie od niego zależeli. Interesowano się niém w Paryżu, w Rzymie, w Wenecyi. Władca mocarstwa, zajmującego bardzo ważne w Europie stanowisko, nie był i być nie mógł osobistością, któréj zdrowie byłoby obojętném. Obecni podówczas w Wiedniu ambasadorowie francuski i wenecki, jako téż legat papieski, jak skoro się o wypadku na polowaniu dowiedzieli,

wnet pocisnęli sprężyny wszystkie, celem pobudzenia gorliwości agentów swoich, którzy w zamku, cesarzowi służąc, funkcyą oczów i uszów króla francuskiego, doży weneckiego i stolicy apostolskiéj pełnili. Tych w rzeczy samej, dla powodów bardzo ważnych, zdrowie obchodziło. Powody podobne przenikały troskliwość księżnéj Rakoczy, inaczéj jednak. Cechował je cel wyraźny, podszyty widokami osobistemi, osnuwającemi się około osobistości syna. Chodziło jéj o zbawienie duszy własnéj za pomocą zapewnienia synowi królowania w niebie i panowania na ziemi. Była to sprawa mocno powikłana i księżna by z pewnością podołać jéj nie mogła, gdyby nie miała podtrzymania i poparcia ze strony dyplomatów w sutanach i habitach, którzy w wieku owym po Europie krążyli, dworów się czepiali i interesy polityczne sprawowali. Stanowiło to cechę wieku.

Dzień, wypadkami zagadkowemi brzemienny, kończył się posępnie. Ciepło parne, jakie do południa panowało, ostygać powoli poczęło pod wpływem chmur, które się od zachodu pokazały i na horyzoncie się ku górze posuwały, idąc na spotkanie słońca. Słońce się za nie ukryło. Błękit niebios znikał stopniowo, aż znikł całkowicie i obciągnął się zasłoną dymną właściwą jesieni. Wieczór nastał bez księżyca i bez gwiazd. W mieście zapanowały ciemności. W ulicach tu i owdzie rzucały blask płomienie pieców garkuchnianych, przy których na rożnach obracano powoli pieczyste i pieczenie, przeznaczone dla podróżnych i roniące woń rozkoszną daleko. W dzielnicach oddalonych spotykać można było latarnie, zapalone u wnijścia do pałaców arystokracyi wiedeńskiéj—wielki zbytek na który pozwalali sobie jeno ludzie, co, dzięki bądź stanowisku wysokiemu, bądź bogactwom ogromnym, uważali siebie za obowiązanych swoje *durchlaucht* latarniami oświecać. Gdzie ani garkuchni, ani pałacu nie było, tam miasto zalegała ciemność absolutna, ruch wszelki ustawał, ulice pustoszały, przebiegał po nich chyba kot, lub przeciągał patrol drabów policyjnych. Rzadko bardzo zdarzał się zapóźniony na wieczerzy w domu obcym mieszczanin, niosący w żołądku funtów kilka mięsiwa i melszpajzów, poprzedzany przez pachołków z latarniami; częściéj trafiał się pojazd magnata, przed którym pajucy wieźli pochodnie smolne.

W dniu upamiętnionym spadnięciem Leopolda I z konia, wieczorem, pojazdy się po ulicach Wiednia snuły gęsto. Spotykały się i wymijały. Przy wymijaniu biegnący przodem laufrowie wykrzykiwali głośno imiona, nazwiska i tytuły. Jakichże nazwisk nie wygłoszono wieczoru tego! Wszystko, co Wiedeń posiadał najznakomitszego, znajdowało się w ruchu, spływającym, niby potoki w doliny, do mieszkań dostojników najwyższych. Wszystkich ważna zajmo-

wała sprawa. Niby to o wypadek chodziło; wypadek jednak stanowił maskę, która osłaniała niepokój, jaki ogarnął najwyższe towarzystwa sfery z powodu, że humor młodego cesarza zamanifestował się w sposób niezwykle zagadkowy. Wynalezienie do zagadki téj klucza: oto była troska ogólna. Szukano takowego—szukano wszędzie, z wyjątkiem domów czerwoną krédą niełaski naznaczonych. Kolasy magnackie nie zatrzymywały się przed progami ani wielkiego *Hof*-marszałka, ani młodego grafa, ani — szczególnie — księstwa Frangopano.

Pomiędzy godziną dziewiątą a dziesiątą, co było bardzo późno, albowiem w Wiedniu w epoce owéj o godzinie dziewiątéj spać się łożono, przy blasku dwóch pochodni smolnych, niesionych na drzewcach giętkich przez dwóch huzarów konnych, na okrzyki laufrów, rzucających nazwiska rozmaite, odpowiadać począł okrzyk:

— Jéj wysokość... jéj nawskróśjasność, najdostojniejsza księżna i pani z Batorych Rakoczy!..

Magnaci, którym do uszu wyrazy te wpadały, doznawali zdziwienia niejakiego. Jéj wysokość z powodu tak wieku, jako téż stanowiska towarzyskiego, wieczorami u siebie przyjmowała, jeżeli zaś z domu wyjeżdżała, to do zamku chyba, albo téż do osobistości jakiejś, zaliczającéj się do rodzaju „książąt krwi.“ Do rodzaju tego zaliczała się sama. Każdy przeto, co wywołanie nazwiska jéj usłyszał, zapytał siebie w duchu, dokąd ona jedzie i byłby zdziwionym mocno, gdyby widział, jak kolasa jéj zatrzymała się na przedmieściu przed domem latarniami nieoświeconym, pomimo że miał pozór pałacowy. Zdarzenie to wchodziło do téj kategoryi, co się intrygującą nazywa z powodu, iż wszyscy wogóle mieli ochotę do domu tego jechać, nikt atoli nie jechał z obawy kompromitacyi. Dom ten był mieszkaniem księstwa Frangopano.

Księstwo ze strony swojéj nie małego doznali zdziwienia, ujrzawszy w progach swoich, o téj porze spóźnionéj, gościa tak dostojnego. Dzień cały nie zajrzał do nich nikt, wieczorem zaś spadła figura taka! Markiz i księżna Julia, witając ją, mówili o wielkim, jaki ich spotyka, zaszczycie. Markiz przedstawił jéj krewniaka swego.

— Hrabia Orfeusz...

— Nie jesteśmy całkiem nieznajomi — odrzekła.

— Miałem ten zaszczyt — odpowiedział hrabia z ukłonem.

— Ale — przerwała, do gospodarstwa mowę zwracając—dziwić was musi moja wizyta spóźniona...

— W rzeczy saméj — zaczął markiz.

— Témbardziéj, że dziś do was żywy duch nie zajrzał...

— W rzeczy saméj — powtórzyła za mężem księżna Julia, któréj oczy, gdy patrzała na księżnę Rakoczy, napełniał wyraz niepokoju, połączony z tym wyrazem, w którym się przebija wzywanie o ratunek, pomoc lub radę przynajmniéj. Wyraz ten przypominał trochę trwogę gazelli i było z nim młodéj kobiecie do twarzy. Księżna Rakoczy patrzała na nią przez chwilkę z tém zadowolnieniem, z jakiém się patrzy na arcydzieło sztuki. Po chwili uśmiechnęła się i zapytała:

— Wiecie, po com do was przyjechała?

Księżna Julia odpowiedziała lekkim ramion ściśnieniem i zamierzała coś dodać, ale jéj stara księżna przerwała:

— Przyjechałam do was celem sprawdzenia domysłu swego:... Sprawdziłam takowy i mogłabym już odjechać, gdyby mnie nie przytrzymywała potrzeba uspokojenia was i rozmówienia się z wami.... Wszak prawda — zagadnęła — niepokój was ogarnął?

— Do pewnego stopnia — odrzekł markiz.

— Wyznajcie, że do stopnia wysokiego... Spadła na was niełaska, to jest rzecz straszniejsza, aniżeli powódź, pożoga, zaraza morowa, trzęsienie ziemi i inne tym podobne plagi, które szkody wielkie sprawiają, ale przemijają, podczas, kiedy niełaska, gdy jest rzeczywistą, trapić nie przestaje i dziś i jutro i zawsze, przybierając postaci coraz to odmienne... Niełaska straszniejszą jest nad wszystko... Owóż, uspokójcie się: plaga ta na was nie spadnie...

— Spadła już — wtrącił markiz.

— W sposób taki, w jaki deszcz wiosenny z grzmotami i błyskawicami spada na posiewy... Zachmurzyło się nad wami niebo dworskie, ale się wypogodzi niebawem... Wierzcie mi: ja się na tém znam....

Hrabia Orfeusz odchrząknął.

Księżna Rakoczy zwróciła na niego wejrzenie badawcze, pomilczała chwilkę i zapytała:

— Czy i ty się, hrabio, znasz?

— Ph... — odparł — potroszę... Pozwolić sobie mogę domyślać się...

— Nie domyślaj się, jeżeli nie chcesz o samym sobie dobrego stracić mniemania... Domyślaniem bawi się w chwili obecnéj w Wiedniu tysiące... tysiące głów...

— Śród ktorych moja jedna...

— Znalazłaby się — podchwyciła — jak na grzędzie zasadzonéj kapustą....

— Wysokość wasza jesteś złośliwą...

— Mówię jak jest i nie mylę się, gdyby bowiem było inaczéj, przed pałacem waszym stałyby w chwili téj kolas seciny... Dla was słońce wschodzi...

Rzekłszy to, wstała, ujęła młodą księżnę pod ramie i od niechcenia, jakby czyniąc zadość ochocie przejścia się, wyszła z nią do komnaty przyległéj.

— Piękna moja — zaczęła — powiedz mi, czego dla siebie pragniecie?

Księżnę Julię zapytanie to zaskoczyło z nienacka.

— Nie rozumiem, pani — odrzekła.

Jakich zaszczytów... urzędów?... Musieliście przecie do Wiednia przyjechać z czémś... z zamiarem jakimś...

— Z jednym tylko...

— Wykołatania dla Piotra Zriniego bańswa?.. Niczego więcéj?..

— Niczego—odpowiedziała i, jakby nagle przypominając sobie, dodała: Ah!...

— Hrabianka Helena?..

— Tak jest...

— To dobrze... Znajdujemy się na drodze dobréj... Losy nasze zależą, najpiękniejsza, od ciebie....

(d. c. n.) *T. T. Jeż.*





PRUSKA POLITYKA WYDALAŃ I WYWŁASZCZENIA.

Hit him he het no friend.

W prawie publiczném monarchii pruskiéj rok 1885 stanowić będzie ważną epokę, może nawet stanowczą w dalszych losach tego osobliwego państwa.

Osobliwém nazwać należy państwo pruskie ze względu na brak narodowościowéj podstawy własnéj. Wszystkie inne państwa europejskie mają taką podstawę, a jeżeli i Austrya nie ma fundamentu z narodowości austryackiéj, to jednak polega ona na zbiorze różnych rzeczywistych narodowości, przez państwo uznanych, pielęgnowanych. Jedne Prusy ukształtowaly się na podstawie zmyślonéj narodowości, jakiejś narodowości urzędowéj, która istotę swą zapożyczyła a formę wytworzyła przez politykę przebiegłą a misterną. Zapożyczona narodowość stała się służebnicą państwa, służebnicą zresztą dobrze karmioną za tak ważne posługi i w téj perspektywie, że przyjdzie czas, w którym albo się całkiem rozpłynie w prusacyzmie, albo prusacyzm znajdzie stosowną chwilę, żeby bez sromu rozpłynąć w niemczyznie. Polityka pruska posuwa się w obudwóch kierunkach daléj a daléj. Który ostatecznie weźmie górę, i dziś jeszcze przewidzieć nie można. Czy sztuka przemoże naturę, czy też przyrodzenie narodowe wstrząśnie kiedyś i w gruzy powali sztuczną formę budowy politycznéj to się w przyszłości przecież kiedyś okaże. Horoskopy stawiać byłoby rzeczą daremną.

Ileż to zachodów wymagają wszystkie sztuczne hodowle! Nie dziw więc, że i macierzyńska głowa polityki pruskiéj wysila się w pomysłach, żeby potężny już dzisiaj produkt téj cieplarnianéj hodowli utrzymać zdrowym w obiecującéj bujności.

Podziwiają w świecie składność pruskiéj maszyny rządowéj, jéj działanie zawsze prawidłowe, jej gotowość do funkcyonowania w każdym wymagalnym kierunku. Tak przecież jest w każdéj fabryce produkcyjnéj, dobrze wysmarowanéj i dobrze kierowanéj. A Prusy są właśnie taką fabryką państwa, ciągle ulepszaną wedle najnowszych zdobyczy nauk i doświadczeń. Gdyby nie ten fabryczny zakrój prowadzenia procederu państwowego, wcale by to państwo istniéć nie mogło, właśnie z braku przyrodzonéj podstawy. Ów przechwalany i podziwiany charakter fabryczny, nie jest ani szczególną zaletą ani wzorem powszechnie naśladowania godnym, lecz wynikiem i zastępcą sił i potęg naturalnych, któremi inne państwa stoją bez takich wysileń mózgu i mięśni swych poddanych i kierowników.

W ostatnich zwłaszcza czasach kierownictwo fabryczno-państwowego przedsiębiorstwa pruskiego, oddane w ręce niepospolitego męża, wzbudzało i wzbudza podziw w całéj Europie. Na podziw ten zasłużył on najzupełniéj. Sztukami wojny i pokoju doprowadził państwo pruskie jakoby na podnóża zenitu i nie ustaje w pracy, żeby pod fundamenta staropruskiéj budowy, podłożyć całkowicie i nieodwrotnie podwaliny z narodowości niemieckiéj, która się chętnie czy niechętnie poddaje téj operacyi, w mniemaniu, jakoby tylko o nią chodziło. A tymczasem, jak już powiedzieliśmy, wcale jeszcze nie wiadomo, o co chodzi: o Prusy czy o Niemcy. Nowy gmach cesarstwa już dosyć wykończony, ale przez dachy jego zawsze jeszcze przebijają wieżyce staropruskiego zamczyska i nikt o tém nie myśli, żeby dokonać przeprowadzki stanowczéj do nowego gmachu. Dwulicowość, tradycyjny przymiot czy przywara polityki pruskiéj, jak na zewnątrz tak i na wewnątrz się utrzymuje, licząc na dawne, tylokrotne powodzenia.

Jakże tedy rozumiéć twierdzenie na wstępie wypowiedziane, że rok 1885 ma stanowić epokę w warunkach bytu téj sztucznéj budowy, która się zwie monarchią pruską z jednéj strony a cesarstwem niemieckiém z drugiéj?

Państwo prusko-niemieckie jest, jak wiadomo, państwem konstytucyjném. Konstytucyjność ta dostała się poddanym jego, właściwie przypadkowo a raczéj z dobréj woli i słabego animuszu króla romantyka, platonicznego marzyciela, który za mało cenił bagnet i armatę i za słabe miał nerwy na krzyk berlińskiego „ludu.“ Konstytucya ta nigdy wprawdzie jeszcze nie doprowadziła prawa publicznego w Prusiech do stanu rzeczywistego konstytucyonalizmu, ale i przy całéj powierzchowności swojéj, jest ona kamieniem u nogi polityki pruskiéj, tak wewnętrznéj jak i zewnętrznéj, a mianowicie owéj

półzewnętrznéj w stosunku do Niemiec „związkowych.“ Kto pilnie śledzi wynurzenia ks. Bismarka, zauważył niejednokrotnie, jak on wzdycha do dawnych rządów absolutystycznych, jak wszelkie niepowodzenie, a raczéj nie zupełne dojrzewanie swych zamiarów, składa na nieszczęsną formę konstytucyjnych rządów. A jeżeli do dziś dnia jeszcze nie doczekano się w Pruso-Niemczech zamachu stanu, to nie jest temu winien pruski *major domus*, jeno wyższe instancye i wzgląd na podejrzliwość całego sąsiedztwa politycznego.

Nie ulega jednak wątpliwości, że niewygodna konstytucya pruska i prusko-niemiecka, zamiast żeby na postrach świata jednym zamachem miała być powaloną, podkopuje się zwolna, póki się sama nie wywróci i z suchot nie zamrze.

Kiedy się zażegł i rozpasał „kulturkampf“ czyli walka z kościołem katolickim, przenikliwsze umysły akcyą tę od razu poznały jako początek reakcyi wewnętrznéj. Tylko wolnomyślniki niemieckie w zaślepieniu swém i ograniczeniu, krzyknęli na tryumf: że przecież rząd pruski zrozumiał swe „niemieckie“ zadanie i jakoby w dalszym ciągu walki reformacyjnéj, występuje do zapasów ze śmiertelnym wrogiem „nowszéj kultury“ i „państwa nowożytnego.“ Konstytucyą gięto i dziurawiono jakby tarczę kurkową i rozpoczęła się w Prusach era praw wyjątkowych, za któremi poszły prawa dyskrecyonalne, czyli od woli i łaski rządu zależne. Wszystko „naród niemiecki“ przyjmował w zaufaniu, że środki te obmyślane są tylko *ad hoc* i że nie odezwą się w innym kierunku reakcyjne zachcianki rządu.

Otóż tedy właśnie rok 1885 wykazał, że zaufanie to było płonném, a rząd zrobił na torze reakcyjnym krok drugi, tak stanowczy, że dziś jest to publiczną tajemnicą, do czego w polityce wewnętrznéj ks. Bismark zmierza.

Wśród najgłębszego pokoju, rząd pruski wypędził z dzierżaw swych 30.000 poddanych państwa rosyjskiego i austryackiego a głównie Polaków! Rzeczy takie dzieją się niekiedy wśród wzburzonych namiętności, w przededniu lub w czasie wojny. Nie można też państwu, dbałemu o spokój i bezpieczeństwo wewnętrzne, odmówić prawa wypędzania za granicę obcokrajowców, którzyby się dopuścili szpiegostwa, burzycielstwa itp. Ale żeby „nowożytne państwo,“ przedmurze „kultury nowożytnéj“, bez powodu i bez podania powodu, wypędziło od siebie spokojnych, pracowitych obcokrajowców, jest rzecz niesłychana i nie można jéj sobie inaczéj tłómaczyć, jak wezbraniem instynktów i prądów reakcyjnych, które szukają pola popisu, żeby się zaprawiać daléj a daléj, wedle owego: *sic volo, sic jubeo*, albo *tel est mon plaisir*.

Właśnie tedy w téj mierze rok 1885 odsłonił stanowczą a rzeczywistą fizyonomią rządu pruskiego. Po zakusach uwydatnionych w walce „kulturowéj“ można było mieć jeszcze wątpliwości, po dokonaném wypędzeniu Polaków już wątpliwości niema. Reakcya rozpoczęła się od wypędzenia Jezuitów itp. od pogwałcenia kościoła, zakwitła przez wypędzenie Polaków, dojrzeje następnie—jak dość powszechnie utrzymują—przez poskromienie *żydów*, przygotowujące się w antysemityzmie, a potém nastąpi żniwo. Lecz czy się pogodnie sprzątnie? Poważnie myślący Niemcy zaczynają o tém powątpiewać i obawiać się o losy „*Vaterlandu.*“ Oczywiście, są to, zdaniem ks. Bismarka, „nieprzyjaciele państwa,“ ludzie bez wyraźnego i „wyrobionego patryotyzmu“ i zmysłu politycznego.

Lecz nie koniecznie potrzeba nam brać fakt wypędzenia ryczałtowego obcych poddanych, w związku z innemi objawami życia publicznego w państwie pruskiém. Fakt ten sam przez się jest tak osobliwym, że należy go grubo podkreślić w dziejach współczesnych i niepodobna, żeby zeń nie wynikły następstwa nieobliczonéj doniosłości.

Zobaczymy zaraz, jak on wstrząsnął posadami systemu reprezentacyjnego Pruso-Teutonii.

Reprezentacyi polskiéj w sejmie rzeszy przypadł udział wytoczenia sprawy o wydalania na arenę konstytucyjną. Zrazu mniemano, że zwolna rozwijająca się akcya przeciwko obcokrajowcom, nie przybierze znaczniejszych rozmiarów; mówiono, że to postrach, że po niejakim czasie furya policyjna uśnie i stępieje. Ale kiedy miasto tego, niebawem się przekonano, że w téj mierze przysłowie o „świętéj ziemi, która wszystko utrzyma,“ nie znajdzie zastosowania, kiedy owszem zaczęły się odzywać głosy, że to tylko uwertura do daleko smutniejszéj tragedyi, reprezentacya polska postanowiła wnieść w parlamencie niemieckim interpelacyą. Nie przypuszczano, żeby wystąpienie posłów naszych wpłynąć miało na zmianę i pohamowanie pruskiéj akcyi, ale bądź co bądź spodziewano się, że ks. Bismark w odpowiedzi na interpelacyą wyłuszczy niezrozumiałe powody swéj antypolskiéj polityki i zakreśli jéj granice, jéj cele, okryte grubą pomroką tajemniczości. Wszak bo władze wykonawcze, nagabywane przez najrozmaitszych interesantów, polskich i niemieckich, o powody surowego postępowania, albo milczały albo tłómaczyły się nieświadomością, a biedni wygnańcy i świstka papieru nie dostawali na pamiątkę proskrypcyi i oświadczano im w biurach policyjnych ustnie, żeby się wynosili, brano od nich podpis, że wyrok odebrali, ale dokumentów nie wydawano.

Cóż więc naturalniejsza, jak w państwie konstytucyjném zainterpelować rząd w sprawie tak doniosłéj. Interpelacya polska wniesioną została w parlamencie niemieckim d. 1 grudnia 1885. Była to niewątpliwie jedna z najważniejszych akcyi, jaką polscy posłowie w prusko-niemieckich sejmach podnieśli, zważywszy na skutek przez nią wywołany. A skutek był następujący.

Interpelacya stawiała rządowi rzeszy pytanie, czy się dowiedział urzędowo o fakcie i motywach wydalań pruskich i czy uczynił albo zamierza uczynić kroki przeciwko dalszemu wykonywaniu rozporządzeń wydanych przez rząd pruski.

Jak wiadomo, rząd nie ma w parlamencie niemieckim powolnéj większości. Wiadomo téż było z góry, że opozycya wobec interpelacyi téj zajmie nieprzyjazne dla rządu stanowisko. Zależało więc ks. Bismarkowi bądź-co-bądź na tém, żeby interpelacyi polskiéj kark skręcić, a kiedy się mimo wszystkie zabiegi dostała na porządek dzienny, wyprowadził w pole przeciwko niéj najgrubszą artyleryą, jaką posiada w swym arsenale parlamentarnym.

Niejednokrotnie już spotykał ks. Bismarka w sejmach zarzut ze strony opozycyi, że przyparty do muru, w sposób małoduszny zwykł się zasłaniać osobą monarchy, nietykalną wedle zasad i obyczajów parlamentarnych. Otóż i teraz, w odpowiedzi na interpelacyą oświadczył ks. Bismark, że odczyta cesarskie orędzie, w tym celu przygotowane.

U ks. Bismarcka wszystko jest pionem, kozerą. Posuwa, zagrywa on je wedle potrzeby w każdéj partyi inaczéj. Kozerami są stronnictwa; bije on jedne drugiemi; kozerą jest sejm pruski przeciw parlamentowi, rada związkowa przeciw niemiłym większościom parlamentu, a gdy wszystkie tuzy za słabe, wyprowadza w pole najwyższą kozerę monarszą. Tak się stało wobec interpelacyi polskiéj. Orędzie królewskie, nie wdając się w materyą sprawy, odmówiło parlamentowi kompetencyi i prawa do orzekania w sprawie wyłącznie pruskiéj. „Mylnem jest mniemanie — mówi ono — jakoby w Niemczech istniał rząd, któryby na drodze konstytucyjnéj mógł przeszkodzić środkom, zarządzonym w naszém państwie pruskiém ze względu na wydalanie obcych poddanych... Ważne i niezaprzeczone prawa majestatu naszego złożyliśmy chętnie w ofierze na ołtarz jedności niemieckiéj, ale... niemniéj chętnie i stanowczo dzierżyć będziemy prawa naszéj dziedzicznéj korony, ustawami związku obwarowane i t. d.“

Poważny styl i poważna a stanowcza treść orędzia nie byłyby może sprawiły zbyt złego wrażenia na potulnych w gruncie rzeczy politykach niemieckich, ale ks. Bismark zamiast się zadowolnić od-

czytaniem orędzia, wyciął jeszcze do większości reprymendę od siebie, niby z objaśnieniem, plącząc się w coraz większe sprzeczności. Co tylko zaprzeczył parlamentowi kompetencyi, a teraz zaręczał, że gdyby Polacy sami za pomocą drobnych frakcyjek, wrogich państwu, byli wystąpili z interpelacyą, zbyłby ją był jaką taką odpowiedzią; ale ponieważ 168 posłów takową poparło, głównie z centrum i część wolnomyślnych, musiała aż sama korona zaprotestować. Pruskiemu rządowi wolno w swoim domku robić, co mu się podoba, a najmniéj zważać może na parlament, który niby jakiś konwent rości sobie prawo do poskramiania woli samodzielnych monarchów niemieckich. Niedoczekanie wasze! otóż była mniéj więcéj konkluzya filipiki kanclerskiéj. Zakończył tém, że z powyżéj wyrażonych powodów na interpelacyą wcale nie odpowie i rzekłszy — uciekł na Pragę, czyli opuścił salę obrad, zabierając z sobą wszystkich kolegów od stołu rządowego.

Sytuacya była oczywiście wielce drażliwą. Jeśli namiętności prowokowane przez kanclerza zakipią, mogła nastąpić awantura w skutkach nieobliczona. W pierwszéj chwili zdawało się, że się na coś gwałtownego zanosi. Windthorst z centrum i Haenel ze stronnictwa wolnomyślnego, właśnie jakby na przekorę orędziu i kanclerzowi, zażądali dyskusyi nad interpelacyą, coby się równało potępieniu monarszego orędzia. Czy na ten wypadek w kieszeni kanclerskiéj była inna recepta gotowa na poskromienie parlamentarnego uporu, niewiadomo, bo do wybuchu rzecz nie doszła. Sam Windthorst po chwili namysłu postawił wniosek o odroczenie dyskusyi i wraz z konserwatystami wniosek swój przeprowadził. Powaga monarsza chwilowo i formalnie została uratowaną, a cała groza położenia skrupiła się na reżyserze téj tragi-komedyi ks. Bismarku.

Nieszczęście chciało, że zaraz za interpelacyą na porządku dziennym stała pozycya budżetowa, odnosząca się do pensyi kanclerskiéj, wynoszącéj 54,000 marek. Windthorst oddawszy cesarzowi, co jest cesarskiego, rzucił się teraz z całą zapalczywością podrażnionego lwa na tę pozycyą. „Pozycya ta — mówił — w korzystnéj chwili daje nam sposobność wypowiedzenia wszystkiego, cobyśmy wobec p. kanclerza w kwestyi co tylko rozstrząsanéj (interpelacyi) wyłuszczyć pragnęli.“ Nuże więc wytykać kanclerzowi partykularyzm tylekroć przez niego u centrum i Windthorsta zaczepiany; nuże mu wykazywać, że fałszywe ma o prawach zwierzchniczych pojęcie, że źle prawa wykonywa, że pozbawiony jest idei chrześciańskiéj, że przez Polaków właściwie nowym obuchem uderza w katolicyzm, bo 90% wydalonych jest wyznania katolickiego i t. d. i t. d.

Ks. Bismark, który tymczasem, po uratowaniu honoru orędzia monarszego przez Windthorsta, powrócił do sali obrad, bronił się nadzwyczaj słabo, pozostawiając sobie dalsze wywody do sejmu pruskiego, jako kompetentnéj instancyi.

Tak tedy na pierwsze uratowanym został także i parlamentarny honor interpelacyi polskiéj; zresztą uważała się ona tylko za odroczoną. Dalsze losy jéj zależéć miały od stanowiska, jakie wobec twierdzeń orędzia zajmą wielkie stronnictwa parlamentu. I wysunęła się tedy zakulisowa machinacya, żeby całéj sprawie, jak to mówią, łeb skręcić, zwłaszcza, że nastały dla parlamentu ferye świąteczne i noworoczne. Ale i nasi posłowie poruszali niebo i ziemię, żeby korzystną dla sprawy sytuacyą wyzyskać do ostateczności. Opozycya okazała się dość stateczną i po różnych zwłokach już d. 16 stycznia udało się obrady nad interpelacyą polską postawić na porządku dziennym. Była to druga klęska, jakiéj w tak krótkim czasie w sprawach polskich doznała parlamentarna polityka kanclerza.

Nie będziemy przywodzili czytelnikom na pamięć przebiegu téj nader ciekawéj dyskusyi. Wystarcza zaznaczyć jéj rezultat, mianowicie uchwałę parlamentu, orzekającą wedle najłagodniejszego wniosku Windthorsta, że wydalania rosyjskich i austryackich poddanych z Prus nie są usprawiedliwione i nie dadzą się pogodzić z interesami poddanych cesarstwa.

Zreasumujmy znaczenie położenia rzeczy. Rząd pruski wydala 30,000 obcokrajowców bez widomego powodu, cesarz i kanclerz odmawiają parlamentowi niemieckiemu kompetencyi do wejrzenia w tę sprawę, a parlament mimo to wydaje wyrok potępiający na politykę wydalań, na politykę kanclerza.

Wedle zwykłych pojęć o konstytucyjnych i parlamentarnych stosunkach, sytuacya taka powinna wywołać gruntowne przesilenie w jednym lub drugim kierunku. W Niemczech inaczéj; tu, jak słusznie ktoś powiedział w przeszłym numerze tego pisma, życie parlamentarne jest bezpłodném w dodatnie konsekwencye praktyczne. Zatém i w téj tak zaognionéj sprawie zaangażowane czynniki, po wielu homerowskich pojedynkach na słowa, cofnęły się do swych zasieków, a skrupiło się wszystko na skórze małych i słabych, na skórze naszéj. Tak zwykle bywa, gdzie mali i słabi wtykają palec między powaśnionych olbrzymów.

Nie twierdzi się bynajmniéj, że abstynencya polska mogłaby była uchronić żywioł nasz od gromów, jakie nań spadły i spadają w Niemczech, to jednak pewna, że tak świetna i moralnie zwycięska akcya, jaka się polskim posłom powiodła w sprawie wydalań, anty-

polskie namiętności ks. kanclerza musiała doprowadzić do ostateczności. Żeby w własnym jego domu garstka zafukiwanego stronnictwa potrafiła mu przed oczami całéj Europy nawarzyć takiego piwa, musiało go dotknąć do żywego i spowodowało go do tém śmiertelniejszéj nienawiści dla wszystkiego, co polskie. Potrzeba mu było odwetu i to zaraz, czémprędzéj, póki zgrzybiałość cesarza pozwala kanclerzowi na prawie wszelkie zachcianki. Zaczęła się tedy owa gorączkowa fabrykacya praw antypolskich, które się posypały na nas gromami rozszalałéj burzy.

Nie mogąc podołać krnąbrnemu parlamentowi, przeniósł się ks. Bismarck z wyrobem tych praw na arenę sejmu pruskiego, a straszliwa tragedya prawodawcza nie obyła się bez odpowiedniéj uwertury, odegranéj pod gromką batutą żelaznego księcia.

Uwerturą tą była trzydniowa dyskusya, trzydniowa batalia nad t. zw. wnioskiem Achenbacha i towarzyszy. Wniosek ten obliczony był na zneutralizowanie wrażenia, jakie w kraju i zagranicą zrobiło wotum parlamentu w sprawie wydalań wypowiedziane. Wyrażał z góry zaufanie do zamiarów antypolskich rządu i zapowiadał, że sejm przyzna rządowi funduszów, ile tenże zażąda na poskromienie żywiołu polskiego w granicach j e d n o l i t é j rzeszy.

Ostrze wniosku tego wymierzone było przedewszystkiém przeciw parlamentowi i wywołało ponownie nader gwałtowne obrady, z których ostatecznie wynikł pewnik, że rząd posiada w sejmie zwartą większość, zdecydowaną iść z nim na przebój utartym gościńcem racyi stanu, nie bacząc na względy chrześciaństwa, miłości bliźniego, na zdrowy rozum, na prawa istniejące, na konstytucyą państwa pruskiego i rzeszy niemieckiéj. Rewolucyjny żywioł w wewnętrznéj polityce ks. Bismarcka uwydatniał się w oświetleniu *al giorno*. Straszliwą była mowa jego, wypowiedziana bez nawiązania do przedmiotu, w samym początku dyskusyi, wypowiedziana, żeby się ulżyło zasmuconemu sercu kanclerskiemu po porażce, doznanéj w parlamencie. Kiedyś mowa ta bezstronnemu historykowi odsłoni prawdziwe tajniki duszy żelaznego księcia i w czarnych barwach odbije się na jego charakterystyce. Bezwzględność mówcy rzuciła się na wszystko i na wszystkich. Polaków posélał do Monaco, Niemcom zarzucił lokajską dumę z obczyzny, oświadczał, że powoływanie się na słowa i proklamacye królewskie nie warto fajki tabaki; zapewniał, że proklamacye królów pruskich, przy okupacyi ziem polskich wydane, były podstępem, obliczonym na głupotę nowych poddanych i tych, na których polityka pruska w dalszym ciągu zaborów miała apetyt. Ostatecznie z wyżyny swych historycznych i politycznych wywodów nie wahał się oświadczyć, jako mu jest wielce obojętném, c z y m u w o g ó l e k t o ś w i e r z y.

Tak chyba z trybuny nie mówił jeszcze żaden mąż stanu i tak nie rozpoczynał poważnéj akcyi politycznéj, jaką zapowiadały obrady nad wnioskiem Achenbacha.

Niepodobna nam streszczać tych wielce zajmujących acz smutnych dla nas obrad, bo wszystko co tu wypowiedziano, powtórzy się jeszcze przy obradach nad poszczególnemi wnioskami antypolskiemi. Zwyczajnie uwertura obejmuje motywa, dźwięczące w następującéj potém kompozycyi. Nadmieńmy tylko, że już tu zarysowało się stanowisko, jakie stronnictwa zajmą wobec praw antypolskich. Konserwatyści i narodowo-liberalni stanęli po stronie rządu jako większość, a centrum i niemiecko-wolnomyślni stanęli wraz z Polakami w opozycyi, lubo i pierwsi i drudzy nie w zwartym szeregu.

Ale ponieważ do sprawy wydalań już nam powrócić nie wypadnie, zaznaczymy jeszcze, że dyskusya głównie na tém polu się obracała. Ks. Bismarck bez ogródki wyznał, że wydalania mają cel polityczny. Dosyć mamy — mówił — własnych Polaków, żebyśmy jeszcze obcych żywić mieli. Musimy ich się pozbyć, a z sąsiadami w téj mierze jesteśmy w zupełném porozumieniu. Zrobimy z Polakami, co się nam podoba: zagranicznych wypędzimy, krajowych częścią poprzerzucamy do innych prowincyi, częścią osłabimy ich przez nasiedlenie niemieckie, nikt się za nimi nie ujmie dziś, bośmy urośli w potęgę a oni słabi: *hit him he has no friend*.

Chór mówców stronnictwa konserwatywnego i narodowo-liberalnego taki program kanclerski podnosił do apoteozy narodowego posłannictwa niemieckiego, jakie Prusom przypadło w udziale. Statystyka lat ostatnich niby wykazała, że w cichości się obecnie odbywa nowa wędrówka ludów ze wschodu na zachód. Robotnicy polscy krociami zalewają prowincye niemieckie aż do Westfalii. Siedziby przez nich opuszczone zajmują inni Polacy przybysze z za kordonu rosyjskiego i austryackiego. Widać w tém nawet *system* i *kierunek*.

Pojęcie „systematyczności“ w tak nazwanéj „agitacyi polskiéj“ spotykamy prawie na każdym kroku u dzisiejszych polityków niemieckich i u wykonawców tejże polityki. Wyobrażają oni sobie, że wszystko, co się u nas dzieje, dzieje się jakoby za jakąś niewidzialną komendą, wedle dobrze obmyślanego planu. No! plan ten chyba ułożyła Opatrzność i kieruje jego wykonaniem, bo w dziełach ludzi u nas wszystkiego raczéj dopatrzéć można, jeno nie ładu, planu, systematyczności. I dziś jeszcze nierządem stoimy. Nie jest-że to najwyższa ironia losu, że nas pomawiają o jakąś systematyczną propagandę, sztucznie i umiejętnie wytwarzaną?!!

Dosyć, że nas podziwiają! Ks. Bismarck nam przyznawał, że chociaż jesteśmy „Prusakami“ na 24-godzinne wypowiedzenie, do-

skonale potrafiliśmy na korzyść naszą wyzyskać wolności konstytucyjne, że póki w ministeryum pruskiém wyznań istniał oddział katolicki, tenże pozostawał pod komendą kilku magnackich rodzin (!!) polskich i dlatego musiał być zniesionym. Inni mówcy sławili Towarzystwo Pomocy Naukowéj, rozsiedlanie się polskich lekarzy, adwokatów, nawet rzemieślników, wzrost spółek pożyczkowych, prasy, czytelni; wszystko to celem wykazania „systematycznéj“ propagandy i na usprawiedliwienie proskrypcyi.

Natomiast centrum sejmowe, zawsze pod wodzą dzielnego Windthorsta w tém wszystkiém upatrywało tylko naturalny rozwój, któremu gwałtownemi środkami nikt nie zagrodzi i w chrześciańskiém państwie zagradzać nie powinien. Z téj strony napiętnowano téż wydalanie jako zamach przeciwko żywiołowi katolickiemu jako środek barbarzyński, niegodny potężnego państwa. Jeśli macie za wiele obcych Polaków — mówił Windthorst — to nie wpuszczajcie nikogo do kraju, ale barbarzyństwem jest wypędzać spokojnych, zasiedziałych ludzi, dzieci i niewiasty brzemienne. Niesprawiedliwością nie obronicie niemczyzny!

Podobne stanowisko zajęli niemiecko-wolnomyślni. Zaprzeczali oni, żeby sprawa wydalań była sprawą narodową. Bo cóż dziś, mówili, u nas w kraju jest „narodowém“? To czego chce Bismarck i jego akolici. Nie odmawiamy rządowi prawa do wydalania i niewpuszczenia obcokrajowców; rozumielibyśmy, gdyby wydalano niespokojne żywioły, ale wszystko w czambuł wypędzać, nie wyłączając i 9,000 żydów, którzy przecież chyba wzmacniali żywioł niemiecki nie polski, to rzecz sprosna i niesłychana. Zgodzimy się, mówili daléj, na wszystkie dodatnie sposoby. których rząd użyje przeciw polskości, zawsze jednak z zastrzeżeniem, że nie pogwałca się praw zasadniczych i konstytucyjnych, których opiece podlegają porówno z wszystkimi także i polscy obywatele państwa; na gwałty zgodzić się nie możemy. Jeden z mówców zacytował nawet (Rickert), co pruski *Staatsanzeiger* napisał 28 sierpnia 1870 r. wobec wydalania Niemców z Francyi: „Wypędzenie Niemców z Francyi, najsromotniejsze pogwałcenie prawa międzynarodowego w XIX wieku, wykonywa się z gorliwością...“ A 29 sierpnia tenże *Staatsanzeiger* pisał znów: „Naród ten (Francuzi) napiętnował się grabieżą i wypędzeniem spokojnych obywateli odmiennéj (niemieckiéj) narodowości, co przypomina, jakobyśmy żyli w wieku barbarzyństwa....“

Mimo to wszystko, nie mogło być widoku na odwrócenie burzy, która zawisła nad głowami naszemi. Słusznie powiedział ks. Stablewski, że dyskusya nad wnioskiem Achenbacha obliczoną była tylko

na rozbudzenie narodowego fanatyzmu niemieckiego. Cel został osiągnięty. Nie pomogło nic, że centrum i postępowcy wywodzili, jako przecie niepodobna się zgóry godzić na nieznane jeszcze nikomu sposoby zwalczania polonizmu, póki ich rząd nie przedstawi; wierna i karna większość sejmowa przyjęła wniosek. Ks. Bismarck był pomszczony za klęskę, poniesioną w parlamencie, uwertura była skończona i mogła się teraz rozpocząć tragedya.

Dnia 30 stycznia zakończyła się powyżéj naszkicowana wstępna bitwa, a już 22 lutego przedłożył rząd sejmowi cały szereg wniosków do praw wyjątkowych przeciwko Polakom. Na czele szeregu tego był wniosek do prawa kolonizacyjnego dla Prus Zachodnich i Wielkiego Ks. Poznańskiego.

Wykupić dobra z rąk polskich, osadzić je chłopami i robotnikami niemieckimi. Otóż zamiar prawa. Na wykonanie zażądano od sejmu kredytu w wysokości 100 milionów marek.

Rząd pruski niejednokrotnie próbował u nas środka kolonizacyi, żeby po myśli swéj odmienić stan zaludnienia. Już Fryderyk Wilhelm I kolonizował Litwę osadnikami salcburskimi, wychodźcami religijnego prześladowania. Ładną o téj kolonizacyi opowiadano w sejmie anegdotę. Monarcha, chcąc się sam naocznie przekonać o stanie nowych kolonii, zjechał na miejsce. Było to właśnie w czasie, kiedy jakoś wilki bardzo się były dały we znaki dobytkowi kolonistów, a po wszystkich gminach radzono, jakby wilczą plagę poskromić. Na zebraniu takiém obecny król zapytał któregoś kolonistę o zdanie, w jaki sposób uważa, że możnaby się wilków pozbyć? „Daj im, najjaśniejszy panie, każdemu siedło „wolnego kmiecia“ (kolonisty), a zaraz uciekną i już nigdy nie powrócą“—odrzekł śmiałek, a zarazem w dosadny sposób pouczył monarchę, że kolonizacya nie miała powodzenia, a chłopi gromadami uciekali z kolonii.

Wielkim kolonizatorem był potém Fryderyk II-gi, zwłaszcza w Notecczyźnie. Są wprawdzie po dziś dzień kolonie, sięgające jego czasów, ale i on miał dużo zmartwienia z „motłochem“, który się parł do ryczałtowych urzędowych kolonii. „Nie na to nas łaska królewska tu przysłała—zwykli mawiać ci ludzie—żebyśmy pracowali, jeno żebyśmy dzieci płodzili“ (*zur Peuplirung*), to jest materyał na przyszłych żołnierzy.

W r. 1832 generał Grollmann, głównokomenderujący w W. Księstwie, a świadek ruchu i wypadków r. 1830 i 1831, podał rządowi nowy memoryał o kolonizacyi, obliczony na wykupywanie dóbr szlacheckich, bo właśnie szlachta jest złym żywiołem, którego się pozbyć należy. Z tego memoryału zrodził się ów znany system Flo-

twella, praktykowany od r. 1832—1840. Wykupiono wtedy ogółem 30 dóbr, z których część czasem powróciła znów w polskie ręce. Z tych to czasów datują się początki fortun takich magnatów jak Treskowy, Kennemanowie, którzy dziś są najzajadlejszymi apostołami wykorzenienia. Fryderyk Wilhelm IV był mężem charakteru wspaniałego i szlachetnego. Zaniechał on systemu wykupywania, a z funduszów pozostałych z téj gałęzi administracyi obławiali się raz poraz cichaczem różni lojalni dorobkowicze.

W ostatnich czasach myśl kolonizacyi odrodziła się pierwotnie w kołach postępowców i wolnomyślników. Ilekroć się odzywały utyskiwania na niepomierną siłę żywiołu polskiego, objawiającą się mianowicie przy wyborach, oni zawsze nastawali na rząd, żeby rozkolonizował „domeny“ czyli dobra rządowe, i tym sposobem przysporzył krajowi niemieckich mieszkańców, wyborców i t. d. Rząd zasłaniał się niemożnością, albowiem dobra skarbowe i lasy jakoby tworzyły jeszcze zastaw za długi publiczne z dawniejszych czasów. Zresztą w Księstwie i Prusach dobra te są stosunkowo zbyt szczupłe. Ale — rzekł teraz rząd — jeżeli koniecznie chcecie kolonizować, dajcie pieniędzy, wykupimy Polaków, będzie aż nadto miejsca dla przychodniów niemieckich.

Plan ten dojrzał wśród burzy wydalania i stał się niejako ich następstwem. Statystyka niby wykazała, że żywioł polski nie tylko nie znika dosyć pośpiesznie, ale owszem się wzmaga, trzeba więc Polaków jednych wypędzić, drugich wykupić, a kraj osadzić Niemcami, żeby państwo doprowadzać do narodowéj jednolitości i wewnętrznego bezpieczeństwa.

Dość ogólne jest jednak mniemanie, że nie sama statystyka spowodowała ks. Bismarcka do wydalań, do wykupywania kolonizacyi i zażądania w sejmie s t u milionów marek na cele kolonizacyjne. Wszak to suma, za którą odbyć już można od biédy krótką kampanią!

Powodzenie, któremi się przez długie lata panowania cieszył ks. Bismarck, zasadzało się na jego osobliwéj metodzie. Rzecz jest bardzo prosta: nigdy on, idąc jedną drogą, nie miewa jednego wyłącznie celu na oku. Co najmniéj stawia i ustawia sobie dwa zadania i cele, lub więcéj. Chybi jedno, to dopisuje drugie, niekiedy jedno i drugie, — ot cała tajemnica jego wielkości i jego powodzenia. Tak naprzykład w ostatnich czasach mierzył niby w wyspy Karoliny, a tymczasem otworzył sobie od tylu lat zamknięte, spiżowe wrota Watykanu.

Zapewne więc i akcya antypolska ma swoje b l i ź n i ą t k o, dziś jeszcze nieznane. Domniemywać się można rozmaicie, ale zga-

dywać nie warto. Kto ma 100 milionów w Księstwie, odważyć się może na więcéj jak na skupienie kilkunastu zbankrutowanych szlachciców polskich.

Bądź-co-bądź, dzięki powolnéj większości sejmu pruskiego, w trzykrotnych obradach, sześć dni trwających, stanęło prawo kolonizacyjne o 12 paragrafach. Już z liczb tych wnosić można, jak gorącą musiała być walka parlamentarna tém więcéj, że po pierwszém „czytaniu“ odesłano wniosek do komisyi, która także kilka posiedzeń odbyła i różne porobiła poprawki. Ogólnie zarzucano wnioskowi rządowemu, że nosił na sobie wszelkie cechy dzieła stworzonego w pośpiechu, pobieżnie, jak to mówią, byle było, byle zawotowano 100 milionów.

Honorowe miejsce w parlamentarnym turnieju dostało się naszemu posłowi Władysławowi Wierzbińskiemu. Tak on, jak i późniéj odzywający się posłowie nasi zaznaczali, jako nie dla tego występują na trybunę, żeby wpłynąć na wynik obrad, zgóry przewidziany i p r z e p i s a n y, lecz żeby zaznaczyć niemoralność przyszłego prawa, a podnieść żywotność i niespożytość żywiołu, przeciwko któremu mobilizować trzeba aż sto milionów, kiedy na ostatnią wojnę niemiecką Prusy wcale kredytu nie żądały. Jak dawniejsze próby kolonizacyjne się nie powiodły, tak i ta nowa próba, na nienawiści oparta, tém mniéj się powiedzie. Nie lekceważymy téj nienawiści i przyszłych dzieł jéj, ale wiemy zgóry po któréj stronie może być zwycięstwo, a po któréj s r o m o t a. Tak mówił Wierzbiński.

Niepodobna streszczać całéj dyskusyi, jaka się snuła coraz daléj a daléj, na to oczywiście, żeby w historyi pozostał obfity materyał do scharakteryzowania i potępienia polityki pruskiéj. Zatém ugrupujemy tylko główne argumenta stron przeciwnych wedle odpowiednich punktów widzenia rzeczy.

Większość stanęła przedewszystkiém na stanowisku „narodowém.“ Państwo pruskie ma potrzebę zniweczyć obce naleciałości, które z biegiem czasu wciągnąć „musiało“ do granic swych. Ponieważ naleciałości te nie chcą się rozpływać dobrowolnie w jednolitym organizmie państwowym, trzeba użyć środków dogodnych. Tak „nakazuje“ interes n i e m i e c k i.

Zaraz zapytała opozycya, coby też rozumiano przez interes n i e m i e c k i? Oczywiście, że tylko to jest ideą, potrzebą niemiecką i interesem, co dziś ks. Bismarck tak uważa, wyzyskując serwilizm swego społeczeństwa (Stablewski), które odwykło od własnéj woli i własnego myślenia (Schorlemer). A ks. Bismarck wedle potrzeby bywa wstecznikiem, liberałem, rewolucyonistą. Z nim się zmie-

nia zarazem „interes niemiecki.“ Kiedyś ścigano apostołów jedności niemieckiéj jako zdrajców stanu (Kantak), dziś popełnia się gwałty w imię idei jednolitości na ludziach, którzy jéj się czynnie nie opierają.

Drugiego a więcéj realistycznego argumentu na wykazanie potrzeby kolonizacyi, dostarczyć miała większości statystyka.

Żywioł słowiański nas zalewa (*ueberfluthet*) brzmiało hasło! Przypatrzmy się temu zalewowi.

W W. ks. Poznańskiém w r. 1870 było Polaków 1,009,885, Niemców 511,429. W r. 1880 było Polaków 1,111,962, Niemców 526,619; zatém Niemcy przez 10 lat wzrośli o 15,000 a Polacy o 102,077. W Prusach Zachodnich w r. 1870 było Polaków 641,619, Niemców 645,165. W r. 1880 Polaków liczono tamże 693,654, a Niemców 666,296. Zatém i tu Niemcy wzrośli o 21,000, zaś Polacy o 52,000.— Z liczb tych wywnioskowano, że jeśli Polacy w tym samym stosunku daléj mnożyć się będą, wyprą Niemców z Księstwa.

Daléj minister rolnictwa *Lucius*, podał następującą a bardzo ciekawą statystykę ziemi. W Księstwie Poznańskiém jest dóbr ziemskich, obejmujących co do obszaru ponad 155 hektarów, w ręku prywatnych 1,380.342 hektarów. Z tych Niemcy mają 45%=723.899 hek., Polacy 656,443 hek., a w ostatnich 25 latach przeszło z polskich rąk do niemieckich 225,922 hek., odwrotnie zaś tylko 30,358 hek. W Prusach Zachodnich zaś, w obwodzie rejencyjnym kwidzyńskim Niemcy dzierżą 336.536 hek., Polacy już tylko 84,115 hek. W ostatnich 25 latach Niemcy zdobyli 36,834 hek., Polacy odzyskali tylko 4.902 hek. W obwodzie gdańskim Niemcy mają 183,411 hekt. Polacy zaś tylko już 18,468 hektarów.

Mniejszą posiadłość, a więc niżéj 155 hektarów, bardzo trudno obliczyć; nawet rządowe statystyki są niedokładne. Przypuszczają, że $^2/_5$ całego areału przypada na chłopów. Od r. 1815 z 48,151 gospodarstw sprzężajnych znikło 8765 bądź przez podział na gospodarstwa niesprzężajne, bądź téż przez przykupienie do dominiów. Niżéj 50 hektarów liczą w obwodzie poznańskim w ręku chłopów polskich 434.100 hektorów, w ręku Niemców 195.000 hek. W obwodzie bydgoskim polscy chłopi mają jeszcze 221,600 hek., niemieccy już 204.500 hek. razem więc w księstwie chłopi polscy mają 650,700 hek., chłopi niemieccy 399,500 hek.

Nareszcie i statystyka wojskowa, wykazy poboru wojskowego z lat ostatnich miały dać dowód, że żywioł sławiański „zalewa“ niemczyznę.

Oczywiście, że od razu wykazano całą nicość téj statystyki. Jedno 10-lecie niczego jeszcze nie dowodzi, a zresztą liczbę Polaków

obejmują wszędzie zarazem i katolików Niemców, których w Prusiech Zachodnich jest bardzo dużo a i w Księstwie już niemało. Zabójczą zaś była dla zdrowego rozumu owa statystyka ziemi. Jeśli w 25 latach żywioł niemiecki zrobił tak ogromne postępy w opanowaniu ziemi, to pocóż, mówiono, obciążać kraj długiem 100 milionów, kiedy wywłaszczenie Polaków samo się dokona bez kosztów i gwałtu.

Zatém już w komisyi a następnie i w sejmie samym stronnictwo centrum (v. Huene) postawiło wyraźny wniosek, żeby rząd przedstawił dokładniejszy materyał statystyczny, udowadniający niebezpieczeństwa zalewu i potrzebę stumilionowéj kolonizacyi. Rząd zaś odmówił stanowczo. Musiał odmówić, bo nie miał w ręku nic, coby jego rzekome zapatrywanie potwierdzało. Cała teorya „zalewu“ okazała się *ad hoc* zmyśloną. Nie dosyć szybko znikamy, zaznaczał słusznie ks. dr. Stablewski. Albowiem wedle statystyki naszéj (Kantak), od r. 1816 do ostatnich obliczeń liczba Polaków w kraju wprawdzie się podwoiła, ale w tymże czasie liczba Niemców się potroiła. Za podstawę tego obliczenia wzięto nie jedno 10-lecie, lecz czas od r. 1822—1837 i od r. 1875—1880 (ks. dr. Jażdżewski). Statystyka ministerstwa wojny także była naciąganą, bo oparta tylko na ostatniém 3-leciu. Poseł Kantak wywiódł, że biorąc 5 lat ostatnich dochodzi się już wręcz do przeciwnych rezultatów i wykaże się, że w tym razie liczba rekrutów z polskiém wykształceniem elementarném w Gdańskiém spadła z 10,16 na 4,39%, w Poznańskiém z 40,65 na 37,62%, w Bydgoskiem z 26,25 na 20,83%.

Mimo to wszystko mówcy rządowi nie przestali twierdzić, że żywioł polski niemczyznę zalewa. Nawet oczywisty fakt, że ziemska posiadłość polska w ostatnich 25 latach cofnęła się o krocie hektarów, nie zdołała odmienić uprzedzonego sądu. Kto przekonanym być nie chce, tego nic nie przekona.

Inną była argumentacya opozycyi. Z ogólnego stanowiska potępiono wykupowanie Polaków za ich własne pieniądze, jako czyn niechrześciański, a ks. dr. Stablewski zaznaczył, że żaden z mówców rządowych nie śmiał odeprzéć tego zarzutu. Nieszlachetną też jest rzeczą wyzyskiwać smutne położenie rolnictwa na praktyki kolonizacyjne z polityczną tendencyą (Kantak); co więcéj kultura niemiecka przyznaje się do bankructwa, chwytając się środków gwałtownych, zamiast zdobywać pole przewagą swéj istoty (Scherlemer). W r. 1850 powiedział nie kto inny, jeno ówczesny prezes ministerstwa, ultrakonserwatywny baron v. Manteuffel, te pamiętne słowa: Rząd nie może przejmować starania o rozpowszechnienie narodowości niemieckiéj. Jeśli narodowość niemiecka potrze-

buje opieki władz administracyjnych, żeby utrzymać swą przewagę, niech nie liczy na przyszłość dla siebie“ (Kantak).

Dalej zaznaczono, że prawo kolonizacyjne sprzeciwia się konstytucyi i obowiązującym ustawom.

§ 4 konstytucyi pruskiéj opiewa (Kantak), że wszyscy „Prusacy“ (tj. obywatele państwa pruskiego) są równi przed prawem. Tymczasem nowa wyjątkowa ustawa degraduje część równych obywateli na jakiś poziom obywateli drugiego rządu. Obywatele ci pełnią święcie swe obowiązki, oddają podatek z mienia i krwi. Obywatele ci, pod przewodem księdza z krucyfiksem w ręku, brali szturmem szańce dypelskie, zdobywali stanowiska nieprzyjaciół pod Nachodem (1866) i pod Spikeren (1870), a dziś wykupywać mają ich ziemie i nie wolno nikomu z nich nabyć od rządu jednéj skiby.

§ 3 konstytucyi Rzeszy opiewa (Kantak): „Żaden „Niemiec“ (tj. obywatel Rzeszy) nie może od władzy swego kraju ani od władzy innego kraju związkowego doznawać ograniczenia w uprawnieniu do prowadzenia procederu ani do n a b y w a n i a własności ziemskiéj“...

§ 1 prawa o wolności przesiedlania (*Freizügigkeitsgesetz*) opiewa: (Virchow) że każdy obywatel Rzeszy ma prawo w obrębie związkowym p r z e b y w a ć, gdziekolwiek zechce, i n a b y w a ć w s z ę d z i e p o s i a d ł o ś c i z i e m s k i e... a nowe prawo wyklucza możność rozkolonizowania wykupionych majątków pomiędzy włościan polskich. Wprawdzie już generał Grolman w r. 1832 powiedział, że tylko ślachta z domownikami swymi tworzy w Poznańskiém zły żywioł. Chórem też do dziś dnia powtarzają grolmanowe epigiony, że chłop w Poznańskiém i t. d. błogosławi niemieckiemu porządkowi i szczęśliwym się czuje pod panowaniem żandarmów i komisarzy dystryktowych, a jednak temu urodzonemu koloniście ziemi powierzyć nie chcą. Dobry on na pastwę armatnią, nawet w potrzebie przygrywa mu się marsze zakazane, ale do współzawodnictwa w nabywaniu ziemi przypuścić go nie można; jakoby rząd miał prawo wybierać sobie nabywców ziemi tylko z pomiędzy Niemców a nie z pomiędzy wszystkich obywateli Rzeszy.

Uderzono następnie w trudności, z jakiemi kolonizacya spotkać się musi. Przepowiadano, że zrobi sromotne *fiasco* a 100 milionów roztrwoni się po części na ratowanie zbankrutowanych ziemian niemieckich, na zdzierstwa agentów, na nepotyzm, korrupcyą itd.—Powątpiewano też wogóle, czy się znajdzie odpowiedni materyał na udziały chłopskie. Stosunki bytu, mianowicie też w rolnictwie włościańskiém są tak niepocieszne, że ludzie hurmem z Prus uciekają za morze. Nastręczy się motłoch wyzyskiwaczy, zdrowe żywioły z prowincyi niemieckich nie odważą się na n i e p e w n e r y b y.

Charakter nowego prawa, mówiono daléj, jest przedewszystkiém d y s k r e c y o n a l n y. Nie określa jasno, jaki ma być stosunek nabywców rozkolonizowanéj ziemi od pierwotnego i właściwego dzierżyciela onéj, tj. rządu, lecz pozostawia rządowi do woli cały szereg form, w jakich umowy zawierać zechce. Wszystko to z obawy, żeby rozkolonizowane grunta w ten czy ów sposób nie mogły znów przejść do rąk polskich.

Obawa ta podcięła od razu pierwszy warunek powodzenia indywidualnéj własności tj. nieograniczoną rozporządzalność. Sprzedaż bezwarunkowa parcel nie jest wprawdzie wykluczoną, ale ponieważ jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy na tę formę kolonizacyi znaleść będzie można dostateczną ilość kolonizatorów, wolno parcele wypuszczać w czasową dzierżawę lub nareszcie oddawać w posiadanie z zastrzeżeniem nieograniczonéj co do czasu renty (*Rentengüter*). Z wynalazku tego bardzo dumną była komisya parlamentarna, bo to jéj dzieło. Przypuszczają, że na te rentowe siedła rzucą się całe legiony kolonistów z żadnym lub małym kapitałem obrotowym, o którego utratę nie potrzeba im się obawiać tyle, co czasowym dzierżawcom. Takby się zdawało. A jednak wyliczono cały szereg zasadniczych niedomagań, jakie ten rodzaj renty za sobą pociągnie. Najprzód cała instytucya staje od razu w sprzeczności z powszechném prawem pruskiem, które zezwala tylko na amortyzacyjny stosunek rentowy najwyżéj do 30 lat, z téj zasady, że należy w państwie popierać rozwój i wzrost indywidualnéj, jasnéj a nie współdzielnéj, zagmatwanéj własności. Polityka antypolska rozgrzesza rząd z przestrzegania téj zasady. Wolno mu stosunek rentowy przeciągać w nieskończoność, ale może go téż wedle umowy ukrócić. Jakież będą skutki tego stosunku? mianowicie téż ze względu na to, że nabywcom bez pozwolenia rządu nie wolno parcel daléj odprzedawać? Przedewszystkiém ujawni się *zupełny* brak kredytu reczowego, bo któż da pieniądze na hypotekę, którą nie sam posiadacz wyłącznie rozporządza? Daléj bardzo utrudniony a prawie uniemożebniony jest podział dziedziczny. Bo jakże dzielić między spadkobierców realność, któréj stosunek rentowy sprzedać nie pozwala z wolnéj ręki, z wyzyskaniem wszelkich okoliczności i konjunktur, tylko w zupełnéj zawisłości od właściciela renty tj. rządu. Albowiem w przeciwnym razie mógłby kolonię nabyć Polak. Istne *koło błędne*. A jednakże nie udało się zagrodzić temu niebezpieczeństwu na wszelkie wypadki. W braku spadkobierców w prostéj linii, zdarzyć się może, że znajdzie się poboczny szczęśliwiec spadkobierca słowiańskiéj krwi; chyba że, obok renty, posiadaczom gruntów rentowych wpisywać będą do hipoteki zakaz wchodzenia w jakiekolwiek stosunki koligacyi

z żywiołem krajowym. Na chęciach w téj mierze nie zbywa, wszak o to potrącał bardzo na seryo ks. Bismark w owéj osławionéj mowie *à la Monaco.*

Słusznie też wyrażali mówcy z centrum obawy, że i kolonizacya wymierzoną jest przeciwko katolicyzmowi. Forytowani będą oczywiście tylko koloniści protestanccy, bo katolicy narażani bywają na spolonizowanie przez ułatwione z powodu tożsamości wyznania koligacye.

Takie oto wnioski i pewniki wysuwali mówcy opozycyi, pragnąc dowieść, jak trudném a wskutkach zawodném jest i będzie dzieło kolonizacyi, podjętéj nie w celach ekonomicznych, lecz w celach politycznych.

Ale to jeszcze nie wszystkie szkopuły, o które się rozbijać powinna nieczysta sprawa. Już uregulowanie stosunków i ciężarów kościelnych, szkolnych przedstawi w praktyce tysiączne trudności; głównie zaś prawo zasiedziałości (*Unterstützungswohnsitz*) nowe gminy przyprawi odrazu o bankructwo. Prawo to opiewa, że każdy członek gminy, każdy mieszkaniec, mniejsza o to czy wyrobnik czy właściciel, skoro w gminie bez przerwy przemieszkał dwa lata, a popadnie w niemoc lub nędzę, otrzymywać musi stale od gminy wsparcie, odpowiednie do stanu swego. Wiadoma rzecz, że w każdéj wsi szlacheckiéj mieszka po kilka, kilkanaście, niekiedy kilkadziesiąt rodzin wyrobniczych. Skoro wieś taka zakupioną zostanie na cele kolonizacyjne, wszystkie rodziny te zostaną wyrugowane i pójdą z torbami. Część znajdzie przytułek i pracę utrzymających się jeszcze ziemian, ale w miarę jak wykupywanie wzmagać się będzie, uszczupli się pole przytułku i pracy dla naszych wyrobników. Popadną w nędzę a gminy nawiedzone tym proletaryatem odsełać będą żebraków do miejsc zasiedziałości, czyli do nowych kolonii, na które tym sposobem spadnie ciężar nieznośny i nie przyczyni się do ich powodzenia.

Już to przyznać trzeba opozycyi, że temi i podobnemi argumentami walczyła do ostatka z zacięciem i wytrwałością. Nie o naszą skórę walczyła tak mężnie (tj. Niemcy) ale o honor swéj ojczyzny. Ten przez posłów z centrum i wolnomyślników został rzeczywiście uratowanym. Pokazało się, że są jeszcze liczne zastępy mężów w Niemczech, które stosunek państwowy opierają na sprawiedliwości. Cześć im, cześć np. takiemu Windhorstowi, przyznającemu, że my jesteśmy obywatelami państwa równouprawnionemi, że żadnych praw nie utraciliśmy, cześć takiemu Virchowowi, wołającemu: nam nie wolno germanizować, mamy tylko prawo żądać, żeby się dzieci polskie po niemiecku nauczyły!

Co do trudności z jakiemi się kolonizacya spotka rząd dziś po uchwaleniu prawa i zagarnięcia 100 milionów, zupełnie ich sobie nie tai i dla tego właśnie kazał sobie pozostawić do woli tyle sposobów postępowania, żeby mieć wybór stosowny do okoliczności. W tym celu zastrzegł też sobie i powołał do działalności osobną komisyą, złożoną nie tylko z biurokratów ale i z ludzi, mających styczność z życiem praktycznem. Komisya ta corocznie *sejmowi* zdawać będzie sprawę z zakupionych majątków, ze sprzedaży takowych, z rozkolonizowania, z przygotowań odpowiednich i z administracyi dóbr zakupionych.

Zależéć będzie od téj komisyi, czy sprawa pójdzie właściwym co do założenia a dla nas niepożądanym torem. Prawo samo jest dość giętkiém i elastycznem a w uzasadnieniu prawa powiedziano: zamiaru dopnie się tylko wtedy, jeśli rząd będzie miał w działaniu wolne ręce. Znaczy to tyle, że co do szczegółów jeszcze przedsiębiorcy sami nie wiedzą, jak postępować. Znają tylko główny cel, wywłaszczenie osiadłéj szlachty, a w miarę okoliczności zmieniać będą i zastosowywać środki. Pieniędzy jest podostatkiem, czas zbytecznie nie nagli, więc z namysłem i spokojem biorą się do dzieła.

W pierwszéj chwili u nas mówiono sobie: co oni nam zrobią temi swemi 100 milionami. Roztrwonią pieniądze na liche kupna, na nepotyczne ratowanie zbankrutowanych Niemców, na zagospodarowywanie zniszczonych majątków. Dziś już sądzimy trochę inaczéj. Komisya kupiła już kilka znakomitych majątków po bajecznie taniéj cenie a stosunki naszych ziemian są w dwóch trzecich tak rozpaczliwe, że tą samą drogą postępując, komisya zakupi na subhastacyach tyle dóbr, ile sama zechce. Z kolonizacyą nie myślą się śpieszyć, może nawet lata jeszcze miną, zanim na dobre się do niéj wezmą. Dla popisu tylko tu i owdzie przyśpieszą i tę czynność, żeby wykazać możliwość. Większość zakupionych majątków administrować będą jako dominia i ciągnąć z nich dochody z powodu taniego kupna. Praktyczni ziemianie niemieccy, powołani do komisyi, są nawet przeciwni gwałtownéj kolonizacyi a obiecują sobie, że i przez folwarczne gospodarstwo cel wywłaszczenia Polaków osiągniętym być może.

Tymczasem więc cała uwaga komisyi zwróconą jest na zakupna. W powiatach landraci sporządzają statystykę „słabych“ ziemian polskich. Do komisyi należą generalni dyrektorowie ziemstw kredytowych, którzy badają stan hipoteczny i tak dziś już w tajnikach komisyi taksuje się każdy „słaby,“ kiedy i za ile przejdzie *sub hasta* do wnętrzności *omnivorae Germaniae*.

O szczegółowych zamiarach działającéj komisyi różne chodzą wersye. Nie uważamy za potrzebne powtarzać lub krytykować takowych. Jeżeli wszystko, co mówią, jest prawdą, zapewne i ta komisya z czasem wejdzie na manowce. I owszem, nie myślimy jéj otwierać oczu. Wolimy ją chwalić i przeceniać jéj wielki rozum, żeby czémprędzéj usnęła na laurach. Nie możemy jednak odmówić sobie zrobienia jednéj przygany. Bezwzględność całego prawa, całego postępowania, charakteryzuje się najlepiéj przez to, że do komisyi powołano właśnie i naczelnych urzędników ziemstw (tj. towarzystw kredyt. ziems.). Zatém ziemianie polscy utrzymują z własnych funduszów naczelników instytucyi kredytowych ziemskich na to, żeby ci dokładali starań około wywłaszczenia swoich mocdawców. Jakiż to obrzydliwy stosunek. Nie wiadomo, czém więcéj gardzić, czy zasadą niemoralną, czy osobami, które w tym stosunku usługi swe oddają molochowi racyi stanu. Rzecz zaiste dotąd niebywała w „państwie prawa.“ Lecz i tu już wszystko jest możebném. Wszakże i o obecnym nowym naczelnym prezesie (Zedlitz-Trütschler) mówiono w kołach szlachty szląskiéj, że jest nadto „porządnym“ człowiekiem, żeby się miał oddać na posługi tych praktyk, a jednak „porządny“ człowiek się nie zawahał. Tacy oni wszyscy!!

A my?! U nas oczywiście płacz i zgrzytanie zębów. Przesilenie, od wielu lat dolegające rolnictwu w ogóle sprawia, że doskonale skruszali, z pewnym *haut gout* dostajemy się na jatki naszéj teutońskiéj macochy. Wielokrotnie wytykano to w parlamencie i w sejmie, że się nie godzi wyzyskiwać takiego położenia ziemian na rzecz państwa. Hipoteki przeciążone, nieurodzaj chroniczny, ceny ziemiopłodów obniżone do ostateczności, dochody coraz mniejsze obok wzrastających wydatków, słowem chwila jakby stworzona na wywłaszczenie.

Lecz co gorsza, że o ile jesteśmy materyalnie i biernie najzupełniéj przygotowani do téj tragicznéj akcyi, o tyle pod względem intelektualnym, pod względem energii ducha i możności obmyślenia czynnego odporu, zaskoczyła nas takowa zupełnie nieprzygotowanych. Ztąd ów ogólny popłoch i dobrowolne chęci ustępowania z gleby ojczystéj, ztąd owa bezradność co do środków ratowania się z toni.

I nie dziw, że tak jest. Zaskoczyła nas wielka kwestya ekonomiczno-finansowa, a my nie przypuszczaliśmy nigdy, żeby sprawa nasza na tém polu rozegrać się miała. Wytężaliśmy zawsze wszystkie siły nasze na politykę; z chlubą o sobie to powiedzieć możemy, że nawet ks. Bismarka biliśmy na arenie parlamentarnéj, przed Europą, przed ludem, na wiecach, w prasie, a on widząc, że

nam na tém polu nie podoła, przerzucił się na inne, i bije nas teraz tam, gdzie nas dotąd bili tylko żydzi,—*sub hasta*. Nasza drzémka ekonomiczna mści się teraz straszliwie, gdy z potrzeby naraz chcielibyśmy na poczekaniu przedzierzgnąć się w ekonomiczno-finansowo-ratunkowe społeczeństwo. Niestety takie przewroty nie dzieją się raptownie, na to potrzeba pracy i usiłowań całych generacyi.

A wszakże chełpiliśmy się zawsze tém, że u nas kwitną prace organiczne, niby coś przecie z ekonomii?! Tak jest kwitły, ale nie wszystkie kwiaty wydają owoce i plony. Warzy je mróz, pali posucha. A u nas te prace były i są albo drobnostkowe, albo pozorne, albo skierowane na niewłaściwą drogę, albo osłabione.

Jeden stan włościański, powiedziéć można, zrobił prawdziwe postępy, wszedł na drogę rzeczywiście z a r o b k o w ą, chociaż i on jeszcze zamiast zyskiwać traci ziemię, ale bezporównania wolniéj niż ziemianie. On jeden żyje z pracy, reszta społeczeństwa, mniéj lub więcéj, zjada k a p i t a ł. Jedni go zjadają przez to, że ukryty i lękliwie strzeżony, gnuśnieje, drudzy przez niewłaściwy obrót jaki mu nadają.

Smutno to przyznać, ale nadzieja nasza nie zasadza się tymczasem na świadomie przez nas samych urządzonym oporze. Jeżeli nie zginiemy w téj toni, uratuje nas Opatrzność i dzielność naszego przyrodzenia, żywotność nasza. Groza położenia jest tak straszliwą, że byłoby daremném łudzić się nadziejami jakiejś drobiazgowéj pomocy, przewidzianemi skutkami takowéj.

Społeczeństwo nasze, jakkolwiek nadwątlone, przedstawia jeszcze bardzo poważną zaletę nie tylko moralną ale i ekonomiczną. A społeczeństwa najsłabsze są jeszcze zawsze olbrzymami. Utoczą nam krwi dużo, ale przecież sami wrogowie nie łudzą się tém, żeby przed upływem kilku g e n e r a c y i skutek praw antypolskich miał nas zupełnie pognębić. Zważmy, że już 1000 lat trwa ta walka. Potrwa jeszcze długo. A tymczasem może przecież otworzą się oczy słowiańskich plemion, żeby poszukać w geografii, gdzie leży s ł o w i a ń s k i T a n e n b e r g?!

Do tego czasu przerzedzą się nasze szyki. Księstwo spaść może do roli Szląska lub Łużyc, ale i na tém przecież jeszcze nie koniec: wszak i z pod Białéj Góry wracają jeszcze narody do znaczenia i siły.

Zdaje się, że najbliższym praktycznym celem rządu jest, żeby uniemożebnić reprezentacyą polską w sejmie i parlamencie. Dla tego usiłowania kolonizacyjne zwrócone być mają głównie na powiaty przedstawiające jeszcze wielką siłę wyborczą. I rzeczywiście każdorazowe wybory będą najlepszą miarą, czy prawa antypolskie odnosić będą skutek czy nie. A zatém czekajmy.

W. S.



SZKOŁY HISTORYCZNE W POLSCE.

(Główne kierunki poglądów na przeszłość).

Potomność będzie ze swego stanowiska wzruszać ramionami nad rozumem wieku naszego.
Lelewel.

Kierunek teologiczny, jaki w poglądach na wszystkie stosunki życia zapanował u nas w dobie reakcyi katolickiéj, i w zapatrywaniach na dzieje piętno swe odbił. Jeżeli fakta współczesne: urodzaje—wpływowi koronacyi obrazu, zwycięstwa—łasce nadprzyrodzonéj, a klęski przypisywano karze za grzechy,—musiano i do wymiaru przyczyn zdarzeń zamierzchłych, oraz pochwycenia wątku całego procesu przeszłości narodu skali używać téj saméj. Jakoż annaliści, pamiętnikarze i publicyści z XVII wieku, ile razy usiłują tłómaczyć fakt historyczny lub chaos wypadków nanizać na nić moralnego porządku, do teologicznego się niemal zawsze uciekają kryteryum. Autor *Exorbitancyi powszechnéj* (z r. 1628) pomyślność królestw funduje „na czci Boga prawdziwego i sprawiedliwości między ludźmi", a w klęskach narodu widzi „kaźń Pańską" (1). Najgłośniejszy z dziejopisów wieku XVII, Kochowski, wierzy w lata klimakteryczne i w opisywanych przez siebie czasach znajduje stwierdzenie przepowiedni astrologów o wznawiających się co rok siódmy nieszczęściach. Dębiński, według którego wolności polskie rozkwitać poczęły „za wniesieniem światła wiary chrześcijańskiéj", spostrzega w dziejach palec boży, określający narodom lata istnienia. „Kto się — powiada — historyom, a w nich upadającym państwom *reflexe* przypatrzy, jaśnie obaczy, że wszystkie, zwłaszcza znaczniejsze,

---

(1) Wydanie Turowskiego, str. 9 i 21.

miały *certos suae durationis terminos* i jakoby *fatales periodos*, które im albo znaczne lub *in pejus* lub *in melius* odmiany, albo zgoła upadki przynosiły.“ Raz ów *fatalis periodus* przypadał co lat 250,— przez taki mniéj więcéj czas trwały monarchie: medyjska, perska od Cyrusa do Daryusza, grecka od Aleksandra do podboju przez Rzymian, longobardzka; drugi raz „znaczne na królestwa odmiany albo upadki przychodzić zwykły“ co lat 500,— tak długo istnieli Asyryjczycy, królestwo greckie od Cekropa do Kodrusa, rzeczpospolita lacedemońska i rzymska; to znowu spostrzegać się dają przełomy co lat 700, a dowodów dostarczają dzieje Kartaginy i Rzymu. Przełomy takie przebyła i Polska: pierwszy za Bolesława Chrobrego, „kiedy *ex principali statu ad regiam* przyszła *majestatem*“; drugi za najazdów tatarskich, trzeci się zbliża. Co ów trzeci przyniesie? „Kiedykolwiek do takich peryodów państwom przychodziło, miały zawsze niektóre pewne znaki i jakoby *proximas causas* bliskiego upadku, albo następującéj odmiany.“ Twierdzono, iż „prowidencya protekcyi boskiéj sprawuje, że ustawicznie się walimy, a przecie stoimy; ustawicznie gaśniemy, a przecie jako słońca jakie, po zachodzie wschodząc, jaśniejemy; ustawicznie giniemy, a przecie żyjemy....“ Rozumiano, że rolę osób na dworach książąt pełnią na świecie — wielkim dworze Boga, królestwa, które na rozmaite się dzielą kategorye i różne mają powinności a funkcye. „Więc Polakom między inszemi i tę też funkcyę naznaczył, żeby go rekreowali i cieszyli. I tak, kiedy Bóg z nieba na sejmy, na sejmiki, na wojenne wyprawy, na rządy i na wszystkie insze postępki nasze patrzy, bardzo się cieszy i rekreuje. Żeby tedy ta rekreacya Bogu nie zginęła, oddał Polskę naszą prowidencyi swojéj w osobliwą opiekę, aby jéj upadać nie dopuściła“ (1).

Pogląd taki na przeszłość znalazł nawet swego Bossuet'a w osobie jezuity, Szymona Maichrowicza, który w czterotomowém dziele: *Trwałość szczęśliwa królestw albo ich smutny upadek wolnym narodom przed oczy stawiona* (2) najwyższe zagadnienia dziejowe rozwiązywał z właściwą teologom łatwością. Że dla krótkości naszego życia nie możemy, zdaniem Maichrowicza, nagromadzić przez bezpośrednie doświadczenie mądrości, niezbędnéj do zabezpieczenia ojczyzny od ruiny,— musimy się zagłębiać w przeszłość, która okazuje przyczyny trwałości i upadku królestw i przezorności naucza. Zaszczepił rządca świata w stworzeniach swoich świadomość, że jak przez niego wyprowadzone zostały z nicości, tak jego również ręką wszech-

---

(1) Dębiński. Różne mowy publiczne seymikowe y seymowe. 1727, w drukarni Jasney Góry Częstochowskiey, str. 33, 38—40, 43. — (2) Znamy dwa pierwsze tomy w wydaniu lwowskiém z r. 1764, resztę w wydaniu kaliskiem z r. 1783.

mocną zepchnięte być mogą w wiekuistą nikczemność. Potęga i trwałość państwa jest wynagrodzeniem zasług, słabość i upadek następstwem grzechu,— stwierdzają to zarówno dzieje powszechne, jak polskie. Władcy nasi, począwszy od przybyłego z Kroacyi Lecha, przez lat 415 rządzili się, lubo poganie, światłem rozumu, przyrodzoną cnotą, wspaniałością umysłu i serca, a nagrodził im to Pan Bóg zwycięstwami i wprowadzeniem wiary Chrystusa (II. 13). Od Mieczysława zasługiwali sobie Polacy, oprócz chwały wiecznéj, na korzyści doczesne, do których dopomagała im Najświętsza M. Panna i święci (II. 23). Związkiem chrześciańskiéj miłości spojeni Litwini, Polacy i Rusini za grunt trwałości i szczęścia królestwa wzięli cnotę, pobożność i szacunek dla wiary; jedno było mówić: Polak i katolik,— nie uznawali za synów ojczyzny, lecz za odrodków od wszystkiéj poczciwości tych, którzy przeciwko starodawnéj powstawali religii. Jagiełło i Witold wzgardzili koroną, którą ofiarował im naród, uporczywie utrzymujący kacerstwo Husa. Prawowierni Polacy po wszystkie wieki i lata ku obronie wiary świętéj stanowią prawa pobożne, krew dla niéj oddają, majętności i życie; błędy kacerskie wytępiają odważnie i mocno. Wypędzili aryan, upokorzyli kalwinów i lutrów (III. 124). „I ta jest przyczyna, że tyle nad insze narody ze krwi swojéj pozyskali świętych obrońców przed Bogiem: śś. Stanisława, Jadwigę, Salomeę, Kunegundę, Kazimierza, Jozafata Kuncewicza, Jacka, pięciu męczenników, dwóch pustelników, Stanisława Kostkę, Jana Kantego, Jana z Dukli, Szymona z Lipnicy, Władysława z Gielniowa i inszych“ (II. 25). Osobliwsza dla narodu naszego przychylność nieba, że Chrystus, że przeczysta Matka i Panna, że tylu świętych założyło sobie w Polsce szczególniejsze mieszkanie, że nas ratują, w wierze prawdziwéj i w złotéj utrzymują wolności (II. 33).

Pisano współcześnie, zwłaszcza w pierwszéj połowie wieku XVIII, o wielu sprawach rzeczypospolitéj rozsądnie (Karwicki, Jabłonowski, Leszczyński, Stanisław Poniatowski), nie zdołano jednak krytyki istniejącego porządku oprzéć na szerszéj podstawie historycznéj, żaden bowiem z autorów całości dziejów ze stanowiska filozoficznego ogarnąć nie umiał. Wtenczas, kiedy Monteskiusz pomiędzy zdarzeniami dziejowemi przyczynowy znajdował związek, a Wolter, nie uznając wpływów nadprzyrodzonych, źródła dla wielu doniosłych faktów szukał w stanie psychicznym ludzi, — pisarze nasi błąkali się po manowcach teologicznych majaczeń i po nad stanowisko Maichrowiczów skrzydeł nie wznieśli. Pierwsza, o ile wiemy, próba uogólnienia dziejów polskich, podjęta ze stanowiska nie religii, lecz nauki, ukazała się w r. 1760, lecz wyszła z pod pióra współziomka Woltera. Nie przynosi to chluby literaturze rodzimej, tém bardziéj, że żaden

z pisarzy naszych wieku XVIII nie zdobył się na dzieło, któreby tak systematycznie uogólniało całość dziejów polskich i zawierało pomysły tak trafne, jak *Compendium politicum seu brevis dissertatio de variis Poloni imperii vicibus* Cezara Pyrrhys'a de Varille (1).

W Polsce pierwotnéj znajduje Pyrrhys monarchię nieograniczoną, dziedziczną; zjazdy magnatów istniały, lecz po to jedynie, żeby książęcych rozkazów wysłuchać, nowemu panu wierność zaprzysiądz lub w razie wygaśnięcia dynastyi powołać inną. Tak się działo za Lechów. Za następnéj dynastyi było toż samo, chociaż trzeba zaznaczyć, że panowie lichego Piasta wynieśli tylko przez zazdrość. Gdy żaden nie mógł władzy ująć w swe ręce, wolał raczéj człowieka podłego (*obscurum hominem*) zalecić, niż równego sobie przeciwnika dopuścić. Często w czasach późniejszych panowie książąt zrzucali, a nowych sadzali, lecz to przez nadużycie czynili, nie zaś przez prawo. Nie naród, lecz Mikołaj z Bzury, niby Warwick, koronę różnym podawał; nie naród, lecz biskup poznański Władysława Łokietka w r. 1300 od władzy usunął. Panami kierowała przewrotność i chciwość; zjazdy, na których sponiewierali swych książąt, nie sejmami, buntowniczymi raczéj były ruchami. Polacy, fałszem się brzydząc, muszą to przyznać, że przez lat 787 dziedziczna i nieograniczona kwitnęła monarchia.

Od Kazimierza W. osłabła władza monarsza. Krzyżacy, mając sobie na zjeździe wyszogrodzkim ustąpione Pomorze, położyli warunek, żeby umowę senatorowie stwierdzili. Król zgodził się na to, powołał senatorów do stanowienia o pokoju i wojnie, następnie względem osadzenia na tronie siostrzeńca zezwolenia ich żądał i w taki sposób na miejsce nieograniczonéj monarchii arystokracyę pod przywilejami postawił. Za Jagiellonów arystokracya: 1) obiera króla i z nim 2) o wojnie i pokoju stanowi, 3) prawa wydaje, 4) sądzi, 5) skarbem szafuje, 6) zajmuje urzędy, 7) radzi o wszystkiém na zjazdach. W siedmiu kardynalnych prawach władza królewska poniosła uszczerbek i w taki sposób arystokracya pod wolnością (*sub libertate*) stanęła u steru. Powoli wynurza się szlachta. Rada była z początku, że panowie ograniczali monarchię; lecz skoro spostrzegła, że senat władzę z królem podzielił, i ona zapragnęła w rządzie udziału. Okoliczności dążnościom sprzyjały. W roku 1404 powstały sejmiki, w 1454 Kazimierz Jagiellończyk powołał szlachtę do stanowienia uchwał, wypowiadania wojny i zawierania pokoju; za

---

(1) Bliższe szczegóły o życiu jego i pismach podaliśmy w rozprawce: *Cezar Pyrrhys de Varille. Przyczynek do historyi literatury politycznéj wieku XVIII.* (W dodatkach tygodniowych do N. 3, 10, 17 i 24 *Nowin* z r. 1880).

Olbrachta i Aleksandra swobody szerszem jeszcze popłynęły korytem, aż Zygmunt I w r. 1510 uznał nietykalność posłów ziemskich i jako za obrazę majestatu naznaczył karę za wyrządzone im krzywdy. Objęła więc za Kazimierza Jagiellończyka rządy demokracya, chociaż na stanowisku samodzielném nie trzymała się długo. Do r. 1536 stanowiono na sejmach większością, do 1652 zrywała obrady mniejszość, a od Jana Kazimierza jednostki. Samodzielne stanowisko zajmowała szlachta tylko do r. 1536,— w następnych czasach intrydze i dumie panów pozwoliła zawładnąć, przez co rozum pysze, wolność swywoli, honor złotu ustąpił. W okresie zrywania sejmów przez mniejszość i decydowania jednomyślnością magnaci, jak za własnych rządów, rej wiedli, a kierowała nimi przewrotność i chciwość. Obieranie królów dla tego nad sukcesyę przenieśli, żeby się sami o tron mogli ubiegać lub żeby z kandydatów do berła krzesać korzyści; sposobu odbywania elekcyi nie pozwolili opisać, żeby łatwiéj dokonywać mogli nadużyć, żeby szerszy upust mieli dla gwałtów. Podtrzymywali zrywanie sejmów, iżby śród nierządu uciskali obywateli drobniejszych a dobrych, żeby na gruzach powagi prawa srożał wyniosły egoizm. Przyprawiło to rzeczpospolitę o ruinę, żadne bowiem społeczeństwo bez praw istnieć nie może, bez powagi prawo jest marne, a powagi nie masz bez rządu.

Konarski, z którego wskazówek Pyrrhys korzystał, o anarchii i historyi parlamentaryzmu w Polsce w kapitalném swém dziele spostrzeżeń zamieścił wiele, zawarłszy się jednak w obrębie sprawy obrad sejmowych, do rozleglejszych uogólnień nie doszedł. Dopiero po pierwszym rozbiorze, zwłaszcza w dobie sejmu wielkiego, na temat historyozofii rozprawiano wymownie i dużo.

I.

Pojmowanie dziejopisarstwa i celów jego w XVIII wieku. Dwa kierunki poglądów na przeszłość: 1) republikański, reprezentowany przez Wielhorskiego, 2) monarchiczny przez Naruszewicza i publicystów postępowych z doby sejmu wielkiego. Według Wielhorskiego przyczyną anarchii było odstępstwo od „pierwiastkowéj ustawy“ republikańskiéj; według stronnictwa monarchicznego doprowadziła do upadku słabość rządu, wynikła przez podkopanie władzy królewskiéj. Zapatrywania Naruszewicza i publicystów stronnictwa reformy na osobistości historyczne i fakta.

Cel uprawy dziejów wskazywało ludziom wieku XVIII Cyceronowskie określenie: *historia est testis temporum, lux veritatis, vita memoriae, magistra vitae, nuntia vetustatis.* „Historya — pisze Naruszewicz — jako oświata prawdy, iściec i sędzia dzieł starożytnych, po-

winna mówić do ludzi, onych nauczać i prostować.... Popełnione omyłki w legislacyi, uchybione pory w potyczkach, zaniedbane korzyści w dobrych okazyach, gorliwość niewczesna lub interesowana, zła ekonomika w skarbie, złe lub dobre przedsięwzięcia w aliansach, niezdolność urzędników na magistraturach, rzucane nasiona i w pierwiastkach niezatłumione domowych niechęci, wyzuwanie się królów *ex regalibus*, skutki mieszanego rządu i elekcyi królów, swawola wolności, przyczyny wielości rzadko kiedy skutkujących praw, uciążliwość i niewola poddaństwa, różność religii i onych tolerancya, tudzież inne tym podobne czynności publiczne i prywatne mają być celem piszącego z krytyką historyę; to jest aby opowiadając, co się działo, oświecał razem czytającego bez miłości i nienawiści, jeśli się to dobrze lub przeciwnie dobru pospolitemu działo" (1). Wymagano od dziejopisa, żeby chłostał występki, a okazywał tryumf dobrego nad zbrodnią (2); żądano, żeby historya była nauką obyczajów i cnoty. Uznawano potrzebę pisania prawdy, lecz pod krytyką nie rozumiano nic innego, jak zajęcie określonego stanowiska moralnego ku ocenie faktów i ludzi. „Przykłady przodków — powiada Naruszewicz — nie mogą nas uczyć, chyba same będą pierwéj do pewnych prawideł cnoty, sprawiedliwości i obywatelstwa przywiedzione"; po zebraniu materyału i odpowiedniém rozsegregowaniu go należy weń, według rzeczonego dziejopisa (3), tchnąć „ducha mądrości, który, mówiącemu kredyt i powagę sprawując, ugina umysły i giętkie kędy chce zaprowadza."

Była więc historya w mniemaniu ludzi wieku XVIII trybunałem karzącym, przewodnikiem w polityce i etyką. Musiała stać się nawskróś utylitarną, skoro zalecano jéj do wymiaru zdarzeń zamierzchłych używać skali etyki najnowszéj i wywody poświęcać względem praktycznym. Przez ów utylitaryzm w dobie ogólnego wrzenia politycznego pociągała ku sobie historya sił wiele, tém bardziéj, że dla szlachty polskiéj w kwestyach ustroju wewnętrznego przeszłość stanowiła instancyę ostatnią. Zwracali się do dziejów wszyscy, w sprawach politycznych biorący udział i w arsenale ich dobierali stosownéj do widoków swych broni. Różnorodność jéj zadośćczyniła potrzebom najbardziéj skrajnym,—na kanwie jednéj i téj saméj przeszłości każde stronnictwo haftowało zastosowane do swych celów ścieżki historycznego procesu narodu. Inne odsłaniała przeszłość widoki republikanom, inne postępowcom, zwolennikom rządu silnego.

---

(1) Historya narodu pol. wyd. Bobrowicza. I, str. XXVII. — (2) Krasicki. List do Adama Naruszewicza o pisaniu historyi. — (3) *L. c.*, I, str. XXVII.

Polska, Scytyą czyli Tartaryą europejską pod panowaniem Kserksesa zwana, zawojowaną była — według Wielhorskiego (1) — przez Sarmatów, których znowu pod wodzą Lecha podbili Sławacy. Lubo dynastya Lecha sterowała krajem sprawiedliwie i mądrze, po wygaśnięciu jéj jednak zgromadza się naród do Gniezna i, obawiając się, aby rząd jednego nie obrócił się w tyranię, obiera dwunastu znaczniejszych z pomiędzy siebie mężów i każdemu z nich jedną wydziela prowincyę. Dali w ten sposób Polacy państwu swojemu kształt województw sprzymierzonych czyli formę konfederacyi, a zdarzenie to stanowiło początek porządnéj wolności. Pod narodem, który wojewodom swym nadawał powagę i władzę, rozumiéć oczywiście należy szlachtę, bo chociaż, według Wielhorskiego, pospólstwo zażywało pierwiastkowo wolności i posiadało własność, wyłączone jednak zostało od uczestnictwa w rządzie, skoro nad służbę wojenną przełożyło rzemiosło i rolę, nad chwałę—życie spokojne i zyski. Po wojewodach panowały znowu jednostki, lecz nie prawem sukcesyi. Polacy od pierwiastków swoich używali przyrodzonego prawa w obieraniu sobie królów; niekontenci z panowania, nietylko mieli władzę wyrzucania im przestępstw, lecz i wyzuwania ich z władzy. Podział państwa przez Bolesława Krzywoustego potwierdził naród, który o wszelkich sprawach państwa rozstrzygał na sejmach. Król najmniejszéj w prawodawstwie nie miał powagi, osobą swoją na rząd rzeczypospolitéj nie wpływał. Konfederacya, złożona z prowincyi, województw, ziem i powiatów reprezentowała bez króla rzeczpospolitę wszechwładną; bez niego odbywać się mogły i sejmy. Rząd rzeczypospolitéj według pierwiastkowéj ustawy, ujawnionéj w atrybucyach zorganizowanych po śmierci Lecha województw, spoczywał w ręku skonfederowanych prowincyi i ziem, figurujących w pomnikach prawodawstwa polskiego pod nazwą stanów. Samowładność rzeczypospolitéj, spoczywająca w sejmie, na tyle dzieliła się części, ile sejmików; udzielność znowu ostatnich składała się z wszechwładztwa biorących udział w sejmikowaniu osiadłych szlachciców. Słowem, pierwiastkowy układ rządu polskiego na następujących, według Wielhorskiego, stanął zasadach :

1. Obierani na sejmikach posłowie ograniczeni byli instrukcyą, a reprezentowali tylko udzielność swoich województw.

2. Wszechwładztwo, które reprezentowali owi posłowie, spoczywało w szlachcie, na sejmikach zebranéj.

3. Izba poselska skupiała w sobie wszystkie rzeczypospolitéj stany.

---

(1) O przywróceniu dawnego rządu według pierwiastkowych rzeczypospolitey ustaw. 1775.

4. Pod nazwą stanu rozumiéć należy prowincye, województwa, powiaty i ziemie.

5. Najwyższa rzeczypospolitéj udzielność zawierała się w trzech prowincyach, z województw, ziem i powiatów złożonych.

Dobrze było w rzeczypospolitéj, dopóki ojcowie pierwiastkowych rządu trzymali się zasad; skoro pod nazwą stanu rozumiéć poczęli senat, izbę poselską, a czasem prowincye i województwa, — że prawami kardynalnemi stały się zdrożności i błędy, utraciło państwo władzę prawodawczą, okazałość i siłę. Uświęcenie prawne nadużycia, zwanego *liberum veto*, było pogwałceniem zasadniczéj ustawy; pierwszy sejm zerwany nadał rządowi polskiemu kształt inny. Pomnożyły się bezprawia i błędy, gdy królowie przywłaszczyli sobie rozdawnictwo urzędów i łask, gdy ludzie krwi wątpliwéj wdzierać się poczęli do funkcyi szlacheckich.

Wielhorski żadnego zgoła w organizacyi wewnętrznéj Polski nie spostrzegał rozwoju: niby *deus ex machina* najdoskonalsza, według niego, forma rządu dzięki roztropności i cnocie przodków w jednéj powstała chwili. „Wzgarda, powiada, praw pierwiastkowych, dawnéj szczerości i cnotliwéj prostoty zaniedbanie, wzruszając nieznacznie podwaliny, na których rząd gruntownie zdawał się zasadzonym, chylą go ku upadkowi i nakoniec w bezdenną pogrążają przepaść, gdzie czas wszystko miesza, trawi i niszczy.“

Do fantazyi rozegzaltowanego pomysłami Russa autora traktatu *O przywróceniu dawnego rządu* republikanci wieku XVIII niewiele potrafili dorzucić. Te same rozwijał pomysły Wybicki w *Listach patryotycznych* (1), polemizujący ze Staszycem autor *Uwag nad uwagami* i najwięksi z doby sejmu wielkiego rzecznicy przeszłości: hetman polny i kasztelan witebski, Rzewuscy. Erudycyę swoją nanizali na nić doktryny o idealnéj cnotliwości i mądrości praojców; w ogłupieniu i demoralizacyi potomków znajdowali klucz do zrozumienia genezy upadku.

Teorya podboju, o którą Wielhorski potrącił, lecz konsekwencyi nie wysnuł z niéj żadnéj, rozleglejsze uzasadnienie znalazła u pisarzy stronnictwa reformy, a była punktem wyjścia do hipotezy o wewnętrznym ustroju Polski pierwotnéj. Decydującym w téj kwestyi był oczywiście historyk z zawodu, który w sprawie rozpowszechnienia krytyczniejszych na przeszłość poglądów zasługi położył wielkie.

Nad Wartę i Wisłę przybyli, według Naruszewicza, Słowianie zbrojno: opanowawszy ziemie cudze, ludność autochtoniczną obyczajem Franków, Sasów, Normandów i innych narodów obrócili

---

(1) I, str. 23, 19—31, 161—165 *passim*..

w stan niewolniczy i grunta podzielili pomiędzy siebie. Zbrojny najezdnik, choć obcy, został panem, dziedzicem, szlachcicem; tubylec poddanym chłopem. Wodzowie najezdników zabrali najwięcéj, rycerstwu dostały się cząstki pomniejsze z obowiązkiem ciężarów feudalnych i służby wojennéj (VI, 95. X, 51). Aż do śmierci Bolesława Krzywoustego rządzili Polską Piastowie najabsolutniéj, despotycznie. Dzielili testamentem państwo pomiędzy dzieci, sami wypowiadali wojnę i nakazywali pospolite ruszenie, stanowili prawa i szafowali dochodami skarbowymi, sądzili osobiście lub przez mianowanych przez siebie urzędników, byli względem całego narodu panami życia i śmierci, a wszystkie dobra, nawet szlacheckie, stanowiły lenność i olbrzymim na rzecz króla podlegały ciężarom (X, 47). Podział królestwa pomiędzy synów Krzywoustego, a bardziéj jeszcze rozdrobnienie za Piastów, rozrodzonych na Mazowszu, w Wielkopolsce i Śląsku, osłabiło władzę monarchiczną, a magnatom i szlachcie przysporzyło majątków, powagi i mocy. Każdy książę chciał być udzielnym, każdy pragnął miéć dwór własny i wojsko, kancelaryę oddzielną i sąd osobny. Powstało z tego powodu mnóstwo urzędników, zabiegających około pomnożenia fortuny, a rosnących w ambicyę. Śród ustawicznych wojen domowych wynikła potrzeba zobowiązywania szlachty, podniecania w niéj zapału do walki. Nadawali więc książęta waleczniejszym w nagrodę dobra prawem dziedzicznem, dzierżawném lub lenném, opróżniali skarb przez uwalnianie rycerstwa od podatków i ciężarów publicznych (IX, 148. X, 52). Mieli przecież w zasadzie książęta władzę nieograniczoną; powoli tylko, zbiegiem różnych, osłabiających monarchizm wypadków, najprzód arystokracya, a późniéj znaczenia w państwie nabrała i szlachta (X, 46). Zjazd wiślicki z r. 1347, na którym opublikowane zostały ułożone z rozkazu króla ustawy, nie przyznawał jeszcze uczestnikom prerogatyw politycznych; rzucił wszelako absolutny Kazimierz nasiona przyszłéj arystokracyi, skoro celniejszych obywateli do naradzania się względem spraw ważnych zawezwał. Chciał sobie monarcha zobowiązać w ten sposób ludzi wpływowych, iżby, przez usunięcie Piastów mazowieckich i śląskich, siostrzeniec został jego następcą. Śmierć Kazimierza otworzyła rozleglejsze pole arystokracyi—prałatom i baronom, a nawet i nic pod względem politycznym nieznaczącéj dotychczas szlachcie. Przywiléj koszycki samowładną monarchię o ostatnią przyprawił ruinę: uformował z panów i szlachty nowy stan feudalny, wolny i współrządzący, ograniczający króla najprzód w postaci rady senatu, następnie sejmu (X, 55, 57).

Poglądy Naruszewicza (1780—1785) rozrabiali publicyści obozu postępowego w traktatach politycznych, pamfletach i mowach. Opie-

rali się na kronikarzach i pomnikach prawa polskiego, stosowali też, podobnie jak Naruszewicz, analogię z Europą zachodnią, śmiało niezbadane jeszcze jéj stosunki na grunt przenosząc słowiański.

Autochtonami obszarów nad Wartą i Wisłą byli, według kanonika Jezierskiego (1), Sarmaci, ludzie „prostoty świętéj i niewinnego życia.“ Chodowali pszczoły i polowali na zwierza; skórą okryci niedźwiedzią przysłuchiwali się w gąszczy leśnéj kwileniom słowika, uczucia własne wylewali w tonach fujarki. Gdy część Sarmatów z Wandalami i Gotami opuściła swoje siedliska dla obalenia światowładnego Rzymu,— wyludnione obszary nad Wartą i Wisłą stały się przedmiotem najazdu: spłynęły z terytoryum Sklawonii gromady wojowników i zalały znaczną część Europy północnéj: Czechy, Śląsk, Pomorze, Łużyce, Polskę i Ruś. Pokrewieństwo językowe pomiędzy przybyszami a Sarmatami ułatwiało porozumienie się ludów, lecz nie złagodziło skutków najazdu. Słowacy, posiadłszy kraj cudzy gwałtem, pozbawili ludność rolniczą wolności i zabrali jéj ziemię; z pogardą poglądając na rzemieślnika i kupca, usunęli jednocześnie od obrad publicznych mieszczaństwo.

W takiż sam sposób konsekwencye najazdu przedstawia Kołłątaj. „Późniejsze zepsucie, powiada, gdy śmiały próżniak chciał być pracą drugiego żywiony, gdy się odważył wydrzeć chleb, który był własnością innego, zupełnie zagłuszyło początkowe społeczności prawa, a zbliżając ludzi ku niewoli, poddało ich w ręce zdobywcze i silnéj swawolnych próżniaków kupy. Ta jest prawdziwa genealogia sławnych owych rozbójników i przelewców krwi ludzkiéj, przed którymi spokojny rolnik i właściciel gruntu uklęknąć musiał, a kochając własną ziemię i nie chcąc jéj odstąpić, stał się niewolnikiem zuchwałego wydziercy, który sobie przywłaszczył panowanie i nad jego osobą i nad jego ziemią“ (2).

Pierwsi królowie panowali, według Kołłątaja, dziedzicznie, całe terytoryum sarmackie uważali za własność, którą oddawali w posiadanie lennikom. Z ziemi nadanéj korzystał lennik w zakresie, oznaczonym przez przywiléj i obowiązany był wykonywać *jura regalia*. Rozciągały się one do polowania, rybołówstwa, ścinania lasu i dobywania kruszców; poddawali też panujący jedne włości w niewolę drugim, nakazując, aby zostająca w posiadaniu lennika odrabiała pańszczyznę na rzecz wsi królewskiéj, składała osep ze zboża i inne znosiła przykrości. „Dość było, powiada Kołłątaj, wmówić w ludzi, że terytoryum należy do panującego, aby wszystkie nieprzyzwoitości

(1) Rzepicha, matka królów, żona Piasta. Warszawa, 1794, str. 18—24.—(2) Listy anonyma. II, str. 76.

o własności przypuścić, aby człowieka nawet za własność poczytać“ (1). Uznawszy ziemię wraz z ludźmi na niéj osiadłymi, od panujących sobie nadaną, za własność użytkową, uważali się lennicy za istoty wyższe i smakować poczęli w dostojeństwie korony. Nie szukali swobód w źródle prawdziwém, lecz w przywilejach, aby, zająwszy z początku pozycyę stanu niejako pośredniego pomiędzy królem a poddanymi, stali się potém sami przez się panującymi w narodzie. Ościenne przykłady zbyt dzielnie dopomagały im do tak wielkiego celu. Spoglądali oni na panów rzeszy niemieckiéj, a zazdrośni przywilejów feudalnych, dzielnie do serca brali, aby, stawszy się elektorami królów, wystąpili potém z kandydaturą do tronu. Uwalniające szlachtę od ciężarów przywileje Ludwika i Władysława Jagiełły stały się za Kazimierza IV przyczyną zjazdów poselskich. Zwoływane dla uchwalenia poborów dwa, za Aleksandra i Zygmunta I, uformowały statuty, zapewniające, że „król nic bez rady i zezwolenia panów, prałatów, baronów *etc.* stanowić nie będzie“ (2). O dalszych losach narodu i państwa rozstrzygnęła zmiana w sposobie obejmowania tronu.

„Cokolwiek pisarze dziejów polskich, powiada Jezierski (3), wzmianki czynią o obieraniu wolném książąt z familii Piasta, to jest próżném wyobrażeniem prawdy i naciąganiem widoczném... Rozrodzony dom Piasta dzielił się Polską jakby dom szlachecki ojczystemi wioskami i lubo na krakowską stolicę możniejsi panowie wzywali książąt, a czasem ich i strącali,—było to skutkiem chciwości i niespokojności, nie zaś polityczną z prawa elekcyą.“ Sukcesyjnie panowali i Jagiellonowie, tytułujący się dziedzicami Polski i Litwy; naród nie obierał ich, lecz jedynie, jako mających prawo do spadku, przyznawał. Przyznawanie to przecież, niebędące niczém innném, jak aktem obrządkowym, dalekim od wprowadzenia modyfikacyi w panowaniu Jagiellonów dziedziczném, stało się punktem wyjścia do zniesienia sukcesyi. Zadośćuczynienie testamentowi Kazimierza Jagiellończyka, zapewnienie tronu dla Jana Olbrachta i Aleksandra wbrew prawu starszego brata ich, Władysława; zastosowanie się do zrzeczenia ostatniego na rzecz Zygmunta I i wyniesienie Zygmunta Augusta za życia ojca,—„wszystko to zdawało się być darem przychylności narodu do panującéj familii, a w saméj rzeczy zmierzało do tego, aby kiedyś pozbawić się sukcesyi i na wzór rzeszy niemieckich tron polski zrobić dziedzictwem możnowładztwa“ (4).

---

(1) Mowa Kołłątaja na sesyi sejmowéj d. 10 listopada 1791 r. w materyi starostw. (2) Kołłątaja uwagi nad pismem Rzewuskiego o sukcesyi tronu. Warszawa. 1790, str. 26,27.—(3) O bezkrólewiach w Polszcze. Warszawa, 1790.—(4) Kołłątaja uwagi nad pismem Rzewuskiego, str. 27.

Po śmierci Zygmunta Augusta na pierwszym sejmie warszawskim postanowiono wykreślenie z tytułów króla nazwy dziedzica; bezkrólewia, które do tego czasu bywały *naturalne* z powodu śmierci monarchy i *przypadkowe*, jak np. po uwiezieniu Kazimierza I przez Ryksę,—zaczynają być *prawne*; elekcye, które za rodziny Jagiellonów były jedynie aktem obrządku ogłoszenia nowego króla, również stają się *prawne*. W bezkrólewiu prawném, które stało się pryncypalną rządu zasadą, władza prawodawcza i wykonawcza w całéj zupełności przechodziła do rąk narodu; przez zaprowadzenie elekcyi prawnéj zyskali możność ubiegania się o tron kandydaci różnych familii (1).

Cel zaprowadzenia elekcyi prawnych ujawnił się zaraz po śmierci Zygmunta Augusta: obok trzech obcych dwudziestu panów polskich wystąpiło z kandydaturą do tronu. Dla wielości zazdrosnych nie utrzymał się żaden z krajowców; żaden z nich nie pozyskał berła i po ucieczce Henryka; liczyli przecież, że pod panowaniem cudzoziemca zdołają przygotować dogodne dla widoków swoich warunki. System ówczesnego możnowładztwa uosobił naśladowca konstytucyi rzeszy niemieckiéj, Zamojski. On pierwszy okrył się powagą dwóch najważniejszych w rzeczypospolitéj urzędów: zrobił się kanclerzem i hetmanem, żeby mieć w ręku siłę narodu, bo władzę sądowniczą i związki z obcemi państwami. Zamierzając władzę polityczną w narodzie przelać na uprzywilejowane możnowładztwo,—dla prawnego wyczynienia panów ze stanu szlachty zaprowadził majoraty, licząc, że rozpowszechnią się szybko. Czego nie udało się dokonać Zamojskiemu, podjął za Jana Kazimierza Lubomirski,—ci dwaj magnaci torowali Piastom drogę do tronu. Lecz na Michale i Janie III stępił się możnowładztwa do korony apetyt; spostrzegłszy niedogodność wynoszenia nad siebie równego, dla silnego i skutecznego przewodzenia w narodzie użyli sposobów innych. Przeprowadzili prawo, usuwające Piastów od tronu; uchwalili też, aby władza hetmańska była dożywotnią, żadnych nie miała granic, żadnego dozoru. Doszło nakoniec do tego, że o los Polski dwa nieustannie utrzymywały się spory: magnaci podkopywali do reszty władzę tronu, królowie starali się osłabić znaczenie panów. Wybuchły wojny domowe i bunty pospólstwa; przez kraj obcy przechodził żołnierz. Niszczał naród, znaczne od rzeczypospolitéj odpadały prowincye (2).

Modelowali pisarze stronnictwa reformy wewnętrzny ustrój Polski średniowiecznéj na wzór stosunków Europy zachodniéj; w poglądach na dobę późniejszą samodzielniejsze, a w zgłębianiu genezy

(1) Tamże, str. 12.—(2) Tamże, str. 30, 43, 45.

upadku państwa oryginalne stanowisko musieli zająć. Kiedy republikanci szukali przyczyn ruiny w wynaturzeniu się pokoleń i spaczeniu ustaw pierwotnych,—pisarze stronnictwa reformy uważali upadek za następstwo słabości rządu. Według tamtych jedną z przedniejszych skaz pierwiastkowéj ustawy było przywłaszczenie przez królów rozdawnictwa urzędów i łask, a główną osłabienia państwa przyczyną „dyfidencya między majestatem i wolnością"; według drugich, wszystkie klęski wyniknęły z braku subordynacyi w narodzie i siły, którą stwarza jedynie dobrze uorganizowany rząd.

Polska, według Kołłątaja (1), nie była monarchią, bo się ta z domem jagiellońskim skończyła; nie była rzecząpospolitą, bo ta reprezentowała się tylko co dwa lata przez sześć tygodni. Czém że była?—„lichą i niedołężną machiną, któréj ani jeden popychać nie może, ani wszyscy popychać nie chcą, a jeden zawsze zastanowić zdoła." „Bez pewnego rządu—mówił Naruszewicz (2), bez siły, zasiłków i zgody, bez powszechnego ducha miłości ojczyzny" żadne społeczeństwo, zwłaszcza groźnemi mocarstwami otoczone, istnieć nie może. Według Krasickiego (3) naród polski „bez rządu, bez mocy, bez rady stał się łupem postronnych." „Gdzie zwierzchność bez powagi, igrzysko z urzędu, Przemoc szczególnych dzielna, a prawo bez względu; Gdzie duma swobodności trzyma miejsce cnoty, Tam nie Rzymian następce, ale Hotentoty"—pisał biskup warmiński (4).

Kiedy ideałem republikantów był król bez mocy i władzy (5), a niektórzy dostojność jego, jako „najpierwszą bezprawia i nieszczęść przyczynę", pragnęli widzieć zniesioną,—postępowcy poczytywali monarchizm za najprostszą formę siły państwowéj i w osłabianiu jego upatrywali upadek. „Szukaj—pisał Naruszewicz (6), nieszczęścia w twéj własnéj swobodzie I boléj na jéj opłakane zyski: Żaden kraj cudzéj potęgi nie zwabił, Który sam siebie pierwéj nie osłabił. Stargawszy węzeł pokoju i zgody, Niegdyś w najwyższéj władzy osadzony, Rozbiegliście się jako liche trzody Bez wodza, rządu, rady i obrony... Cóż kiedy niesfór głów tysiąca zrobił? Wiążąc bezczynne monarchów ramiona? Zdzierał publiczność, swe prywaty zdobił, Szerzył ze starostw dziedziczne imiona. A pod pozorem wolności mniemanéj Określał króle, rozmnażał tyrany..."

Pogląd taki na genezę upadku w ścisłym był związku z zapatrywaniami na sprawy polityki bieżącéj. Wielbili postępowcy pomy-

(1) Listy anonyma. II, str. 21.—(2) Głos przy założeniu pierwszego kamienia na kościół Opatrzności boskiéj r. 1792 d. 3 maja na placu ujazdowskim miany.—(3) List do Adama Naruszewicza o pisaniu historyi.—(4) List do Ant. Krasickiego o obowiązkach obywatela.—(5) Wielhorski *l. c.* str. 274.—(6) Głos umarłych.

sły Russa, czcili Franklina i Waszyngtona, nie sądzili przecież, aby rząd republikański był dla Polski naczasie. Staszyc proponował mocną organizacyę monarchiczną, „rzeczpospolite bowiem, a tém bardziéj oligarchie w pośrodku samodzierstw żadną miarą kwitnąć nie mogą“ (1); w ten sam sposób argumentował Kołłątaj (2). Strojnowski za cechy dobrego rządu uważał: jedność, dzielność i trwałość. Potrzeba koniecznie, dowodził (3), aby w konstytucyi był „jeden pewny, mocny i trwały punkt centralny, w którymby się wszystkie rządu części ściśle jednoczyły, silnie wspierały i z któregoby nieustanny i porządny swój obrót odbierały.“ Nie wielbili modnéj naówczas tak zwanéj wolności naturalnéj, byli owszem za ujęciem jéj w karby. „Wolność naturalną, pisał Krzywkowski (4), nietylko nie mam cnotą, ni szczęściem, lecz strasznym występkiem i zwierzęcą skłonnością; gdyby się nią rodzaj ludzki rządził, nie miałby społeczeństwa, nie miałby narodu, nie miałby opatrzonych potrzeb, ani religii, ni praw, ni rządu, ni miast, ni manufaktur, ni rękodzieł, ni handlu... Te oryginały wolności naturalnéj dają się znajdować w niektórych dotąd miejscach Afryki, a nawet wożą czasami na widowisko... Wolność w naturze swéj nie jest słodyczą, nie jest cnotą i sama sobą nie sprawuje rozkoszy..; trzeba na nią tyle miéć względów, ile jest dobra dla kraju i obywatelstwa, ile jest urządzona... Przerobiona na prawo społeczności, we wszystkich rządach ograniczoną została... Dano jéj reguły i przepisy, od których zawisają moc, powaga, bogactwo i szczęśliwość narodów... Skoro od urządzenia wolności ludzkiéj, téj to matki wszystkich namiętności i zbrodni, wszystko zawisa, więc wnosić trzeba, że wolność, do doskonałych niedoprowadzona klub, psuje nam wszystko... jest źródłem kłótni, niesnasków, nierządu... Bądźmy wolnymi, ale rządnymi; niech zdziczałe wolności korzenia, rozumem poznane, rozumem zniszczone zostaną; niech wolność ograniczoną będzie“...

Przy naturalnym pochopie ludzi do mierzenia przeszłości skalą poglądów subiektywnych, pod wpływem zresztą wzorów francuskich, naginających dzieje ludów do form polityki bieżącéj,—nie dziw, że monarchiści nasi na zjawiska historyczne przez szkła własnych ideałów patrzéli, że do doktryny swojéj usiłowali naginać wszystko. Poczucie potrzeby siły rządowéj, wcielonéj w monarchizm, stało się dla nich miarą krytyczną, wynalezieniem owego stanowiska moralnego,

---

(1) Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego. 1785, str. 60,230.—(2) Listy anonyma. III, str. 87.—(3) Mowa o konstytucyi rządu ustanowioney d. 3 i 5 maja r. 1791, czytana na posiedzeniu publicznem Szkoły głównej W. X. Lit. d. 1 lipca r. 1791.—(4) O wolności polskiey przez... Szambelana JKMci. Roku 1790.

którego wymagał Naruszewicz ku ocenie faktów i ludzi. Postępowi pisarze polityczni używali téj miary śmiało, zwłaszcza przy ocenie najbardziéj zdyskredytowanych przez kronikarzy średniowiecznych i republikantów książąt z dwunastego stulecia. Nie tai sympatyi dla Władysława II i Mieszka III Jezierski (1), kierunek działalności tych Piastów chwali i przymioty podnosi. Wyrzuca wprawdzie Władysławowi dumę i chciwość, bo chciał braciom wydrzéć dzierżawy; zaznacza przecież, że gdyby program jego się udał, utrzymałby się przy Polsce Śląsk, nie trapili by kraju pożogą Tatarzy, nie cierpiałby naród wojen domowych. Mieszka Starego poczytuje za jednego z największych monarchów, czernionego przez kronikarzy tendencyjnie. Nie chciwość i obłudę, lecz widzi w nim wielkomyślność i przezorność, o podniesienie państwa dbałość niezwykłą. Nie mogli, zdaniem Jezierskiego, mądrzy Piastowie zbawiennych przeprowadzić zamiarów, albowiem domy „Jaksów, Świętosławów, Kmitów, Bogoryów, Śreniawitów ujęte były sposobem myślenia zuchwałym, jednych książąt wyganiając, drugich na ich miejsce wzywając... Z takich to, powiada, pierwszych nasion powstała polska wolność, nie mieszcząca nic więcéj pod tém świetném imieniem przez wszystkie wieki, tylko partye zuchwalców."

Téj samej skali używał i historyk z zawodu. Trafnie zauważył o biskupie smoleńskim Lelewel (2), że „jakby z zawierzeniem uprzedzenie oblegało pracownią i groźbami głos jego głuszyło; jakby nałóg potrząsał w jego ręku prawdę kreślącym piórem, tak nieraz chwieje się w obliczu czytelnika i rzecz na jego zdaje przyzwolenie;" z bojaźliwości téj jednak prawdziwą rzeczy istotę wyłuskać łatwo. „Zamieniła, powiada Naruszewicz, nierząd feudalny w monarchię dzielność Bolesława I... Ze zgonem walecznego króla, a za następstwem mniéj dzielnych jego potomków wzniosła znowu głowy arystokracya i, gdy był czas potemu, korzystając z zamieszków krajowych lub słabości panujących, bezprawia swoje w przemocy nad gminem, duchowieństwem, owszem samymi dziedzicami tronu rozszerzała... Fatalny krajowi podział królestwa na różne głowy uczynił znowu jak słabszymi książąt w swoich udziałach, tak potężniejszymi prywatnych... Władysław II przypłacił wygnaniem, chcąc znowu pod jednego siebie całą podgarnąć monarchię... Równego doznał losu i brat jego młodszy Mieczysław Stary, za takoweż przedsięwzięcie" (VI, 95). Ubolewa historyk, że rządna niegdyś monarchia stała się w dobie dzielnicowéj widokiem anarchii: „w takowych bezprawiach nie mógł, zdaniem jego, stać długo na-

(1) Goworek herbu Rawicz wojewoda sandomierski. Powieść z widoku we śnie. Warszawa, 1789.—(2) Rozbiory dzieł. Poznań, 1844, str. 291.

ród, chyba pod rządem jednego, któryby dostojnością korony znakomitszy, od swoich i obcych był szanowniejszy zupełnością władzy nad całą rzecząpospolitą“ (VIII, 54). Uwielbia Przemysława II, że „ojczyznę podźwignął, wlewając pierwszy w jej rozszarpane ciało ducha rządu, jedności i subordynacyi“ (VIII, 61); karci magnatów, że „pod różnymi pozorami, prywatny spisek dobrem publicznem barwiącymi“, wypędzili z Wielkopolski Łokietka, z powodu czego kraj znowu „przemocy i często dziwactwom możniejszych krajowców podlegać musiał“ (VIII, 71). Nie powstrzymywał się Naruszewicz od wniosków praktycznych, wprost stosowanych ku usłudze chwili bieżącej. Bajkę rokoszu glinińskiego za króla Ludwika zbija dlatego, żeby „zacne domy w przodkach swoich przez włożenie na nich potwarzy o zdradę i skazanie na śmierć zelżywą zostały oczyszczone“ (X, 120); uważając prawo niemieckie za zyskowne jedynie dla osób prywatnych, radzi wskrzesić *jus polonicum*, „które moc państwa, powagę, skarb, ekonomikę, wojsko i pobory do wysokiegoby stopnia przyprowadziło“ (IX, 148); dla ułatwienia reformy w sprawie poddaństwa głosi, że ucisk chłopstwa nie z ducha ustaw polskich, ani z charakteru narodu, lecz pochodzi z nadużyć, co rzeczpospolita „sama według woli swojéj poprawić może“ (IX, 267).

Dogadzał więc Naruszewicz ówczesnym o historyi pojęciom sumiennie. Zająwszy wobec przeszłości stanowisko monarchiczne, ferował z wysokości swoich wyroki na fakta i ludzi, wnioskował ku usłudze chwili bieżącéj, dla moralnego pożytku społeczeństwa chwalił i gromił,— słowem tchnął w opowieść swoją owego „ducha mądrości“, który nad umysłami czytelników zupełną autorowi zapewnić miał władzę. Chociaż „duch mądrości“ dość bojaźliwie wyzierał z tekstu, a śmieléj się ukazywał w przypiskach,—w saméj rzeczy celu swojego dopiął. Zapatrywania Naruszewicza zyskały powagę dogmatu nietylko u pisarzy stronnictwa reformy w dobie sejmu wielkiego, lecz wszechwładnie panowały przez lat kilkadziesiąt i w stuleciu następném.

II.

Kontynuacyę Naruszewicza podejmuje Towarzystwo przyjaciół nauk, które program dzieła ogłasza w r. 1809 w *Prospekcie historyi narodu polskiego* i w *Krótkim zbiorze dziejów*. Pomija teoryę najazdu, uznaje obieralność Jagiellonów, zresztą stoi na gruncie Naruszewicza. Poglądy głównych epigonów biskupa: Kwiatkowskiego i Niemcewicza, który najdosadniéj wyraził kierunek szkoły.

Choć się Naruszewicz najzupełniéj w swém dziele wyzwolił od cudowności i baśni; chociaż, nie wierząc we wpływy nadprzyrodzone, zajął wobec dostępnego mu materyału stanowisko krytyczne, wymaganiom przecież współczesnéj historyografii francuskiéj zadość-

czynił tylko w połowie, niedostatecznie bowiem uwzględnił potrzebę wyjaśnienia stosunków Polski wewnętrznych. W znanym *Memoryale względem pisania historyi* dosadnie akcentował konieczność gromadzenia odnośnych źródeł, dotknął nawet obyczajów, téj, jak się wyraził, „powierzchownéj cechy, częstokroć grunt i skłonności wnętrzne wyrażającéj“; do tytułu dzieła wprowadził naród; — chociaż jednak potrzebę uwzględniania tego wszystkiego rozumiał, przy wykonaniu rzeczy, głównie na politykę zwracając baczność, zadaniu uchybił. Ułożył nie historyę narodu, lecz państwa polskiego i jego monarchów; materyi nawet, w tak ścisłym z polityką będącéj związku, jak forma rządu, nie wcielił w organizm wykładu, lecz się rozwodził nad nią przeważnie w dopiskach. Zaprawiony na dziejopisach rzymskich z końca lub z doby upadku rzeczypospolitéj, którzy, kreśląc dzieje współczesne, głównie na politykę zewnętrzną i na trzęsące państwem osobistości zwracali uwagę; pozbawiony zresztą materyałów, dotyczących układu społeczeństwa i jego kultury, traktował Naruszewicz historyę w starożytném pragmatyczném znaczeniu. Jednostronność jego słusznie uczeni z początku bieżącego stulecia tłómaczyli brakiem prac przygotowawczych: „żaden naród—pisał Kołłątaj (1) — nie uzyskał inaczéj doskonałego dzieła swéj historyi ogólnéj, tylko przez długie wprzód przysposabianie materyałów nieuchronnie do tego potrzebnych.“ Dla posunięcia roboty Naruszewicza uważał Kołątaj za rzecz konieczną: wydać dopełniony dyplomataryusz Dogiela, ułożyć dzieło krytyczne o pisarzach rzeczy polskich, ogłosić teksty wszystkich historyków krajowych (*Scriptores rerum polonicarum*) z waryantami, objaśnieniami, rejestrem i całym aparatem, ułatwiającym badanie; radził napisać szereg monografii, wyjaśniających stosunki Polski wewnętrzne. Nie wprowadzono w życie pięknych znakomitego publicysty pomysłów, jednostronności przecież Naruszewicza pragnęli uniknąć kontynuatorowie, pobudzani do pracy i ułamkowością dzieła, doprowadzonego do Władysława Jagiełły. Zamierzyli ogarnąć wszystkie strony życia narodu, za wzór biorąc dzieła Gibbona, Robertsona i Hume'a.

W listopadzie r. 1809 ogłosiło Towarzystwo przyjaciół nauk w *Pamiętniku warszawskim* wypracowany przez Stanisława Potockiego i prałata Prażmowskiego *Prospekt historyi narodu polskiego*, który obok planu zamierzonego wydawnictwa wygłaszał zapatrywania na przeszłość i pojęcia o zadaniu historyi. Uważało Towarzystwo za cel swój „cokolwiek ojczyzny się tyczy zgromadzić i od nie-

---

(1) W liście z 15 lipca 1802 r. do Jana Maja (*Korespondencya listowna z T. Czackim.* I, str. 14).

pamięci zachować, szczególniéj zaś przywiązanie do niéj w rodakach ożywiać, utrzymywać, rozszerzać“; za najważniejszą zaś ku dokonaniu tego sprężynę poczytywało historyę. Powinna, według *Prospektu*, historya przedstawić w przyczynowym związku pasmo wydarzeń („pokolenia wypadków“) aż do pozbawienia narodu bytu politycznego; wskazać powody upadku państwa „pomimo niezaprzeczonéj waleczności jego obrońców, pomimo szlachetności uczucia w obywatelach, pomimo obfitych źródeł bogactwa krajowego“; zdemaskować powinna w końcu te fałszywe pojęcia, które obłąkały i przyprawiły przodków o zgubę. Przyczyn wzrostu, potęgi i upadku szukać należy w charakterze narodu—w dobrych i złych nałogach, w przymiotach i wadach, „które, jak okrętem kierujące wiatry, na obszernéj go wieków popychają przestrzeni i albo na szczyt chwały wynoszą, albo pogrążają w przepaści.“ Ponieważ na ukształtowanie lub zmianę charakteru wiele zbiega się przyczyn, baczyć przeto powinien historyk: na „najpierwszą i najmocniejszą“—religię, na układ społeczny („kształt rządu“) i władzę rządzącą. Jeżeli religia pierwotna przedstawia skłonności narodu, to chrystyanizm cywilizacyjne i polityczne odsłania widoki, początkowo bowiem wspólnością zasad zbliżał do siebie wszystkich, podczas reformacyi rozdzielał, różnymi czasy w rozmaitym stopniu to mocniejszą, to słabszą wywierał na umysły przewagę. Przedstawiając układ społeczny, wytłómaczyć powinien historyk przyczynę podziału narodu na stany i wzajemny ich względem siebie określić stosunek; władzę rządzącą okazać powinien w kolejno następujących po sobie postaciach: w formie monarchizmu, szlachetczyzny i zanik jéj w anarchii. Oprócz religii, układu społecznego i formy rządu zaleca *Prospekt* zwracanie uwagi na oświatę, spokojność wewnętrzną, bogactwo, bezpieczeństwo zewnętrzne.

Do oświecenia zalicza: rozkrzewianie zasad życia towarzyskiego, uprawę umiejętności i kunsztów, instrukcyę publiczną, podróże za granicą i napływ cudzoziemców.

Spokojność zabezpieczają prawa i władza sądowa.

Źródłem bogactw: rolnictwo, rękodzieła, handel lądowy i morski, a podstawą ich: podział gruntów, przemysł i praca.

Bezpieczeństwo zewnętrzne zapewnia: obrona, skarb, kierunek stosunków dyplomatycznych i środki, przedsiębrane do odparcia przemocy.

„W zbiorze tych wszystkich rysów znajdzie się doskonały obraz narodu. Dziejopis, który w każdéj epoce, pod każdém panowaniem z pilnéj ich nie spuści uwagi, który na związek ich i wpływ do zdarzeń baczność czytelnika zwracać potrafi, prowadzić go będzie ze

znajomością przyczyn po różnych stopniach wzrostu, potęgi, chwały, nikczemnienia, słabości, podległości narodu, aż do zupełnego bytu jego politycznego zniszczenia.“

Chociaż przyczyn wzrostu, potęgi i upadku kazało szukać Towarzystwo w charakterze narodowym, t. j. w nałogach, przymiotach i wadach, a także w religii, układzie społecznym i władzy rządowéj; pomimo tego za podstawę podziału historyi na epoki wzięło tylko czynnik ostatni. Zdaniem Towarzystwa, podstawy do podziału na epoki szukać należy „w zmianach, jakim podlegał naród“, pomiędzy niemi zaś „najwidoczniejsze są władzy rządzącéj.“ Nie bez sprzeczności z sobą zaznacza, że we władzy rządzącéj „zawiera się najpierwsza przyczyna jak dawnéj potęgi, tak późniejszego upadku narodu“ i następujący zgodny, jak zapewnia, z używanym przez dotychczasowych dziejopisów krajowych zaleca podział.

I. Czasy przedchrześciańskie: powstanie narodu, kształt rządu, religia, obyczaje, sposób wojowania, rolnictwo, rękodzieła, związki z sąsiadami.

II. Monarchia udzielna od wprowadzenia religii chrześciańskiéj za Mieczysława I do śmierci Bolesława Krzywoustego.

III. Osłabienie władzy monarchicznéj przez wpływ magnatów do połączenia dzielnic pod jedno berło i nadania praw pisanych, t. j. od Władysława II do śmierci Kazimierza W.

IV. Wzrost swobód stanu szlacheckiego, przyjęcie przez niego zupełnego udziału w rządzie, — od Ludwika do śmierci Zygmunta Augusta.

V. Upadek władzy królewskiéj, wpływ mocarstw zagranicznych, powiększający się nierząd demokracyi szlacheckiéj i możnowładztwa do utraty niepodległości narodowéj, — od Zygmunta Augusta do sejmu konstytucyjnego r. 1788.

VI. Wprowadzenie nowéj formy rządu, usiłowania narodu względem utrzymania niepodległości do utraty bytu politycznego.

VII. Naród pod obcém panowaniem do utworzenia księstwa warszawskiego.

Do *Prospektu* dołączyło Towarzystwo również w *Pamiętniku warszawskim* ogłoszony *Krótki zbiór dziejów narodu polskiego*, jako zawiązek dzieła, które wykonane być miało na skalę olbrzymią. W owym *Krótkim zbiorze* zawarte zostały, według zapewnienia przedmowy, „ważniejsze wypadki, na które szczególniejszy wzgląd mieć należy; okazany ich jest pomiędzy sobą związek, wytknięte są przyczyny, które wpłynęły naprzód do podniesienia chwały i potęgi narodu, późniéj do jego poniżenia i utraty niepodległości, nakoniec do chwalebnego bytu politycznego odzyskania.“

Słowiańszczyzna pierwotna miała organizacyę gminowładną: lud wodza obierał i rad jego był uczestnikiem,— „taki właściwie jest rząd wszystkich jeszcze z dzikości nieotartych narodów." Za utworzonéj przez syna Piastowego, Semowita, monarchii jedynowładnéj na trzy naród dzielił się klasy: rycerzów, mieszczan i wieśniaków; król, pan udzielny, każdéj prawa i powinności przepisał. „Wieśniacy byli właścicielami swych gruntów, z których daniny i podatki do monarchy należały; mieli wolność przenoszenia się z jednego miejsca na drugie; prawem dziedzictwa brali spadki po przodkach. Nie odbierał im król tych swobód, gdy między rycerzów majętności dzielił, lecz tylko tymże część zysków, sobie przypadających, odstępował." Od śmierci Bolesława Krzywoustego samowładna monarchia upada, — każdy z książąt dzielnicowych, potrzebując wsparcia magnatów, przez różne na ich korzyść ustępstwa powagę tronu osłabił. „Uczuli wartość swoją możnowładcy, skruszyli zaporę, która ich dzieliła od tronu; nie śmiejąc jeszcze odmieniać dynastyi, przywłaszczyli sobie osoby panującego i wspólną z nim w radzie decyzyą." Pod dziedzicznem szlachty zwierzchnictwem pogarszać się począł los kmieci, chociaż przypomniał ciemięzcom Kazimierz W., że poddani nie są ich niewolnikami, lecz współwłaścicielami gruntu. Do ostatecznéj ruiny władzy monarchicznéj przyczynił się Ludwik, zapewniła bowiem sobie szlachta moc obierania panów i stanowienia podatków. Panowanie Jagiellonów, obejmujących tron prawem elekcyi każdego z osobna, zawiera czasy demokracyi szlacheckiéj „przeciąg najświetniejszy dla Polski." Dopełnił swobód szlacheckich na zjeździe w Radomiu w r. 1505 Aleksander, ogłaszając, jako nic odtąd ważnego w sprawach publicznych stanowione nie będzie bez zezwolenia posłów od ziemian. Od śmierci Zygmunta Augusta szerzy się anarchia i przyprawia państwo o ruinę. Śród rokoszów i buntów kozackich „postąpiono w anarchii krok jeden, lecz tak śliski, iż już nic rzeczypospolitéj od upadku wstrzymać nie mogło. Skutek to był błędnéj publicznéj instrukcyi. Zniknęła znajomość prawdziwych ojczyzny interesów od czasu, jak w szkołach miejsce potrzebnych ludowi wolnemu wiadomości zastąpiła jedynie nauka łacińskiego języka; czytała młodzież autorów klasycznych, zapalały wiek niedoświadczony swobody ludu rzymskiego, stąd złe przystosowania, fałszywe wyobrażenia w dojrzalszych latach przenoszono wraz z zagęszczonym duchem prywaty do obrad publicznych. Na sejmie warszawskim r. 1652 poseł Siciński sądził się mocnym, jak niegdyś trybun rzymski, zniszczyć swém sprzeciwieniem się uchwały sejmowe, a nikt mu tego prawa nie zaprzeczył." Skutkiem wadliwéj instrukcyi publicznéj i duch tolerancyi w narodzie niknął. „Pierwsi Socy-

nianie doznali praw surowości; dyssydentom zapewniały wprawdzie poprzysięgane przez królów pakta wolność sumienia, lecz źle zrozumiana prywatnych gorliwość tak częstych dopuszczała się gwałtów, że konstytucyą za Zygmunta III powściągnąć te bezprawia musiano. W celu podobno skuteczniejszego im zaradzenia ścieśniono swobody dla różnowierców przez zakaz publicznego nabożeństwa i budowy nowych kościołów.... Zadano wreszcie cios ostatni dysydentom, uznając ich za niezdatnych do posiadania urzędów.“ Za Augusta II anarchia dochodzi do szczytu. „Najwyżsi urzędnicy przywłaszczyli sobie samowładztwo w swoich wydziałach, podskarbi nikomu nie zdawał rachunku z dochodów publicznych, wojsko pod udzielnymi rozkazami hetmana, bezsilne na obronę kraju, służyło ku uciśnieniu obywatelów. Marszałek miał w stolicy nieokreśloną władzę nad życiem i honorem mieszkańców. Mnożyły się zwaśnienia między znakomitszymi domami. Trybunały stosowały się do woli mocniejszych. Wyroki sądowe zbrojną ręką były popierane lub pozbawiane egzekucyi. Miasta bez opieki samowolnéj jurysdykcyi kanclerzów podlegały, wieśniacy arbitralności dziedziców zostawieni. Jedyny sposób zaradzenia tym bezprawiom—sejmy były zrywane.“ Charakterystyczném jest, że według autorów *Krótkiego zbioru* „August II posiadał wszystkie przymioty wielkiego króla, lecz krępowala jego władzę konstytucya rządowa. Tlała przeciw niemu w sercach dawniejszych przeciwników nienawiść: jedyna prerogatywa tronu – rozdawnictwo urzędów i starostw — mnożyła liczbę niechętnych lub niewdzięczników.“ Stanisław August najlepsze miał chęci: szerzeniem oświaty, poprawą rządu, zaprowadzeniem dobréj administracyi pragnął zatrzéć pamięć gwaltownego wyboru. Z pierwszym rzeczypospolitéj rozbiorem niepodległość się kończy, chociaż w dobie Rady nieustającéj naród widocznie na różnych stanowiskach się dźwiga. „Zaprowadzona nowa instrukcya przez magistraturę edukacyjną, założona przez króla szkoła rycerska rozszerzały światło. Kodeks cywilny, przez Jędrzeja Zamojskiego ułożony, lubo przyjętym nie został, objawił jednak nieznane dotąd prawdy; rozchodziły się po kraju pisma, które zwracały wszystkich uwagę na stan i prawdziwe pożytki ojczyzny. Wzrastał pod sprzyjającym naukom królem smak obcéj literatury, a przez nią oswajano się z konstytucyami najlepszych rządów; zaczęto poznawać źródła bogactw krajowych, powoli umniejszały się stare przesądy, a tym sposobem gotowała się nowa rewolucya, którą przyśpieszył nowy stan rzeczy w Europie.“ Dźwigając się z anarchii, ukrócili Polacy na sejmie wielkim nieograniczoną wolność, królowi silniejszą nadali władzę, lecz spisek magnatów, szukających oparcia w Rosyi, reformy obalił, państwo pogrzebał.

Naszkicowana w *Krótkim zbiorze* historya niewiele przynosiła pomysłów nowych: była właściwie ujętym w szemat zsumowaniem poglądów Naruszewicza i luźnych, w broszurach z wieku XVIII rozrzuconych spostrzeżeń. Uderza w niej przecież pominięcie teoryi najazdu i uznanie Jagiellonów za królów, panujących prawem elekcyi; znać, że skutkiem zmiany warunków politycznych wrzekomy podbój Sarmatów przez rycerstwo słowiańskie pożytku przynieść już nie mógł, podobnie jak dziedziczność tronu, w której obronie publicyści wieku zeszłego tyle stępili kopii. Zresztą, poglądy *Krótkiego zbioru* nie dla wszystkich współczesnych były dogmatem, nie zgadzał się z niektórymi sam prezes Towarzystwa, nie mogący uwierzyć, żeby panowanie Jagiellonów zawierało „przeciąg najświetniejszy dla Polski.“ Ukaże się—mówił Staszyc na posiedzeniu Towarzystwa 22 grudnia 1809 r.—że i ta panowania starych Zygmuntów świetność była tylko utrzymującym się zewnętrznym blaskiem, odbijającym się jeszcze z dawnéj sławy i z narodu ogromności; wewnątrz ciało polityczne już natenczas pełno zepsucia miało.“

Ustępowało Towarzystwo Naruszewiczowi pod względem dokładności określenia sposobu pisania historyi, lecz w wyobrażeniach o niéj w zasadzie różniło się mało. Naruszewicz cztery w pracy dziejopisarskiéj widział momenty: „zebranie rzeczy pilne i oszczędne, rozłożenie łatwe i porządne, krytykę mądrą, ozdobienie gładkością pióra powabne, a ochotę czytania utrzymujące“ (1); Towarzystwo zaś żąda, żeby tekst wszystkie w przyczynowym związku zawarł wypadki, żeby zaopatrzony był w cytaty źródeł z uwzględnieniem objaśnień i uwag. Istotę pojęć o historyi zarówno Towarzystwa przyjaciół nauk, jak i ludzi, powołanych przez nie do pracy, najdosadniéj wyraził Kołłątaj. „Historya, w ścisłém znaczeniu uważana, pisał (2), nie jest umiejętnością, ale prostem opowiadaniem życia i spraw ludzi, dziejów i wydarzeń małych lub wielkich społeczności, uważanych pod wielorakimi względami: umiejętności, nauk, kunsztów, dobrych i złych spraw, szczęśliwych i nieszczęśliwych wydarzeń“... Pocóż—pyta daléj—„robić naukę z tak różnych i niesfornych czynów, dziejów, wydarzeń, wynalazków, pomyłek, błędów i przestępstw ludzkich? Dobre i złe czyny naszych poprzedników, odpowiada, służą nam za wzór lub przestrogę w moralném życiu. Umiejętności moralne, tak jak i fizyczne, doskonalą się zczasem; jedne prawdy odkryte prowadzą nas do dalszych, zatém wynalazki tak w umiejętnościach fizycznych jako i moralnych jedne pokolenia podawać powinny dru-

(1) Memoryał względem pisania historyi narodowej.—(2) W liście z 12 sierpnia 1805 r. do Mirowskiego (*Korespondencya listowna z T. Czackim*. III. 172).

gim, zapisywać pomyłki i błędy, śledzić ich powody, odkrywając, dla czego wszyscy ludzie lub nimi rządzący, znajdując się w pewnych okolicznościach, musieli tak a nie inaczéj działać, takie a nie inne zasady życia moralnego przyjąć, obłąkać się z drogi prawdy lub się jéj statecznie trzymać. Gdybyśmy nie mieli historyi, nie wiedzielibyśmy o wynalazkach przeszłych pokoleń, o ich moralnych prawidłach, o pobudkach, które do ich obioru skłoniły; a zatém nie korzystalibyśmy ani z ich dowcipu, ani z ich doświadczenia. Bylibyśmy zgoła zawsze poczynającymi we wszystkich przedmiotach naszych potrzeb fizycznych i moralnych, nie zaś doskonalącymi się w wynalazkach i prawdach, które ojcowie nasi odkryli. Historya ułatwia nam to wszystko, opowiadając lub zapisując, co się przed nami działo dobrze lub źle, komu winni jesteśmy przytomne szczęście lub nieszczęście w stosunkach opinii, moralności, prawodawstwa, polityki, umiejętności, kunsztów i rzemiosł," „Jak w osób partykularnych życiu, dowodził Staszyc (1), tak w narodów istnieniu są takie kroki, są takie pewne czyny, które raz popełnione wiodą za sobą w resztę życia niezzowny bieg szczęścia lub nieszczęścia. Takich to stanowczych czynów dochodzić, one nieprzerwaném pasmem wypadków wiązać jest doskonałego pisarza dziejów umiejętnością." Przekonywał, że dzieje bytu dawnego powinny być największą nauką przyszłości; tak samo jak *Prospekt*, według którego, historya, oprócz budzenia w rodakach przywiązania do kraju i zapalania młodzieży do poświęceń, powinna „rozkrzewić poznanie fałszywych wyobrażeń, jakie obłąkały przodków naszych, abyśmy od podobnych późne pokolenia zachowali."

Nie sprzeniewierzano się przeto określeniu Cycerona; cel dydaktyczny akcentowano mocniéj, niż pisarze wieku zeszłego. Z powodu rozwiniętego w masach szlacheckich legitymizmu, reformatorzy sejmu wielkiego, źródła szkodliwych instytucyi szukając w bezprawiu, konieczność proponowanych przez się urządzeń usprawiedliwiali istnieniem ich w czasach zamierzchłych; dla pogrobowców wobec nowych warunków politycznych cel podobny ustąpić musiał pierwszeństwa aspiracyom ku utrzymaniu narodowości, trosce o odzyskanie bytu. Rozumieli pogrobowcy, że w interesie programu swego również uciekać się muszą do faktów, lecz czerpanych ze stron życia, nadających się do oświetlenia dydaktycznego, o co legitymistom wieku XVIII chodzić w równym stopniu nie mogło.

Dzieje pierwotne opracować miał Czajkowski z Kołłątajem, panowanie Kazimierza W. Dzierzkowski, Zygmunta I Ossoliński, Zygmunta Augusta Czartoryski, Henryka i Stefana Batorego Tarnowski,

(1) Na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk 22 grudnia 1809 r.

Zygmunta III Niemcewicz, Władysława IV Kwiatkowski, Jana Kazimierza Krajewski, Michała i Jana III Stanisław Potocki, Augustów i Poniatowskiego Prażmowski, czasy pomiędzy ostatnim podziałem i utworzeniem księstwa warszawskiego Kalasanty Szaniawski. Dopisało niewielu: Niemcewicz, Kwiatkowski, Krajewski.

W suchéj, rocznikarskiéj robocie Krajewskiego myśli przewodniéj dopatrzéć trudno; uwydatniał ją za to Kwiatkowski, a najdosadniéj w całém traktowaniu przedmiotu Niemcewicz. Według Kwiatkowskiego dziejopisarstwo „roztrząsając publiczne państw dzieje i przytaczając w potomności czyny ludzi, nietylko chwalebne wzory życia ich czytającym wystawia, ale oraz uczy, jak być w społeczności obywatelskiéj użytecznymi.“ Nie dość na tém: pragnie autor *Dziejów narodu polskiego za panowania Władysława IV*, „abyśmy, czytając sprawy niegdyś przodków naszych, wad i ich zdrożności się strzegli, a cnoty ich i dzieła chwalebne na pamięci mając, z uwielbieniem naśladowali.“ Nie spożytkował przecież Kwiatkowski katechizmowych aspiracyi w samym rzeczy wykładzie, zdradził zaś, że go te same o przeszłości polskiéj prześladowały pojęcia, które wypowiedzieli pisarze wieku zeszłego. Pragnął być widocznie, jako dziejopis, mentorem panujących i ludów; „historya, głosił, uczy królów jak rozkazywać, a poddanych jak być posłusznymi“, — i w saméj rzeczy Władysławowi IV i narodowi w sprawie Kozaków, duchowieństwu w kwestyi dysydentów spóźnionych przestróg nie szczędził. Był zwolennikiem silnego rządu: ganił niedoskonałość konstytucyi, przewagę szlachty i możnowładztwa, źle zrozumianą wolność polską i zbytnie ograniczenie władzy królewskiéj.

Niemcewicz zapatrywania swoje na przeszłość sformułował w *Uwagach nad upadkiem i charakterem narodu polskiego*, stanowiących *Śpiewów historycznych* rozdział ostatni. Rodzajność ziemi, dowodził, usposabiała nas do rolnictwa, natarczywość sąsiadów zmuszała do wojen; ukształtowały się z tego powodu dwa w narodzie pierwiastki: rolników, najprzód wolnych, późniéj ujarzmionych i ludzi wojennych, czyli szlachty, otrzymującéj wielkie od królów nadania, dostojeństwa i nagrody. W karbach była szlachta trzymaną przez królów tęgich, lecz po podziale państwa, korzystając z frymarków potomków Krzywoustego o berło, wzrosła i zaciążyła nad wszystkiém, aż zniszczyła równowagę między sobą, ludem i tronem. Wzbicie się jednéj części narodu w bogactwo i władzę, ujarzmienie innych, stało się przyczyną osłabienia całości. Rychło szlachta uboższa odgrywać poczęła rolę narzędzia w stosunku do możnych: ostatni rządzili wszystkiém, namiętnościami swojemi ogarnęli ojczyznę i spychali ją w przepaść. Odnoszone w czasach dawniejszych nad nie-

przyjacielem zwycięstwa wyrobiły mniemanie, że bez wojska stałego, bez rządu, podatków i skarbu dość jest wsiąść na koń, by najazd odeprzéć. Trwano w nałogu, gdy w całéj Europie system rządzenia się zmienił, gdy ludy barbarzyńskie lub słabe w moc rosły, gdy wszędzie obok swobód władza wykonawcza coraz więcéj nabierała tęgości. Szlachtę tylko mając za naród, królów za podwładnych urzędników, lud za narzędzie dochodów i bogactw, czekaliśmy w gnuśności do chwili, w któréj przebudzenie się i rozpacz szlachetna już były spóźnione. Takim błędom przypisuje Niemcewicz upadek: winę zwala nie na naród cały, lecz na zbytnią powolność królów i ślepotę magnatów.

W *Dziejach panowania Zygmunta III* cel dydaktyczny przebija ostro, a towarzyszy mu obcy pisarzom wieku zeszłego sentymentalizm i morał. „Jeżeli zbyt późno, powiada autor, z popełnionych błędów nauka zasmuci nas, cośmy skutków tych błędów doznali,— pocieszające wspomnienia chwały przodków naszych, ich nieraz obywatelstwo w obradach, odwaga w boju, wytrwałość w ciężkich przygodach... słodkie w sercach naszych wzbudzić mogą uczucia." Radby opisywać „wielkie tylko wypadki, silnie uderzające charaktery, to co żywo wzbudza ciekawość, co na całe ludzi stowarzyszenia wielki wpływ mieć może"; nie waha się pominąć sporów religijnych za Zygmunta III „obszerne bowiem onych wywodzenie więcéj-by przynieść mogło zarumienienia, niżeli pożytku." Pragnąłby przez odtworzenie chwalebnéj przeszłości osłabić grasującą w kraju cudzoziemszczyznę, obudzić szacunek dla pamiątek, przywiązanie do rzeczy swojskich. Nic przecież nowego do dotychczasowych poglądów na przeszłość nie wniósł. W Zamojskim widzi „potęgę możnowładztwa wyższą nad majestat i prawo"; wyrzeka, że w rzeczypospolitéj „każdy czynił, co chciał, rząd tylko jeden nie miał ni woli, ni władzy"; w buntach rokoszowych za Zygmunta III spostrzegał „zarody téj niesforności, która, długo powtarzając się późniéj, w r. 1793 Polskę naszą do ostatecznego przywiodła upadku."

Pomimo obfitych wzorów, jakich dostarczała produkcya naukowa zachodu, epigonowie Naruszewicza dalecy byli od wprowadzenia nowych do historyi pierwiastków, talentem niedorównywali nawet staremu mistrzowi. Oprócz Jana Potockiego, który do badań nad pierwotną Słowiańszczyzną zastosował tak zwaną metodę odwrotną; Wawrzyńca Surowieckiego, który na tém samém polu uznanéj dobił się sławy; chaotycznego wreszcie, lecz wielostronnego i bystrego Czackiego, — kontynuatorowie Naruszewicza byli ludźmi geniuszu miernego, możność rozwinięcia rozpoczętych przez uczonego biskupa dociekań leżała po za granicami ich talentu i wiedzy. Za-

sługa wprowadzenia do badań dziejowych archeologii należy się Chodakowskiemu; na etnografię i antropologię pod wpływem A. Humboldta, Malte-Bruna, Klaprotha, Edwardsa i innych w małéj rozprawce: *Myśli o zastosowaniu fizyologii do historyi, mianowicie polskiéj* (1) zwrócił uwagę St. Rzewuski. Że, jak się wyraził Bielski, „mieszaniną zapakowań jest wszystek świat, ludem różnym“, — umiejętne, według autora, rozklasyfikowanie składowych Polski pierwiastków, zbadanie właściwości rasowych każdego i oznaczenie czasu osiedlenia się ich na terytoryum rzeczypospolitéj niewątpliwąby nauce historyi przyniosło korzyść.

(1) Warszawa, 1830. 8°, str. 27. Odbicie z *Pamiętnika fizycznych, matematycznych i statystycznych umiejętności z zastósowaniem do przemysłu.* (Zeszyt 6 i 7 z r. 1830).

(*d. c. n.*) *Władysław Smoleński.*





KOTLINA PRYPECI I BŁOTA PIŃSKIE

POD WZGLĘDEM PRZYRODNICZYM.

Dokończenie.

Ażeby zrozumiéć i ocenić słusznie rozwój błót Poleskich, trzeba miéć przedewszystkiém w pamięci, że był czas, w którym niziny tutejsze, zalane wodą, przedstawiały pewien rodzaj jeziora, do którego uchodziły rzeki, tworzące dzisiejsze dopływy Prypeci. Wody tych rzek obfitowały w rozdrobnione minerały, głównie w wapno, piasek i glinę, jak to i obecnie ma miejsce; ale ilość tych minerałów była wtedy daleką większą, ponieważ wyniosłości, zamykające kotlinę Prypeci, nie były jeszcze pokryte roślinnością. Minerały te osadzały się na dnie owego jeziora, tworząc mielizny i wyspy, na których ukazały się pierwsze rośliny, wytworzyły się najstarsze błota. Ale ani ta roślinność, ani te wyspy nie były stałe. Wytwarzanie się osadów wodnych nie było ani powolném ani jednostajném, lecz odbywało się najpotężniéj w wodach wzburzonych powodziami, a szło za prądem rzek tutejszych, którego kierunek był również zmiennym. Z tego powodu osadzały się cząstki ziemne, zawarte w wodzie, po różnych miejscach, raz w jedném, drugi raz w drugiém, wskutek czego ogólna głębokość wody się zmniejszała, dno jeziora bezustannie się podnosiło i coraz to nowe mielizny i wyspy na jaw wychodziły. Ale następstwo téj nieprzerwanéj i nieokiełzanéj pracy żywiołu wodnego było takie, że owe pierwotne wyspy, pokryte już błotami, znalazłszy się niespodzianie, w niższym poziomie, zostały zalane przez wodę, a roślinność, jaka się na nich rozwinęła, pokryta nowym pokładem osadów, straciła swoję żywotność raz na zawsze. W ten sposób powstały pokłady torfów, jakie we wnętrzu ziemi w różnych miejscach na Polesiu odkryto. Płynąc rzeką Strumieniem z Pogości do Pińska widziałem wzdłuż brzegów potężne pokłady starych torfów, przepełnione mnóstwem korzeni i gałęzi, pokryte osadami rzecz-

nemi, grubemi na 1 do 2 metrów, a przy pomocy wiercenia wykryto takie same torfy i w znacznéj od tutejszych rzek odległości. W miejscowości Samory znaleziono pokład torfu na 2 stopy i 6 cali gruby w głębokości przeszło 15 stóp pod powierzchnią ziemi, a w Zabołociu znaleziono inny, nieco cieńszy, w głębokości 11½ stopy. W ten sposób zmieniała się ciągle powierzchnia tutejszéj gleby a pierwotna roślinność musiała walczyć ciągle i z wodnym, i z ziemnym żywiołem, jakoż można uważać za pewne, że z owych błót, jakie rozwinęły się na najstarszych mieliznach, na środku jeziora, ani jedno do dni naszych się nie przechowało. Ale wroga siła żywiołów musiała z czasem osłabnąć, bo i ogólny poziom wód uległ, wskutek pogłębienia się koryta Dniepru i ułatwienia im odpływu, obniżeniu i ilość minerałów, niesionych przez rzeki, znacznie się zmniejszyła, wskutek czego obszary suche poczęły brać przewagę nad zalanemi. Gdziekolwiek gleba uwolniła się od wody, tam rozwinęły się wilgotne łąki i moczary, gdzie zaś pozostała pokryta wodą, lecz nie zbyt głęboką, tam powstały trzęsawiska, szuwary i oczerety a wszystkie te formacye zlawszy się w jednę całość wytworzyły roślinną szatę tych błót która przechowała się do dni naszych. Zniszczenie téj roślinności wskutek działania sił przyrodzonych jest już obecnie niemożebném, ale pomimo to nie można jéj uważać za zupełnie ustaloną; zmienia się ona przedewszystkiém z tego powodu, że stosunki hydrograficzne całéj krainy powolnéj ulegają zmianie a następnie i dlatego, że coroczne powodzie nie zawsze i nie wszędzie w jednakowéj działają mierze. Bieg tutejszych rzek nie jest jeszcze ustalonym. Nietylko zmieniają one często kierunek, lecz zmieniają i poziom i postać dna; po każdéj prawie powodzi ukazują się w nich nowe mielizny i nowe wyspy, które tamując bieg wody zmieniają jéj szybkość i poziom i działają tak samo, jak zatory lodowe. Powyżéj takiéj przeszkody stan wód jest wyższy, po za nią niższy; wskutek tego, gdy w jednych miejscach wilgotność gleby w pewnym okresie czasu się zwiększa, to inne ulegają równoczesnemu obsuszeniu. Zmiany takie oddziaływują niezawodnie i na stan roślinności, ulega ona przeebrażeniu, ale tak powolnemu, że potrzeba dłuższego czasu, ażeby jego skutek stał się widocznym. Do téj przyczyny wypada odnieść fakt, że gdy gleba w jedném miejscu ulega silniejszemu zabagnieniu, to w inném sama przez się obsycha. Ponieważ takie zmiany wychodzą jednym na korzyść drugim na szkodę, przeto tamują swobodny rozwój gospodarstwa a zaradzić im zdoła jedynie ogólne odwodnienie, połączone z uregulowaniem biegu rzek tutejszych.

Wszelka gleba sucha na Polesiu, jak wogóle w całéj środkowéj Europie, była w czasach przedhistorycznych pokrytą lasami. Można

uważać za rzecz pewną, że lasy i błota były pierwotnie jedynemi formacyami roślinnemi, właściwemi téj krainie. Najnowsze poszukiwania czynią prawdopodobném, że nawet owe wydmy piaszczyste, ogołocone miejscami z wszelkiéj roślinności, nad których zalesieniem tak skrzętnie pracują obecnie w zachodniéj Europie, były już raz porosłe lasami, i że obecną postać dopiero po ich wytępieniu otrzymały. Gleba pokryta roślinnością zielną, a zatém łąki właściwe istniały tu tylko na południowéj i północnéj granicy i przechodziły z jednéj strony w stepy czarnomorskie z drugiéj w tundry polarne. Uprawa gleby rozwinęła się na całym obszarze Polski i Rusi po porębach leśnych a wyjątkowo po błotach, zamienionych przez osuszenie w łąki.

Lasy poleskie odznaczają się niezwykłą jednostajnością. Na glebie piaszczystéj rośnie wszędzie sosna i daje sośninę, czyli bór, formacyą tak czystą, że można ujechać nią nieraz kilka kilometrów, nie napotkawszy żadnego innego drzewa po drodze. Ale po brzegach tych borów występuje często obficie brzoza, osika, dąb długoszypułkowy a po moczarach, przeciętych strugami leśnemi, rosną bujne olszyny. Gleba w lasach sosnowych bywa nadzwyczaj płonną, na znacznych niekiedy obszarach prawie zupełnie ogołoconą z roślinności, a gdyby nie moczary i torfowiska, przerywające monotonią tych lasów, nie byłoby tutaj nic, coby uwagę badacza, choćby na chwilę, przywiązać zdołało. Ale zmienia się postać lasu, gdzie piasek pomieszany z gliną korzystniejsze dla rozwoju roślin przedstawia warunki; zmniejsza się tu ilość sosen, a ich miejsce zajmuje głównie brzoza i dąb a zawadzi się niekiedy i lipa i jarzębina, wskutek czego powstaje las mieszany, z przewagą drzew liściastych. Podszew leśną tworzy w takim lesie zazwyczaj leszczyna, a gdzie téj nie staje, tam porasta ziemię bujny trawnik, złożony z różnorodnych form roślinnych a miejsca takie przypominają żywo urozmaiconą i bujną roślinność, pokrywającą glebę czystych typowych dąbrów na Podolu i Ukrainie. Gdzie stare, czyste gliny albo iły wystąpiły na jaw w postaci suchych wyniosłości, tam rozwinął się gęsty zarost typowéj grabiny, a jeźli gleba jest wilgotną, to rosną na niéj osiki i świerki. Zarosty grabowe i świerkowe tworzą jednakże na Polesiu tylko odosobnione wyspy w pośród monotonii tutejszych lasów i zachodzą w téj postaci na samę krawędź błót Poleskich. Na uroczysku Szerszeń, należącém do wsi Rokitna, widziałem świerki, których pnie dochodziły do dwóch stóp średnicy.

Nieco większą rozmaitosć przedstawiają lasy bliżéj Prypeci i rzek do niéj uchodzących, na glebie pokrytéj osadami rzecznemi. Oprócz sosny, dębu i brzozy, które należą do najpospolitszych, mo-

żna tu napotkać obie lipy, jawory, klony, brzosty, wiązy, a nawet i jesiony, a podszew leśną, złożoną przeważnie z leszczyny, urozmaicają czasem trzmielina, szakłaki i jarzębina. Gleba użyźniona osadami rzecznemi odpowiada szczególniéj warunkom życiowym dębów. Wspaniały zarost, złożony z olbrzymich, odwiecznych okazów tych drzew, z małą domieszką osik i jesionów znalazłem w majątku hr. Wiktora Platera, na uroczysku Dubieczmia, na północ od Dąbrowicy. Na glebie tego zarostu z lekka tylko ocienionéj, rozwija się bogaty zarost zielny, obfitujący w kilka rzadszych roślin a Dubieczmia jest istną oazą wśród monotonii lasów poleskich.

Ale najciekawszém zjawiskiem była dla mnie roślinność drzewna, pokrywająca rozrzucone po błotach i zupełnie odosobnione ostrowy. Sosny jest tu stosunkowo mniéj, a natomiast ukazują się obficie drzewa, które zwykle unikają gleby piaszczystéj. Na Tuchowskim ostrowie, nad rzeką Lwą, rośnie oprócz sosny, dąb, brzoza, olsza, osika, jarzębina i kruszyna, a na Łykoczynie i innych ostrowach, rozrzuconych po Wjacko-Bobrowickich błotach, znalazłem prócz wyżéj wymienionych drzew oba gatunki lipy, graby, świerki i leszczynę. Drzewa te tworzą tu wszędzie bezładną mieszaninę; pojedyncze ich okazy dochodzą do znacznych rozmiarów, lecz jest ich zato stosunkowo mniéj, wskutek czego las bywa rzadszy, widny i przejrzysty. Ponieważ ostrowy te, zupełnie odosobnione, są nie zaludnione i roślinność ich pozostała dotąd wolną od napaści ze strony człowieka, przeto sądzę, że drzewostan tutejszy odpowiada najbardziéj roślinności, jaka rozwinęła się pierwotnie na suchéj, piaszczystéj głebie Polesia. Lite sośniny i brzeziny, nużące wzrok swoją jednostajnością, powstały tu dopiero pod wpływem człowieka. Pierwotne lasy téj krainy musiały być zarostem mieszanym, w którym drzewa liściaste miały nawet przewagę nad szpilkowemi.

Liczba form, wchodzących, wskład roślinności Polesia jest w porównaniu z rozmiarami téj krainy w ogóle mała a ze względu na systematyczny charakter swéj flory musi Polesie być zaliczoném do najuboższych okolic w Europie. Nie tylko liczba gatunków, żyjących na téj glebie, jest ograniczona, lecz jedne i te same formy powtarzają się wszędzie do znużenia, a należą one przeważnie do takich, które na całym niżu Europejskim, od żuław Renu, aż do podnóża gór Uralskich, są wszędzie rozpowszechnione. Brakuje tu prawie zupełnie gatunków endemicznych, to jest takich, które za wyłączną własność téj krainy dałyby się uważać, a jeżeli zdarzy się gdzie jedna, albo druga forma, zbaczająca od właściwego typu, to znamiona jéj są tak słabe, że przez botaników starszéj szkoły zaledwie za odmianę tegoż typu, a nie za właściwy gatunek uważaną

być by mogła. Tym brakiem form endemicznych odznacza się nietylko nasze Polesie, lecz i sąsiednia Litwa i cały niż germański, co tém więcéj zastanawia, że okolice południowe, bezpośrednio z zapadłością Poleską graniczące, jak Podole i Ukraina, obfitują bardzo w rośliny endemiczne, których znaczna liczba i za Zbrucz, na galicyjskie Podole, przechodzi. Posiadają i okolice północne, Szwecya, Norwegia, Laponia i Finlandya, wiele sobie właściwych form roślinnych.

To ubóstwo roślin na Polesiu, jak i jednostajny układ tutejszéj roślinności, robią takie wrażenie, jak gdyby szata roślinna, pokrywająca glebę całéj téj krainy była utworem stosunkowo młodszym, dziełem nagłéj i szybkiéj kolonizacyi roślinnéj, wskutek czego formy pospolite, posiadające wyższy stopień żywotności i dlatego łatwiéj z miejsca na miejsce się przenoszące, rozpostarłszy się po całym jéj obszarze, utrudniły przystęp roślinom innym, wybredniejszym,—i jak gdyby formy osiadłe na téj glebie nie miały dość czasu do zmienienia swéj postaci, do przeobrażenia się w nowe endemiczne gatunki. Pogląd ten zgadza się w zupełności z dziejami rozwoju téj krainy, bo wiemy już że niż europejski nietylko najpóźniéj wyłonil się z morza, że w systemie lądów europejskich, ze względu na swój wiek, ostatnie zajmuje miejsce, lecz że i późniéj jeszcze gleba jego wielorakiéj ulegała zmianie. Przez cały czas trwania epoki lodowéj, a zatém wówczas, gdy lodowiec północny pokrywał niż germański i sarmacki, posiadały i góry środkowéj Europy, Karpaty i Alpy, obfite lodowce a klimat téj części Europy był od dzisiejszego zupełnie odmiennym. Roślinność jaka się pierwotnie, przed nastaniem lodowéj epoki, na całym owym niżu rozwinęła, uległa wrogiemu działaniu tego klimatu i zmarniała prawie do szczętu; mamy na to niezbite dowody, że w epoce lodowéj żyły tutaj rośliny właściwe okolicom zimnym, rośliny, których ojczyzną są dzisiaj po części wyniosłe, chłodne góry środkowéj Europy a po części okolice biegunowe, tworzące brzegi morza lodowatego.

Alpejsko-polarny charakter miała także roślinność, jaka pokrywała ziemię graniczącą od południa z lodami i takie same rośliny żyły wszędzie daléj na północy, gdziekolwiek ziemia była wolną od pokrywy lodowéj. Odmienny był i świat zwierzęcy w owéj epoce, bo w pokładach dyluwialnych, obecnie mało co nad poziom morza wzniesionych, znaleziono ślady zwierząt alpejskich i północnych, jak świstaka, kozicy, koziorożca, lemminga, lisa polarnego, rena, wołu piżmowego i innych. Gdy pod koniec epoki lodowéj klimat téj części Europy się ocieplił, poczęły i lody cofać się ku północy i ku wierzchołkom gór karpackich, a za niemi poszły i chłodne rośliny,

jakie z niemi warunkami klimatycznemi całéj epoki ściśle były złączone. Gleba po równinach, uwolniona od więzów lodowych, wilgotna i naga, przedstawiała wdzięczny grunt dla kolonizacyi roślinnéj. Kolonizacya ta szła u nas od południowego wschodu, z krainy czarnomorskiéj, wskutek czego i szata roślinna tych stron pierwotnie wschodnio-południowy charakter przybrała; ale niż germański począł się najpierw ożywiać od strony zachodniéj, od strony Francyi, zachodnie rośliny przeważały na nim pierwotnie. Te dwa prądy, posuwając się bezustannie w raz obranym kierunku, połączyły się z sobą i pomieszały, zawsze jednak w tym sposobie, że ślady ich są jeszcze i dzisiaj widoczne. Nad brzegami morza baltyckiego, żyją do dziś dnia rośliny galijskiego pochodzenia (*Myrica Gale*, *Lobelia Dortmanna*, *Lamium incisum*, *Coryspernum intermedium*, *Digitalis ocholeuca* i inne), podczas gdy na południu przeważają formy stepowe, między któremi znaczna liczba traw, roślin wargowych, bórakowatych, główkozrosłych, motylkowych i gwoździkowych.

Nietrudno zrozumiéć, że rośliny, które żyły na nizinach naszych podczas epoki lodowéj, nie mogły utrzymać się długo na swojém stanowisku w obec późniejszych warunków, bo znalazły się niespodzianie pod wpływem tak wrogich żywiołów, jak zmiana klimatu i nacisk ze strony nowych przybyszów, których ilość bezustannie się zwiększała. Zostały one prędzéj lub późniéj otoczone zupełnie odmienną i lepiéj do warunków miejscowych zastosowaną roślinnością. Im więcéj rozpowszechniały się przybywające z jednéj i drugiéj strony formy, im bardziéj zwiększała się liczba ich okazów, tém niekorzystniéj przedstawiały się warunki życiowe dawniejszych mieszkańców a ta walka o byt, utrudniona bezustannie przez stopniowe ogrzewanie się powietrza, miała ten skutek, że nie tylko liczba okazów tych pierwotnych roślin bez przerwy się zmniejszała, lecz że i pojedyncze ich gatunki ginąć poczęły. Ginęły one przedewszystkiém po wyniosłościach, które wystawione na działanie słońca prędzéj obsychały; nieco korzystniejsze warunki dla swego istnienia znalazły one po zapadłościach i nizinach, bo śniegi, wylęgające po takich miejscowościach w porze wiosennéj, skracają peryod rozwoju roślin a bezustanne parowanie wody, pokrywającéj miejsca niższe wpływa na obniżenie ciepłoty powietrza, wskutek czego i klimatyczne warunki miejsc takich potrzebie tych roślin lepiéj odpowiadały. Z tego téż powodu ginięcie utworów epoki lodowéj po moczarowatych nizinach w ogóle wolniéj się odbywało i tylko w części dokonaném zostało. Ponieważ warunki te nie rozwinęły się nigdzie w tak korzystnéj formie, jak na nizinach Polesia, przeto nic dziwnego, że liczba form polarno-alpejskich, żyjących jeszcze obecnie tak tutaj, jak i po mo-

czarach sąsiedniéj Litwy jest większa, aniżeli gdziekolwiek indziéj. Są to żywe świadki jednego z największych przewrotów, jakich widownią była ziemia nasza, są one zarazem największą ozdobą tamtejszéj, zresztą tak ubogiéj flory i zasługują z pewnością na to, aby im kilka szczegółowych słów poświęcić.

Wspomnieliśmy już, że żyje na błotach pińskich wierzba lapońska; zdarza się ona tutaj dość często po obu stronach Prypeci, zarówno po torfowiskach, jak i hałach. Niepodlega żadnéj wątpliwości, że krzew ten pochodzi z okolic polarnych, bo jest dzisiaj pospolitym w Szwecyi, Norwegii, Laponii i Finlandyi, a nawet w Grenlandyi, podczas gdy w prowincyach nadbaltyckich, na Litwie i Polesiu, rośnie wyłącznie na glebie moczarowatéj, zimnéj i ginie nagle na południowéj granicy błot. Po za tą linią ukazuje się tylko sporadycznie, jak np. w północno-wschodniéj Galicyi (Poturzyca pod Sokalem), w Tatrach i Sudetach. Botanicy niemieccy podają coprawda dla téj rośliny kilka stanowisk w Alpach, nowsze poszukiwania przemawiają jednak za tém, że okazy z tych stanowisk należą do zupełnie innego gatunku, nazwanego przez botaników wierzbą szwajcarską (*Salix helvetica*). Rosną na Polesiu jeszcze dwie inne północne wierzby; z tych wierzba siwa (*Salix livida*) ma zakres rozsiedlenia prawie taki sam, jak lapońska, lecz sięga daléj ku południowemu zachodowi, bo znajdowano ją wielokrotnie w Poznańskiém i Galicyi, południowa jéj granica jest natomiast silniéj naznaczona, gdyż w Karpatach nie rośnie wcale, a na Szląsku, około Gurowa, jest dzisiaj bliską wyginięcia. Trzeci gatunek, wierzba mirtowa (*Salix myrtilloides*), pospolita na północy, trzyma się na niżu sarmackim wyłącznie torfowisk i należy do rzadszych. Widziałem ją na Polesiu około Sech i Klesowa, a w Galicyi rośnie również w Poturzycy razem z lapońską; rośnie ona nadto w trzech miejscach na Szląsku, jak nie mniéj w Bawaryi około Monachium i w Alpach bawarskich.

Po wierzbach zasługują przedewszystkiém na wzmiankę dwie polarne jeżyny (*Rubus arcticus* i *R. Chamaemorus*), nie znalezione dotychczas co prawda na właściwém Polesiu, lecz wykryte przez profesora Gorskiego (1) w kilku miejscach sąsiedniéj Litwy. Takiegoż samego pochodzenia są prawdopodobnie i dwie karłowate brzózki (*Betula humilis* i *Betula nana*), żyjące na Litwie, chociaż zakres ich rozsiedlenia jest obszerniejszy, bo zdarzają się dość często w wysokich górach środkowéj Europy. W ten sam sposób przybył do nas bardzo ciekawy gatunek koniczyny, nazywany przez botaników *Trifolium Lupinaster*, rosnący obficie w Dziadowskiéj puszczy,

(1) Por. wykaz roślin w dziele Eichwalda: Naturhistorische Skitze, i t. d. str. 162.

dziedzicznym majątku Jundziłłów i w kilku innych miejscowościach Litwy i prowincyi nadbaltyckich, a pochodzący z północnéj Syberyi. Z innych roślin północnych, żyjących obecnie na Litwie, wymienię tylko dla przykładu *Carex norvegica*, *Potamogeton norvegicus*, *Linnaea borealis*, *Andromeda caliculata* i *Tanacetum boreale*.

Rośliny, które przybyły w te strony z południa, a zatém z gór środkowéj Europy, różnią się pod względem rozsiedlenia tém, że należą wogóle do rzadszych, są przywiązane do pewnych, nielicznych stanowisk, a liczba ich okazów wogóle ograniczona. Byt ich jest tutaj widocznie bardziéj zagrożony, aniżeli roślin polarnych. Pierwsze miejsce zajmuje między niemi znana dobrze naszym lekarzom, a szczególnie homeopatom, *Arnica montana*, z rodziny główkozrosłych, o wielkich żółtych kwiatach i łodydze prawie bezlistnéj. Żyje ona w cieplejszych górach Europy; nie ma jéj w Tatrach, ani na Babiéj górze, lecz po połoninach Czarnéj Hory należy do pospolitszych. Nie schodzi ona w Karpatach nigdy poniżéj 1200 metrów, nie ma jéj również ani na Podolu, ani na Wołyniu, a ukazuje się dopiero na północy od Prypeci; pierwszy jéj ślad znalazłem w odległości kilkunastu kilometrów od Pińska, w Porzeczu, gdzie przez zasłużoną badaczkę tamtejszéj flory, p. Maryę Twardowską najprzód spostrzeżoną została. Im daléj ku północy, tém jest pospolitszą, jakoż w lasach Dziadowskiéj puszczy znalazłem ją w kilku miejscach, w wielkiéj liczbie okazów. Z innych roślin, niewątpliwie alpejskiego pochodzenia, znajdowanych na Polesiu i w sąsiednich okolicach, wymienię tylko ważniejsze, a mianowicie: *Lycopodium Selago*, *Eriophorum alpinum*, *Tofieldia palustris*, *Gymnaclenia odoratissima*, *Swertia perennis*, *Empetrum nigrum*, *Prenanthes purpurea*, *Trifolium spadiceum* i *Arabis alpina*.

Ale najciekawszym zabytkiem z epoki lodowéj jest tutaj niezaprzeczenie azalea pontyjska, krzew o kwiatach pomarańczowych i mdłym zapachu, znany dobrze naszym ogrodnikom, gdyż bywa z dawien dawna hodowanym po szklarniach i w mieszkaniach. Roślina ta żyje obecnie tylko na Kaukazie i w Małéj Azyi, w górach wyniosłych na górnéj granicy lasów. Napotykałem ją w wielkiéj ilości wzdłuż drogi przecinającéj łańcuch gór kaukazkich od Tyflisu do Władykaukazu, szczególniéj obficie na Gudaurze i pod Kazbekiem, gdzie nie schodzi nigdy poniżéj 1600 metrów. Pierwszą wiarogodną wzmiankę o istnieniu téj rośliny na Polesiu podał Besser w wykazie roślin drukowanym w r. 1822 (*), ale że źródła, z którego o znachodzeniu się azalei na Polesiu dowiedział—nie wymienia, prze-

---

(*) Besser: Enumeratio pt. Volhyniae, Podollae etc. str. 11.

to i fakt, sam przez się zagadkowy, wymagał sprawdzenia. Nieco dokładniejszą wiadomość zawdzięczamy Gorskiemu, który wymieniając ją między litewskiemi (1) powiada, że rośnie w Dąbrowicy, o 10 mil od Pińska i nad rzeką Słuczem na Wołyniu. Wspomina o téj roślinie i Rogowicz w swojéj florze gubernii Wołyńskiéj (2), a za miejsce jéj znachodzenia wymienia Owrucz, Olewsk, Kamienszczyznę i Ozierańską Rudnię na południowém Polesiu.

Istnienie azalei w tym odległym zakątku Europy nie mogło wobec świadectwa tak poważnych uczonych, jak Besser, Gorski i Rogowicz, podlegać wątpliwości; ale że wiadomość ograniczająca się li tylko do podania stanowiska, szczególniéj gdy chodzi o roślinę tak ciekawą i zagadkową, jak azalea, nie czyni zadosyć dzisiejszym wymogom naukowym, przeto téż wybierając się na Polesie, postanowiłem przedewszystkiém zająć się zbadaniem tego szczegółu. Jakoż już wkrótce po przekroczeniu granicy Wołynia przekonałem się, że wykształceńsi mieszkańcy tego kraju nietylko znają bardzo dobrze tę roślinę, lecz i wiele się nią zajmują, gdyż próbowano nawet w kilku przypadkach przesadzenia jéj do ogrodów, lecz zawsze bez skutku. Pierwszą pewniejszą wiadomość, zebraną o niéj na miejscu, zawdzięczam hr. Rzyszczewskiemu, właścicielowi Rokitna, wsi na saméj krawędzi błot pińskich położonéj, który nietylko wskazał mi stanowiska, gdzie odszukanie rośliny uważał za niezawodne, lecz i wycieczkę w tamtą stronę ułatwił. Jakoż przekonałem się, że azalea na południowéj granicy błot pińskich, pomiędzy Horyniem i Uborcią położonych, nie jest rzadką; jak już wspomniałem, zna ją dobrze lud poleski i tureckiém bagnem nazywa. Pierwszy jéj ślad znalazłem we wsi Borowe, o 30 kilometrów od południowéj grancy błot, późniéj zbierałem ją w Karpiłówce, Kisyryczach, Rokitnie, Horoszkach, Ośniku i Sechach (3). Rośnie ona tutaj po brzegach lasów, na glebie piaszczystéj albo gliniastéj, zawsze wilgotnéj, pokrytéj mniéj lub więcéj cienkim pokładem torfu, w licznych, ale rozrzuconych okazach. Porównana z kaukaską przedstawia lekkie różnice, gdyż liście jéj są mniejszych rozmiarów, na dolnéj powierzchni zlekka popielatéj barwy, a kwiaty poleskich okazów drobniejsze. Gdzie rośnie obficie, tam znajdowałem zazwyczaj znaczną ilość zupełnie obumarłych, zeschłych okazów, co obudziło we mnie obawę, że może piękna ta roślina znajduje się tutaj w stadyum ginięcia. Po dokładniejszém

(1) W dziele Eichwalda str. 143.

(2) A. Rogowicz: Obozrenje siemlennych i wyss[illegible]ych sporowych rastienij, wcho diaszczych w sostaw flory gubernij Kiewskawo uczebnawo okruga. 1869, str. 163.

(3) W Dąbrowicy, wymienionéj przez Gorskiego, daremnie jéj szukałem.

jednak zbadaniu przedmiotu obawa okazała się bezpodstawną, gdyż krzew ten rozwija się w taki sposób, że gałęzie jego po trzech albo czterech latach obumierają, a na ich miejsce nowe od korzenia się ukazują, wskutek czego co roku kilka gałęzi zasycha i kilka innych na ich miejsce wyrasta. Ale po kilkunastu latach takiego rozwoju słabnie żywotna siła okazów starszych, nowych gałęzi przybywa coraz mniéj i roślina traci swój żywot. Jakoż bardzo stare jéj egzemplarze składały się z kilkunastu gałęzi suchych, w pośród których jedna, albo druga opatrzona liśćmi i kwiatami wskazywała, że życie jeszcze nie zupełnie w niéj zamarło.

Ponieważ azalea we właściwéj swéj ojczyźnie posiada obecnie wszystkie znamiona rośliny alpejskiéj, przeto stanowisko jéj na Polesiu da się zrozumiéć jedynie wówczas, jeżeli odniesiemy je do epoki lodowéj. Ale ten pogląd natrafia na przeszkodę w niezwykłéj odległości Polesia od Kaukazu. Rośliny polarne i karpackie mogły się z łatwością pomieszać na niżu sarmackim, bo lody północne i karpackie stykały się tu ze sobą prawie bezpośrednio. Ale między Kaukazem i Skandynawią związek taki nigdy nie istniał; lody północne nie dotknęły nigdzie ani Podola ani Ukrainy, a chociaż miały i góry Kaukazu i Armenii swoję epokę lodową, to lody ich nie zeszły nigdy na niziny. Dwa tylko przypuszczenia mogą dać klucz do rozwiązania téj zagadki. Można uważać za rzecz pewną, że wpływ lodów północnych sięgał w owéj epoce daleko ku południowi i że tak klimat, jak i roślinnność krainy czarnomorskiéj były wówczas od dzisiejszych zupełnie różne. Na podstawie bardzo starannych studyów przyszedł Engler (1) do przekonania, że dzisiejsze stepy musiały obfitować w epoce lodowéj w wilgoć, a roślinność ich musiała odpowiadać dzisiejszym błotom i tundrom. Ponieważ wpływ ówczesnego klimatu sięgał daleko na wschód i na południe, bo po góry Armenii i po Atlas afrykański (2), przeto musiała i dolna granica azalei na Kaukazie leżéć o wiele niżéj, roślina mogła snadno rozpościerać się po tych błotach i tundrach i zajść aż na Polesie; gdy póżniéj wskutek zmiany klimatu płaszczyzny czarnomorskie zamieniły się w stepy, wyginęła ona na nich, wskutek czego i stanowisko na Polesiu od związku z Kaukazem zupełnie oderwane zostało. Przemawia za takim poglądem silnie ta okoliczność, że wierzba lapońska ma się także znajdować, według Wimmera, i w Multanach. Ale możebną jest rzeczą, że wędrówka azalei odbyła się przez półwysep bałkański i Karpaty siedmiogrodzkie, że istniała ona niegdyś w tych górach i że

(1) Entwickelungsgeschichte der Pflanzenwelt, I, str. 161.

(2) W. B. Dawkings, Die Höhlen und die Ureinwohner Europas str. 305—310.

tylko wskutek zmiany klimatu z nich wypartą została. Możnaby przytoczyć liczne przykłady roślin europejskich, znajdujących się w stadyum ginięcia, lecz wystarczy dla nas, gdy wspomnę tylko o jednym, bliżéj nas obchodzącym. W r. 1864 znalazł Ascherson z kilku towarzyszami podróży na Giewoncie w Tatrach, rododendron szorstki, krzew pospolity w Alpach i Siedmiogrodzie, którego nikt poprzednio w Tatrach nie zauważył. Gdzie ta roślina znajduje się w górach środkowéj Europy, tam występuje w wielkiéj ilości, prawie gromadnie, a istnienie jednego odosobnionego okazu, na stanowisku tak odległém, jak są Tatry, nie może być przypisaném jednorazowemu, przypadkowemu przeniesieniu. Wypada raczéj przypuścić, że krzew ten rósł niegdyś i w Tatrach tak obficie, jak w Alpach, lecz że wskutek zmiany klimatu, lub w ogóle wskutek niekorzystnych warunków życiowych nie tylko się nie rozmnaża, lecz przeciwnie liczba jego okazów tak się tu zmniejszyła, iż obecnie jest w Tatrach blizkim zupełnego wyginięcia. Przykład ten ma dla zrozumienia ogólnego rozsiedlenie azalei tém większą doniosłość, iż rododendron jest z nią blisko sprokrewniony, gdyż oboje do tejże saméj rodziny należą.

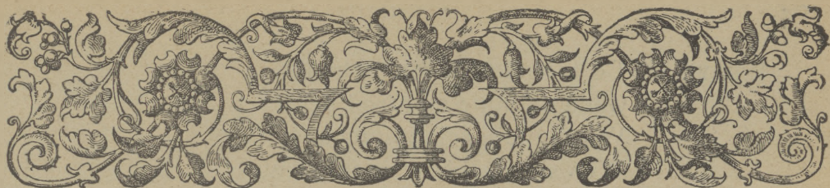
Tak więc roślinność tego zakątka Europy składa się z różnorodnych pierwiastków, odpowiadających tak odmiennym krainom klimatycznym, że pobieżny przegląd tutejszéj flory mógłby niedoświadczonego badacza wprawić w zdumienie i nie małego nabawić kłopotu. Krytyczny rozbiór przedmiotu wykazuje jednak, że różnorodna ta mieszanina nie jest ani bezładną, ani przypadkową, lecz że stoi w najściślejszym związku z rozwojem tutejszéj roślinności, że jest jéj prostém następstwem, a pogląd rozwinięty w powyższych ustępach, został w ostatnich czasach niespodziewanie prawie, na innéj drodze stwierdzony. Torf powstaje, jakeśmy mówili, z nagromadzenia części roślinnych, tak słabo zmienionych, że oznaczenie gatunków, jakie go wytworzyły, daje się częstokroć z łatwością uskutecznić. Ponieważ wytworzenie się grubszych torfowisk wymagało bardzo długiego ciągu czasu, wielu set, a nawet wielu tysięcy lat, przeto można się było spodziewać, że zadeterminowanie roślin, przechowanych w różnych pokładach torfowisk, pozwoli nam poznać i przeobrażenia, jakim roślinność odpowiedniéj miejscowości, od chwili ukazania się torfu, aż do dni naszych ulegała. Zadanie to spełnił najprzód szwedzki naturalista Steenstrup. Oznaczył on szczątki drzew zawarte w starych torfowiskach szwedzkich i przekonał się, że na samym spodzie znajdują się w nich tylko liście osiki, powyżéj ukazują się pozostałości sosny, nad nią leży pokład zawierający liście i owoce dębu krótko-szypułkowego a zwierzchnie pokłady torfu za-

wierają szczątki olszy i buka, to jest drzew jeszcze i teraz tam rosnących. Ponieważ wymienione wyżéj drzewa postępują od północy, a zatém od granicy tunder, ku południowemu zachodowi w tym samym porządku i odpowiadają pewnym pasom klimatycznym, przeto można uważać za rzecz pewną, że i szczątki ich, w ten sam w torfowiskach szwedzkich ułożone sposób, również pewne peryody klimatyczne, a mianowicie stopniowe ocieplanie się powietrza, przedstawiają. To przypuszczenie zamieniło się w pewność od czasu, gdy Nathorst, prowadząc daléj rozpoczęte przez Steenstrupa badania, wykazał, że w Danii i Anglii spodnie pokłady torfu, obfitujące w liście osiki, leżą na iłach i glinach, zmieszanych ze żwirem lodowcowym, w których znajdują się ślady roślin polarnych (*Salix herbarea*, *S. polaris*, *S. reticulata*, *Dryas octopetala* itd.). W ten sposób rozwój flory téj części Europy został doprowadzonym wstecz aż do epoki lodowéj, do owych czasów gdy lody sunące z północy ku południowi pokrywały niziny nadbaltyckie, osadzając na miejscu okruchy skał skandynawskich a gleba naga stercząca z płaszczyzny lodowéj żywiła rośliny polarne.

Skrzętne poszukiwania, prowadzone w ostatnim dziesiątku lat przez geologów, botaników i zoologów zetknęły się w ten sposób niespodzianie u wspólnego celu. Dały one świadectwo jednemu z najdziwniejszych przewrotów, jakie miały miejsce na północnéj półkuli, przewrotowi, który dotknął nie tylko powierzchnię ziemi, lecz i otaczające ją powietrze, zmienił zarówno świat zwierzęcy jak i roślinny, a tém samém wpłynął potężnie i na rozwój ówczesnego człowieka. Z faktem tym geografia musi się liczyć na każdym kroku.

Dr. Antoni Rehman.





CALDERON.

EL MAGICO PRODIJIOSO.

Tercera jornada v. 2845,

GŁOS. Jak się zwie najwyższa chwała
Życia tego?

CHÓR. Miłość, miłość.

GŁOS. Nie znajdziesz na świecie stworzenia,
By nie wybił na nim piętna
Miłosnego żar płomienia.
Więcéj tym, że kocha, żyje
Człowiek, niż tym, że oddycha.
Miłości jedynie chętna
Drzewina, ptak, lilia biała
Z życiowego gdy kielicha
Pić chce rozkosz, miłość pije.
Więc jaka najwyższa chwala
Życia tego?

CHÓR. Miłość, miłość.

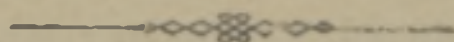
JUSTYNA. Fantazyi krain wietrznico
Myśli moja, pochlebnico,
W jaką tajemną godzinę
Biedna dałam ci przyczynę
Do takich serca owładań?
Skąd moc płynie, skąd tchnie żar
Tych ognistych we mnie gadań,
Skąd ten szeptów w koło gwar,
Co tak szumi, szumem rośnie;
Jak się zowie ból, tak głośnie
We mnie drżący?

CHÓR. Miłość, miłość.

JUSTYNA. Co to? Słowik rozkochany
Gada do mnie z pośród bzu,
Wierny lubczyk zasłuchanéj
Weń słowiczki, w noc do snu
Na gałązce kołysanéj.
Milcz słowiku, bo się trwożę
Słysząc, jak się żali ptak,
Że mię chęć doznania zmoże,
Ile téż czuć człowiek może,
Jeśli ptaszę czuje tak.
Lecz nie. To gałązka wina
Co lubieżnie się przegina
Porwać drzewa pień objęciem,
Aż pod liści przysłonięciem
Zielonych mdleje krzewina.
Nie nęć mię, gałązko zielona,
Zadumać się, co kochanie,
Bo doświadczyć we mnie wstanie
Chęć, czém męskie są ramiona.
A jeśli nie winna wić,
Może ten kwiat heliotropu,
Co nie schodzi z słońca tropu
I by ciepłe blaski pić,
Okiem ciągle za nim toczy.
Niech cię żalu łza nie mroczy,
Kiedy zwiędniesz w cieniu, kwiecie,
Bo się zachce mnie kobiecie
Widziéć męskie we łzach oczy.
Zmilcz słowiku zakochany,
Winna wici, rozwiąż dłonie,
Płochy kwiecie, ochłodź skronie,
Mówcie, jako w was wezbrany
Jad się burzy?...

CHÓR. Miłość, miłość.

Edward Porębowicz.





POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA WE FRANCYI.

IV. IDEALIŚCI.

„Za życia została zwyciężona—za grobem doczekała się zwycięstwa.“ Temi słowy kończy Oktawiusz Feuillet swoję powieść o biednéj Aliecie de Vaudricourt („La Morte“ 1886) (1), za którą do przedwczesnego grobu wpędzony zgryzotami małżonek przyzywa księdza, aby umrzéć w duchowéj komunii z nierozumianą za życia wyznawczynią nierozumianego także Boga.

Nie samych to przekonań religijnych podobno, historyą *ideału*, w ogóle, i *idealizmu* zamierzył nam przedstawić ostatni z wielkich idealistów w tragicznym losie swojéj „Zmarłéj.“ Nie zwątpił on o tryumfie ostatecznym, o prędszém czy późniejszém odwalaniu wieka grobowego i zmartwychpowstaniu w promiennéj apoteozie. Ale tymczasem zobaczył grób, i płacząc, stanął nad nim. I tak dalece opanowała nim świadomość tego pogrzebu, że on, autor „Sybilli“, pisząc tę ostatnią już może powieść swoję, przyswoił sobie dla oddania hołdu „zwyciężonym“ barwę zwycięzcy. I napisał powieść w realistycznym, ba, w naturalistycznym nieledwie stylu, powieść opartą na „dokumentach ludzkich“ *à la Zola* i na „eksperymentach“ *à la Goncourt*, powieść bez intrygi prawie i bez perypetyi, powieść zaczynającą się od dziennika, a więc od „protokółu“ i kończącą się na protokóle, powieść, w któréj—proh pudor!—dr. Tallevaut przywdziewa biały fartuch dla dopełnienia przed oczyma czytelnika jednéj z najbogatszych we wstrętne szczegóły operacyi chirurgicznych, a w któréj sam autor trzyma od początku do końca w ręku krwawy skalpel fizyologiczno-psychologicznéj analizy. Od początku do końca widać go zakasującego rękawy i mówiącego: „zobaczycie, co Oktawiusz Feuil-

---

(1) Przekład polski w „Gazecie Polskiéj“ i w „Tygodniku Mód“.

let, co autor *Pana de Camors*, co członek akademii francuskiéj potrafi, kiedy się weźmie do realizmu i do naturalizmu. Zobaczycie dopiero eksperyment!“

Eksperyment nie odpowiedział w zupełności oczekiwaniom mistrza. Mimo niektórych zwrotów, zapożyczonych, jeżeli się nie mylę, od najrealistyczniejszego z pomiędzy idealistów, od Cherbulieza, styl członka akademii pozostał akademickim, a przecinane skalpelem analitycznym postaci pozostały abstrakcyami. Odnaleźliśmy w osobie panny „Tallevaut,“ wychowanicy doktora-ateusza, dawną naszę znajomę, „kobietę fatalną“ w czarnéj amazonce, „kobietę-sfinksa“ o enigmatycznym uśmiechu i złowieszczém spojrzeniu, o któréj ręczyć możemy, że i tym razem nie zobaczył jéj gdzieindziéj autor jak w fantastycznych kręgach własnéj wyobraźni. I nie skądinąd zaczerpnął on resztę swojego personelu. Nie w Żokej-Klubie z wszelką pewnością przedstawiono mu hr. Bernarda de Vaudricourt, spowiadającego się przed pobożnymi rodzicami swéj narzeczonéj z religijnego sceptycyzmu, cierpiącego w dokonanym, mimo téj spowiedzi, związku z „Aliettą de Courteheuse“ na brak moralnéj harmonii między nim a ukochaną małżonką i żeniącego się po jéj śmierci z pokrewną sobie pojęciami emancypantką. Hr. de Vaudricourt, jeżeli istnieje w saméj rzeczy i jest członkiem arystokratycznego klubu, tedy nie wierzy może, a nawet prawdopodobnie, ani w Boga ani dyabła, ale nie przyznaje się do tego nikomu, ani nawet samemu sobie, i chodzi kiedyniekiedy do kościoła, bo tak chce „dobry ton“ towarzystwa, do którego należy, i dba o to, aby żona jego chodziła tam jak najczęściéj, a emancypantek wychowanych przez doktorów-ateuszów boi się jak ognia. Podobało się autorowi przedstawić tkwiący istotnie na dnie dzisiejszego społeczeństwa antagonizm moralny, więc obmyślił personifikacye ścierających się z sobą pojęć i kierunków, i do tych fikcyi zastosował, nie bez pewnéj ironicznéj intencyi, „metodę eksperymentalną“ swych kolegów naturalistów. W dodatku zaś—taką jest w temperamencie autora przewaga pierwiastków idealistycznych—sam ów antagonizm, tak jak on pojął go i przedstawił, to jeszcze fikcya, albo bardzo wyjątkowe zjawisko. Gdyby tego rodzaju antagonizm, psujący harmonią pożycia małżeńskiego i do tragicznego fatalnie wiodący rozbratu, był rzeczą powszednią, tedy życie społeczne musiałoby ustać w tym kraju. Bo niemasz na całéj tego kraju przestrzeni jednego kościoła, któryby w każdą niedzielę nie dawał świadectwa o istniejącym rozdziale między dwoma połowami społeczeństwa. Ale rozdział ten jest rozdziałem, nie antagonizmem. Żona normandzkiego chłopa słucha kazania w kościele a mąż jéj pali przez ten czas fajkę pod kościołem, co im nie przeszkadza wracać

następnie do domu pod rękę. I tak samo *prawdziwa* pani de Vaudricourt klęczy na aksamitnym klęczniku w eleganckim kościele ś-éj Magdaleny, podczas gdy hrabia de Vaudricourt zabawia się opodal w klubie, poczém oboje jadą w najlepszéj komitywie do lasku Bulońskiego. Dlaczego zaś tak się dzieje? Dlatego, że w gruncie rzeczy nie chodzi tu już o treść, jak niegdyś w epoce wielkich walk i wielkich namiętności religijnych, ale o formę; o formę, któréj jedna połowa społeczeństwa trzyma się jeszcze, a któréj druga przestała się trzymać, ale pod którą obie nie widzą już nic prawie prócz wielkiéj, niczém nie wypełnionéj próżni. Ten brak treści obok trwającéj prawem bezwładności formy, z towarzyszącym mu orszakiem kompromisów, obłudy przed innymi i przed sobą samym, wątpliwości, niesmaków i wewnętrznych przedewszystkiém rozstrojów, oto *prawdziwy*, istotnie tragiczny antagonizm dni dzisiejszych,—mimo którego przeszedł p. Feuillet, zapędziwszy się w ponętniejsze okolice własnéj fantazyi.

Co się tyczy zaś kontrastu zaznaczonego jednocześnie przez autora między religijną i cnotliwą „Aljetą" z bezwyznaniową i zbrodniczą panną „Tallevaut," to albo kontrast ten nie ma żadnego sensu, albo ma sens ten, że mężczyzna niereligijny może być uczciwym—bo „Bernard de Vaudricourt" jest takim—ale kobieta niereligijna nie— co znowu wychodzi na nonsens, i na krzywdę jawnie wyrządzoną dość licznemu już w dzisiejszych czasach—przynajmniéj tutaj—zastępowi takich kobiet. O ile zresztą powieść Feuillet'a osnuta jest na tym kontraście, a osnuta jest na nim przynajmniéj do połowy, o tyle powieść ta napisana już została przez Delpit'a w „Le mariage d'Odette" (1880) i, jeżeli nie pod względem obrobienia artystycznego to pod względem obserwacyi życiowéj i dedukcyi filozoficznéj, napisana nierównie lepiéj. „Odetta," córka sawanta bezwyznaniowego, dająca się uwieść własnemu szwagrowi, malarzowi „Claude," jest typem z natury uchwyconym; panna „Tallevaut, wychowanica bezwyznaniowego doktora, trująca najlepszą przyjaciółkę za pomocą umiejętnie rozdzielonych dawek akonitu, dla wydania się za jéj męża, „Bernarda de Vaudricourt", jest tylko potworem zagadkowym.

Zatrzymałem się nad tą ostatnią kreacyą znamienitego pisarza, (którego będący na schyłku zawód powieściopisarski wychodzi zresztą po za obręb studyów niniejszych), dla tego że znajduje w téj kreacyi wyrazistą charakterystykę téj fazy, któréj doczekał się w tutejszym ruchu literackim obumierający *idealizm.* Aby stworzyć coś, coby odpowiadało duchowi czasu, siłą wynikających z tego ducha prądów popchnięty autor-idealista pokusił się o naśladownictwo pogardzanych dotąd form artystycznych. I zabrał się do przepisywania

realisty Delpit'a i zapożyczył się u naturalisty Goncourt'a i uwziął się stąpać ich śladami po ziemi, ale mimo wszystkiego zginął w obłokach i — w niedorzeczności. Na to zeszedł idealizm pod piórem wielkiego niezaprzeczenie pisarza. Forma to, bez możliwéj już wątpliwości, zużyta, na teraz przynajmniéj przeżyta i prawdziwie „umarła.“ Nie starczy dla jéj wskrzeszenia nawet tak potężnego natchnienia i talentu. Tém bardziéj nie sprostał takiemu zadaniu drugorzędny i przeżywający się także i także ku realizmowi i naturalizmowi grawitujący w ostatnich czasach talent drugiego akademika, Cherbulieza.

Znalazła się przecież niedawno gromada młodszych talentów, które pokusiły się o podjęcie téj rezurekcyi. Młodość nie zna rzeczy niepodobnych, I nie potrafiłbym sprzeczać się z tym faktem, że jak dotąd, cale niepoślednie powodzenie towarzyszyć się zdaje temu przedsięwzięciu. Na okładce leżącego przedemną „Właściciela Kuźnic“ czytam: *wydanie dziewięćdziesiąte trzecie.* „L'Abbé Constantin“ figuruje na półkach mojéj biblioteki w *pięćdziesiątém drugiém* wydaniu. Autorowie zaś tęskniący do „Revue des deux Mondes“ wiedzą o upodobaniach pana Brunetière, pamiętają o tém, że ani Daudet, ani Zola, ani nawet Claretie nie przekroczą nigdy tych progów, które przekracza tak często p. Rabusson i wybredny dwutygodnik, brzydzący się „małymi naturalistami“, wychowuje całe pokolenie małych idealistów, do których od wczoraj należy sam Jerzy Ohnet.

Z tymi to niespodzianymi epigonami i z zagadkowém zjawiskiem, którego dostarczają ich niezaprzeczone tryumfy — mam tutaj sprawę. Zagadka jest zresztą dość łatwą do rozwiązania. Rzecz to jednéj z tych naturalnych reakcyi, które pociąga za sobą nie mniéj naturalna skłonność każdego zwycięskiego prądu do przesady, do zapędzenia się za daleko w danym kierunku. Jerzy Ohnet jest naturalném następstwem Huysmans'a. Inną zupełnie stronę kwestyi stanowi wartość rzeczywista tych reakcyjnych przejawów i z nią właśnie porachować się jest mojém zadaniem.

1. Jerzy Ohnet.

„Klara de Beaulieu“ wychowana została w domu rodzicielskim ze swoim kuzynem, księciem „de Bligny“ i, jak się to często dzieje między kuzynami, odebrała od niego przysięgę wiecznéj miłości, którą ślubowała mu wzajem ze swéj strony. Ale młody książę pojechał w charakterze sekretarza ambasady do Petersburga, gdzie się rozbałamucił i zgrał w karty, a tymczasem matka „Klary“ przegrała

w Londynie proces o spadek milionowy, stanowiący jedyne wiano jéj córki. Następstwem tych wszystkich zdarzeń i okoliczności staje się to, że pewnego dnia panna „Athenais Moulinet“, córka zbogaconego fabrykanta czekolady i śmiertelna, od czasów pensyonarskich nieprzyjaciółka arystokratycznéj i dumnéj panny „de Beaulieu“, odwiedza tę ostatnią i oznajmia jéj o swoich zaręczynach z księciem „de Bligny.“ Ugodzona ciosem podwójnym „Klara“ obmyśla natychmiastowy odwet. Przed chwilą właśnie zgłosił się był z prośbą o jéj rękę młody p. „Derblay“, właściciel położonych w sąsiedztwie Kuźnic. Panna „de Beaulieu“ nie raczyła nawet zwrócić uwagi na tę prawie znieważającą, w jéj pojęciu, propozycyą. Témbardziéj, iż ukryto dotąd przed nią niepomyślny wypadek procesu londyńskiego. Teraz atoli zmienia ona zdanie. Przywołuje do siebie zuchwałego pretendenta, i po krótkiéj z nim rozmowie przedstawia go pannie „Moulinet“ i samemu przybywającemu w téj chwili księciu „de Bligny“ jako swojego narzeczonego.

Takiém jest założenie utworu, który doczekał się wczoraj u Ollendorfa setnego i któregoś wydania, a na scenie teatru „Gymnase“ przed rokiem trzechsetnego i któregoś przedstawienia. Co jest w tém założeniu nowego i oryginalnego? Szukam i nie znajduję; zawadzam zawsze o Juliusza Sandeau czy o którego innego ze starych idealistów. A jednak, aby odżywić przeżytą formę, trzebaby chyba przynieść z sobą coś nieprzeżytego jeszcze. Co przynosi z sobą Ohnet? Jedno chyba. W staréj idealistycznéj szkole tego rodzaju kombinacya matrymonialna *in extremis*, do któréj ucieka się dumna i mściwa „Klara“, nazywała się *un mariage de dépit*; u p. Ohnet'a nazywa się ona *un mariage de vengeance.* Ten sposób pojmowania rzeczy jest wyłączną własnością Ohnet'a. Ale skąd się on wziął u niego? Dlaczego panna „Moulinet“ czuje się do żywego dotkniętą przez kombinacyą, która czyni z niéj księżnę „de Bligny“, a z jéj nieprzyjaciółki panią „Derblay“ po prostu? Szukam znowu i znowu nie znajduję.

„Klara de Beaulieu“ zostaje tedy panią „Derblay“, i tu zawiązuje się dopiero prawdziwy wątek powieści. W godzinę bowiem po ślubie (który to ślub z woli „Klary“ odbywa się o północy w ciasnéj i ciemnéj kaplicy — *par dépit* zawsze, powiedziałby Juliusz Sandeau, *par vengeance*, powiada Jerzy Ohnet—) pani „Derblay“ oświadcza mężowi, że kocha większą niż kiedykolwiek miłością swojego kuzyna, księcia „de Bligny“ i z téj przyczyny pragnie pozostać samą téj nocy oraz nocy następnych. Aczkolwiek niemile wzruszony tą logiczną dedukcyą, Właściciel Kuźnic uznaje jéj słuszność i oddala się, zamykając na klucz za sobą drzwi wiodące do jego własnego

apartamentu; ostrzega tylko nieczułą małżonkę, że gdyby kiedykolwiek przyszła jéj saméj ochota otworzenia tych drzwi, tedy pamiętać ona zechce o tém, że klucz jest po tamtéj stronie, a on, póki żyw, nie obróci tego klucza w zamku. — „Klara“ słucha ze wzgardą tego ostrzeżenia; niebawem jednak przypadek przewidziany przez pana „Derblay“ urzeczywistnia się i staje się węzłem powieści czy dramatu. Jakim sposobem? Tym sposobem, że „Klara“ dostaje tyfusu; po przebyciu zaś téj niebezpiecznéj choroby przestaje kochać, jak gdyby ręką odjął, księcia „de Bligny“, a zakochuje się w panu „Derblay“. Dlaczego? To znowu sekret Ohnet'a. Najprawdopodobniéj dla tego, że inaczéj nie byłoby powieści ani dramatu. Powieść i dramat polegają właśnie na tém, że teraz oboje małżonkowie kochają się namiętnie, ale dzielą ich owe drzwi na klucz zamknięte w pamiętną noc ślubną. Oczywiście gdyby *on* obrócił klucz w zamku, albo gdyby *ona* zapukała do drzwi, rozdział wziąłby koniec. Ale tego oboje nie chcą. Czasem (zapewne w księżycowe nocy) zbliżają się oboje po kolei do fatalnego progu, ale duma powstrzymuje ich i wracają do samotnego a bezsennego łoża.

Tu więc tkwi *„l'idée maitresse de l'oeuvre“*, mówiąc językiem poważnych krytyków, których „odsetki autorskie“ pobierane przez szczęśliwego autora z kasy teatru „Gymnase“ i z kasy „Ollendorfa“ napełniły namaszczeniem; tu ujawnia się pomysł, któremu, w pojęciu zazdrosnych swych współzawodników, zawdzięczył młody pisarz kolosalne swe powodzenie. Jakoż pomysł to szczęśliwy bezsprzecznie; wypróbowany nawet, i dziwić się można, iż którykolwiek z owych zazdrosnych nie wyprzedził młodego pisarza w zużytkowaniu téj *trouvaille*—co, jako z wynalazkiem należącym od dość dawna do użytku publicznego, nie przedstawiało zbytecznéj trudności. Niemasz chyba paryżanina, któryby nie pamiętał, na scenie unieśmiertelnionéj przez tryumf „Pięknéj Heleny“, aktora Dupuis i aktorki Celiny Chaumont w jednoaktowéj farsie, p. t. „Les Sonnettes.“ Widzę jeszcze przed sobą teatr podzielony na dwie izdebki z drzwiami zamkniętemi na klucz pośrodku i rozdzieloną przez nie parę małżeńską. Dupuis w sięgającéj do pięt liberyi wykwintnego stangreta i Celina Chaumont w stroju eleganckiéj subretki byli wybornymi. Pamiętam także wesołego *titi*, na paradyzie, wołającego od czasu do czasu piskliwym falsetem: *„ouvrira!—ouvrira pas!“* Udział własnéj pomysłowości Ohnet'a polegać więc może tutaj jedynie na przeniesieniu gotowego pomysłu z farsy do powieści i do dramatu.

Tu i tam zresztą, w farsie i w dramacie, intryga rozwiązuje się przez ostateczne otworzenie drzwi. Tylko, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, na scenie teatru „Variétés“ zwycięstwo zostaje po stronie

niewieściéj. Przeciwnie zaś u Ohnet'a strona niewieścia kapituluje. Dumna „Klara“ zdobywa się na energiczne pukanie do drzwi, gdy zaś nieugięty „Właściciel Kuźnic“ czyni się głuchym, doprowadzona do rozpaczy „Klara“ wybija szybę w oknie: wypędza mianowicie w grubijański i skandaliczny sposób ze swojego domu księżnę „Athenais de Bligny.“ Jak należy rozumieć ten postępek? W świecie rzeczywistym, a nawet może w świecie starych idealistów, „Właściciel Kuźnic zrozumiał by go podobno w ten sposób, że dumna „Klara“ kocha więcéj niż kiedykolwiek księcia „de Bligny“, skoro maltretuje jego żonę, a chce się pozbyć swojego męża, skoro naraża go na mordercze spotkanie z obrażonym w osobie swéj małżonki księciem, który naturalnie, jak wszyscy idealni książęta, strzela jaskółki w lot z pistoletu. W osobnym świecie Ohnet'a inaczéj się rzeczy mają. „Właściciel Kuźnic“ bierze postępek pani „Derblay“ za dowód miłości dla siebie samego i rozczula się do tego stopnia tym dowodem, że przychodząc żegnać nazajutrz swą małżonkę, przed udaniem się na plac boju, obiecuje jéj prawie otworzenie drzwi za powrotem, jeżeli opatrzność pozwoli, aby wrócił żyw, — gwoli czemu zaleca jéj zaniesienie gorących modłów do Przedwiecznego. W każdym innym świecie znowu niż w świecie idealnym Ohnet'a, mąż, który idąc się strzelać, uznałby za stosowne oznajmiać o tém swojéj żonie, uszedłby za *cztery litery*. W świecie idealnym Ohnet'a p. „Derblay“ uchodzi za bohatera. Prawda, że nie domyśla się on tego, iż uprzedzona w ten sposób małżonka zechce wyręczyć opatrzność osobistą na placu boju interwencyą. Co dowodzi, że nie jest bardzo domyślnym. Może i ta interwencya, w téj formie, którą jéj przypisał autor nie byłaby możliwą w innym świecie. Albo może znowu uciec się wypada do tego wniosku, że książę de Bligny nie jest tym wytrawnym strzelcem, którym uczynił go autor, skoro zamiast czekać sposobniejszéj chwili, jak upoważniają go do tego warunki pojedynku, wybiera do pociągnięcia cyngla tę właśnie chwilę, w któréj, w miejscu nienawidzonego przeciwnika, piękna i ukochana „Klara“ staje przed nim, zasłaniając piersią swoją pierś męża, a zatykając ręką wylot jego pistoletu. Jakkolwiekbądź strzał książęcy zamiast ugodzić pana „Derblay“, ugadza białą rączkę jego żony i krwawą tą ofiarą ochroniony i przebłagany „Właściciel Kuźnic“ otwiera drzwi na oścież.

Mniemam zresztą, iż wszelki spór z autorem o logikę, konsekwencyą i sens jego pomysłów byłby w tym przypadku prostą naiwnością, skłaniam się bowiem osobiście do przypuszczenia, iż to, czemu zawdzięczył on powodzenie, to właśnie brak logiki, konsekwencyi i zdrowego sensu. Realistyczna i naturalistyczna szkoła nakarmiła i przekarmiła publiczność temi esencyonalnemi ale gryzą-

cemi przyprawami, i wysuszone jéj podniebienie zatęskniło do innego pokarmu. Co zaś stosuje się do założenia, treści i rozwiązania streszczonego dopiero co utworu, to stosuje się i do pojedynczych postaci w nim występujących. „Właściciel Kuźnic“ zaczyna od tego, że spotkawszy na swoim gruncie polującego margrabiego „de Beaulieu“, brata „Klary“, napastuje go w sposób dość brutalny, następnie zaś dowiedziawszy się z kim ma do czynienia, zamiast przedstawić mu się i naprawić błąd swój, zostawia mu w prezencie zabitą przez się zwierzynę, (któréj margrabia przyjąć naturalnie nie chce od nieznajomego) i ucieka. Czyli, że zamiast postąpić, jak przystało na dobrze wychowanego i rozsądnego człowieka, postępuje jak żak. I jak żak jeszcze zwierza się ze swéj miłości dla panny „Klary“, (którą spotkał w kościele! i wzorem wszystkich żaków obrzucił przez kilka niedziel płomiennemi spojrzeniami) przed przyjacielem swoim, rejentem „Bachelin.“ I jak żak zawsze, wiedząc o uczuciach panny Klary dla księcia „de Bligny“, o jéj uczuciach dla siebie samego, o jéj dumie, któréj dowodów nie szczędzi mu ona przy pierwszém spotkaniu, o wszystkiém co go od niéj oddalać powinno, upada jéj do nóg za pierwszem skinieniem i „radość nieskończona przenika jego duszę.“

„— Pragnę — odzywa się doń „Klara“—abyś dał pan do zrozumienia, że jesteśmy zaręczeni od kilku już dni. Nie potrzebuje tłómaczyć panu powodów, dla których uciekam się do tego podstępu. Duma moja dyktuje mi go. Musisz pan zresztą nie żywić żadnych złudzeń względem stanu mojego serca.... A teraz bądź pan łaskaw zostawić mnie samę, ale nie oddalaj się; mogę potrzebować pana.“

I radość nie przestaje przenikać jego duszy i nie waha się on iść do ołtarza z tą, która przyjęła w podobny sposób jego miłość i jego poświęcenie; ale zaledwie ślubna obrączka spoczęła na jego palcu, staje się cud: ten żak, ten niezgrabny, nieśmiały i niedorzeczny młodzieniec przemienia się w dojrzałego, wytrawnego i imponującego męża, o charakterze twardym, jak stal wyrabiana w jego Kuźnicach, w ideał męskiéj woli, siły i energii!

A „Klara“? „Klara“, która zaczyna od tego, że rzuca swój wieniec ślubny pod nogi biednéj Zuzannie, siostrze dopiero co poślubionego męża, proszącéj ją czułemi słowy o gałązkę kwiatu pomarańczowego:

„— Jeżeli te kwiaty przynoszą szczęście, nie potrzebuję ich. Oto są, weź je wszystkie!“

Która w godzinę późniéj rzuca znowu mężowi pod nogi swój posag—istniejący zresztą, jak wiadomo, jedynie w jéj własnéj, dziwnie nieoświeconéj wyobraźni.

— „Mój majątek należy do pana. Zostawiam go panu. Niech będzie on okupem mojéj wolności!“

Zkąd biorą się u niéj późniéj delikatne uczucia i wzniosłe poświęcenia? Jużci nie z praw logiki i naturalnéj konsekwencyi. Świat to osobny, absolutnie a w dodatku dziwacznie idealny—ale powitany bądź co bądź z entuzyazmem, mimo swej dziwaczności, mimo pospolitości tego, co w nim jest starém, a niedorzeczności tego, co jest nowém, mimo nie okupującego wreszcie tych niedostatków, zdumiewającego owszem ubóstwa formy. Na 253-éj stronie książki przygnębiony dotąd i wysokie barki pokornie pochylający „Właściciel Kuźnic“ (ob. s. 64), *wyprostowywa* swą kolosalnych niebawem rozmiarów sięgającą postać; i to powodzeniem uwieńczone ćwiczenie gimnastyczne przypada mu tak dalece do smaku, że powtarza on je odtąd przy każdéj sposobności; *i prostuje* się tedy na stronie 259 i jeszcze raz na stronie 284 i znowu, po raz niewiem już który, na stronie 451, co autor wyraża, przez wracający za każdym razem frazes: „*Le Maître des Forges dressant sa haute taille*“... Aliści na stronie 390-éj, zachęcona przykładem „Klara“, bierze się do naśladowania męża, i od téj chwili prostują się już oboje, na wyścigi, przy każdym zawrocie kartki.

Tu więc znowu, w formie, którą przybiera jego natchnienie, tak samo jak w jego treści, uchyla się nasz idealista od wszelkiéj dyskusyi. Nie dyskutuje się z takiemi biedotami. I to właśnie odsądza, w mojém pojęciu, od wszelkiéj doniosłości ten czysto sporadyczny przejaw spółczesnéj powieściowéj i artystycznéj wogóle twórczości, którego zresztą niezaprzeczenie autor „Sergiusza Panina,“ „Hrabiny Sary“ i „Właściciela Kuźnic“ pozostaje najwybitniejszém uosobieniem. Dla udzielenia temu kierunkowi reakcyjnemu sięgającéj po za chwilowy kaprys trwałości i na dalszy rozwój artystycznego życia wpływ swój wywrzéć mogącego znaczenia, trzebaby przedewszystkiém artysty, artysty, któryby się zespolił z tym kierunkiem, i potęgą talentu zespolić z nim potrafił smak i instynkt ogółu. Owóż artysty takiego brakuje dotąd i brakować podobno będzie. Ohnet może być jeszcze raz wtóry, trzeci i dziesiąty szczęśliwym *producentem*, mistrzem w swojém rzemiośle—które to rzemiosło polega na przemyślném eksploatowaniu natrafionéj pomyślnéj weny — ale mistrzem w sztuce nie pokazał się on ani tu, ani w téj lichéj ramocie, któréj polski książe (*sic*!) „Sergiusz Panin“ jest bohaterem, (a w któréj to chyba znaleźć można nowego, że włoski mistrz Ghirlandajo, którego mieliśmy dotąd za malarza, był rzeźbiarzem, skoro wyrzeźbił wschody wspaniałego pałacu pani Devaresnes), ani gdzieindziéj.

O przyszłości, któréj razem z nim wyglądać może wskrzeszony przezeń rodzaj, dał nam Ohnet sam wyobrażenie, pisząc po „Właści-

cielu Kuźnic“ swoję „*La Grande Marnière*“—i przepisując w niéj „Właściciela Kuźnic“. Bohater nowéj powieści, „Pascal Carvajan“ jest wprawdzie adwokatem, ale gdyby nie ten szczegół, przysiądz by można, że się ma przed sobą „Filipa Derblay“, patrząc jak uniża on zrazu plebejuszowską swoję godność przed arystokratycznemi wdziękami panny „de Clairefont,“ a prostuje ją następnie aż pod obłoki. A już co się tyczy panny „de Clairefont“, nie może być wątpliwości, to Klara de Beaulieu pod inném nazwiskiem:

— Jestem Pascal Carvajan, oświadcza spotkany na drodze przez zabłąkaną amazonkę i o drogę a późniéj o nazwisko zapytany młodzieniec. Za przykładem Oktawiusza Feuillet, Jerzy Ohnet nie umie wyobrazić sobie swych bohaterek inaczéj jak w konnym stroju.

„Zaledwie usłyszała panna „de Clairefont“ to nazwisko, twarz jéj przybrała wyraz niezmiernéj wyniosłości, oczy uzbroiły się w surowe i twarde spojrzenie, uśmiech pogardy przeleciał przez usta, i tnąc powietrze szpicrutą, jak gdyby dla ustawienia między nią a nim wyraźnéj i nieprzebytéj przegrody, przywołała swojego psa, puściła konia kłusem i oddaliła się, nie odwracając głowy.“

To dzieje się na 11 éj stronie książki. Przechodzę od razu do 452-éj. W ciągu 441 poprzedzających stron, Pascal Carvajan *wyprostował się*, ocalił rodzinę panny „de Clairefont“ od ruiny, jéj brata od niesławy i, dokonawszy tych wszystkich prac Herkulesowych, wybiera się opuścić okolicę w któréj mieszka piękna i wszystkiemi siłami duszy ukochana, ale dumna i pogardliwa „Antonina de Clairefont.“ Żegna się przeto ze swoim przyjacielem i powiernikiem, rejentem „Bachelin“ — nie przepraszam, tym razem przyjaciel rejent nazywa się „Malézeau“—gdy przychodzą oznajmić mu, iż nieznajoma dama pragnie widziéć się z nim.

Tak jak w „*Le roman d'un jeune homme pauvre*,“ mówiąc nawiasem, i tak jak w „*L'abbé Constantin*,“ i tak jak gdzieindziéj jeszcze, w tych samych idealistycznych okolicach.

Damą nieznajomą jest naturalnie dumna i pogardliwa „Antonina de Clairefont,“ która, stanąwszy przed zdumionym, jak przystało, młodzieńcem, mówi doń:

„Poświęciłeś pan kiedyś dla mnie teraźniejszość swoję i przyszłość; dałeś całe życie twoje. Czy chcesz w zamian przyjąć ofiarę mojego życia?“

I Numa idzie za Pompiliusza i powieść się kończy i można bez wielkiego wysiłku wyobraźni napisać dziesiątki powieści na tym samym osnutych temacie, i ten rodzaj kompozyci zakreśla, jak sądzę, granice, z których nie wyjdzie spółczesny neo-idealizm. Zacząwszy od przepisywania Juliusza Sandeau i Oktawiusza Feuillet, skończy on na przepisywaniu samego siebie. *Kazimierz Waliszewski.*



WRAŻENIA LITERACKIE.

— **Źródła dziejowe.** Tomy XIV i XV. Polska w XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym opisana przez Adolfa Pawińskiego. Tomy III i IV: Małopolska. (Warszawa, 1886, skład w księgarni Gebethnera i Wolffa, cena każdego tomu rs. 2 kop. 50). Podjęte przed wielu laty przez p. Pawińskiego wydawnictwo, którego tytuł przytoczyliśmy, a które szanowny profesor prowadzi z wytrwałością godną podziwienia,—zbyt mało jest rozpowszechnione wśród publiczności; powiadamy: zbyt mało, — bo treść pomieszczanych w tém wydawnictwie pomników historycznych wielce jest zajmującą. Przedstawiwszy w dwóch poprzednich tomach obraz geograficzno-statystyczny prowincyi Wielkopolskiéj w XVI wieku, obecnie daje nam p. Pawiński odpowiedni obraz Małopolski czyli trzech województw: krakowskiego, sandomierskiego i lubelskiego, w epoce początków panowania Stefana Batorego. Przedstawienie rzeczy wysnute jest ze źródła urzędowego, bo z rejestrów poborowych. W każdém województwie idą z kolei składające je powiaty, rozpadające się na parafie, zwane w krakowskiém „farami,“ a w parafiach wymienione są wsi, ich właściciele, liczba gospodarzy rolnych, przestrzeń gruntów, ilość ogrodników, komorników, rzemieślników itd. Osobno zgrupowane są miasta z ich ludnością i uiszczanemi ciężarami podatkowemi. Wiadomości o województwie krakowskiém odnoszą się do r. 1581, o sandomierskiém do lat 1569—1583, o lubelskiém do 1531. Dla umożliwienia badań porównawczych p. Pawiński dołączył rejestry z dat innych, a w przypiskach daje wiadomości o zmianach, jakie w późniejszych czasach zaszły co do niektórych szczegółów, mianowicie o nowopowstałych wsiach, parafiach, zaliczeniu ich do innego powiatu itd. Wykazy abecadłowe właścicieli ziemskich spo-

rządzone na podstawie rejestrów skarbowych z lat rozmaitych, ale zawsze z XVI wieku, i spis wsi, zamieszkałych całkowicie lub częściowo przez szlachtę zagrodową, uzupełniają tę poważną pracę, skorowidz zaś miejscowości ułatwia korzystanie ze skupionego tu skrzętnie materyału. Wydawca obok nazwy, znajdującéj się w rejestrach skarbowych, zamieszcza częstokroć w nawiasach nazwę wsi dzisiejszą, jeśli między pierwszą a drugą zaszła znaczna różnica, albo jeżeli rodzić się może pod tym względem jaka wątpliwość. Pozwolimy tu sobie przedstawić kilka dorywczych spostrzeżeń. Wieś nazwana *Sulikowice* w parafii Szreniawa powiecie Proszowskim (str. 26), będzie zapewne tém samém co dzisiejsze *Sulisławice*; o wsi figurującéj w powiecie Wiślickim parafii Szydłów, pod nazwiskiem *Zyznowa Wolya* (str. 224), mniemam, że teraz zowie się ona *Czyżowa wola*; przy dwóch wsiach w parafii Padłów, tegoż powiatu, mianowicie *Milonin* i *Drohecz*, wydawca wyraził wątpliwość przez postawienie znaków zapytania (str. 235), które są zbyteczne, istnieje bowiem *Miłonin* nad rzeką Brenką, a *Zdrohec* jest na lewym brzegu Dunajca, koło Zabawy. Podobnież możnaby usunąć pytajnik przy wsi *Wolia Thessarowa* w powiecie Chęcińskim (str. 272), mapa bowiem sztabu podaje ją pod tak samo niemal brzmiącą nazwą *Teserowa wola*; zaopatrzony także pytajnikiem *Przibradow* (str. 274) jest to dzisiejszy *Przygradów* koło Zakrzewa. Wieś *Bobrowniki* w tymże powiecie objaśniono jako *Bobrownicką Wolę*, które to objaśnienie powtórzono jeszcze niżéj, i tym razem słusznie, przy następnéj wsi *Wolia* (str. 274); według powołanéj już mapy, Bobrowniki istnieją dotąd pod pierwotną swą nazwą a leżą nad brzegiem Pilicy. Wieś *Wolica* w powiecie Lubelskim, którą utożsamiono z *Wolą Przybysławską* (str. 359), słuszniéj pono uznać za *Wolicę*, na północ Kurowa, na drodze do Michowa. Na str. 286 wpadła nam w oko omyłka druku: *Gossna*, winno być *Gossan*.—Prof. Pawiński, według chwalebnego swego zwyczaju, dołączył i tym razem obszerną (stron 112) rozprawę, zawierającą wyniki szczegółowych jego studyów nad ogłoszonym w tych dwóch tomach materyałem. Rzecz podzielona jest na trzy części. W pierwszéj autor mieści swe obliczenia rozległości powiatów i województw i zestawia je z dawniejszemi obrachowaniami; w drugiéj zajmuje się zaludnieniem téj części kraju; w trzeciéj wreszcie, najciekawszéj, roztrząsa „stosunki własności ziemskiéj,“ rozpatrując kolejno: dobra królewskie, dobra duchowne, wielką i średnią własność szlachecką, nakoniec drobne gospodarstwa szlachty zagrodowéj, na któréj ukształtowanie podaje własne swoje poglądy. Ta mianowicie część godna jest szczegółowego rozbioru, nie wątpimy téż, że specyaliści nie pominą milczeniem téj tak ważnéj pracy.

═ Profesor Władysław Łuszczkiewicz, pierwszy i jedyny, zdaje się, z pomiędzy naszych techników pracownik na polu dziejów polskiego budownictwa, ogłosił niedawno nową pracę p. n. „**Ruina Bohojawleńskiéj cerkwi** w zamku Ostrogskim na Wołyniu. Przyczynek do dziejów architektury z początku XVI wieku,“ objaśniając wykład swój 13-ma drzeworytami. Podjęcie téj pracy, połączonéj z czysto lokalnemi i nie napotykanemi w innych krajach przeszkodami, tém bardziéj było naglące, że gmach, o którym tu mowa, ma być wkrótce odbudowanym, przyczém liczne cechy wpływów sztuki zachodniéj ulegną bezwątpienia zagładzie. Robotę już rozpoczęto: jedna ze ścian została zburzoną. Świątynia ta, wzniesiona w r. 1521 przez słynnego Konstantyna księcia Ostrogskiego, była zajmującym okazem wzajemnego oddziaływania na się pomysłów stylu gotyckiego i bizantyńskiego. Świątynia wyróżniała się od innych tém, że była *inkasztelowana*: ściana jéj północna stanowiła zarazem zewnętrzny mur obronny zamku i odpowiednio temu fortecznemu charakterowi, miała zamiast okien strzelnice a od góry zaopatrzona była na zewnątrz w galeryą dla przepatrującéj okolicę straży,—rzecz niezbędna w okolicy wystawionéj na nieustające najazdy tatarskie. Prof. Łuszczkiewicz zwraca uwagę na jednę osobliwą okoliczność: na niezwykłą wysokość progu w portalu głównym (zachodnim), tak iż dochodzić doń można było chyba po pomoście, zarówno z podwórca zamkowego, jak i zwnętrza budynku. Autor nie objaśnia téj osobliwości architektonicznéj, stawia tylko pytanie: „czy pomost ten nie stoi w związku z mostem zamkowym,“ wprost niego prawie znajdującym się. Bacząc na to, że portal, boczny w ścianie południowéj miał prawdopodobnie próg równie wysoki, jak wnosić można z nagłego załamania i obniżenia linii cokułowéj przy drugiéj skarpie po lewéj ręce (fig. 1), widocznie dla tego, aby wyminąć otwór drzwi;—że okna okrągłe w ścianach, przez które wejść można było do gmachu, były pewnie przeznaczone na strzelnice, broniące właśnie tych wejść, możemy i w nadmierném wyniesieniu progów dopatrywać zamiaru wzmocnienia obronności budynku: w razie wdarcia się nieprzyjaciela na dziedziniec zamkowy, służyłby on załodze za cytadelę, w któréj, po usunięciu ruchomych schodków drewnianych, bronić by się daléj mogła z za wysokiego progu, niby z poza „kobylenia.“ Praca prof. Łuszczkiewicza, napisana bardzo jasno i ilustrowana dobremi rysunkami, dla ziemian Wołyńskich szczególniéj winna być zajmującą lekturą.

═ Dziejom podobnież sztuki w dawnéj Rzeczypospolitéj poświęcone jest studyum prof. Maryana Sokołowskiego p. tyt. **Malarstwo ruskie**. Pobudkę do niego dała przeszłoroczna wystawa arche

ologiczna we Lwowie. Autor, wsparty obszernym aparatem erudycyi, naczele charakteryzuje sztukę bizantyńską, z której się urodziło malarstwo na Rusi, zaznacza jego początki i kierunki późniejszego rozwoju. Następnie zastanawia się nad zabytkami sztuki ruskiéj i wogóle wschodniéj w Polsce za Jagiełły i jego następców. Obszerny ustęp zajęło przedstawienie dzieła malarzy ruskich a rodzaj litewskich w kaplicy przy katedrze na Wawelu, uskutecznionego w główněj części z rozkazu Kazimierza Jagiellończyka. Od malarstwa ściennego północnego, któremu dał początek Kijów, a dalszy rozwój wiodły wzory niemieckie, p. Sokołowski przechodzi do malarstwa na drzewie, wskazując kolebkę onego na południu, na Rusi Czerwonéj, z któréj wyszedłszy, kształciło się późniéj pod wpływem Polski, Wołoszczyzny i Węgier. Wystawa Lwowska dała autorowi sposobność do wielu ciekawych spostrzeżeń i wniosków. Do tekstu dołączono pięć wielkich tablic fotodrukowych. Najmiléj w oko wpada wyobrażenie ikonostasu z Rohatyna, wykonanego z wielkim smakiem,—najbardziéj zaś uderza swą oryginalnością obraz sądu ostatecznego, znajdujący się w Rozdole. Niemowlęctwo w kompozycyi godzi się tu z pewnym sprytem w rozmieszczeniu nader licznych szczegółów, które malarz uważał za niezbędne; poradził sobie w ten sposób, że zamiast perspektywy, przyjął, że tak powiem, geometryczno-piętrowy układ epizodów. Pan Sokołowski, dbały zawsze w pracach swoich o pewien wykwint pisarski, nie zaniedbał go i w téj pracy. Możemy ją miłośnikom sztuki śmiało zalecić.

= **Lisiewicz Zygmunt**. *Język urzędowy na Rusi Czerwonéj między r. 1340 a 1506*. (Lwów, 1886). Jestto ciekawe zestawienie statystyczne, wykazujące jakiego języka używano w aktach urzędowych wydawanych na i dla Rusi Czerwonéj przez ciąg wieków średnich, począwszy od przyłączenia jéj do Polski, za Kazimierza Wielkiego. Z pomiędzy przeszło 2000 znanych nam dyplomatów, z tego czasu pochodzących, tylko 47 pisanych było po rusku, inne zaś w małéj części po niemiecku, a reszta po łacinie. Ostatni, znany dokument, pisany po rusku, pochodzi z r. 1430, odtąd, aż do r. 1506 nie spotykamy już tego języka w dyplomatach. Z pomiędzy wspomnianych 47 dokumentów ruskich, pochodzi 25 od panujących, a to: od Kazimierza Wielkiego 2, od Władysława Opolskiego 2, od Władysława Jagiełły 9, od ks. Fedora Lubartowicza 9 i ks. Świdrygiełły 3. Inne dokumenta wychodzą bądźto od osób prywatnych, bądź też od urzędników na Rusi Czerwonéj; pewna ich część jednak nie dochowała się nam w oryginale, wiemy tylko, że istniały niegdyś w języku ruskim, późniéj jednak, na żądanie stron przełożone na język łaciński, zachowały się nam w tekście łacińskim w potwierdzeniach królew-

skich. Z aktów sądowych województwa ruskiego, przechowujących się we Lwowie, a obejmujących setki tysięcy zapisek, widać również wyłączne niemal panowanie łaciny; autor znalazł w nich nie więcéj jak dwie zapiski skreślone w języku ruskim. Przy końcu swéj pracy podaje autor spis dyplomatów odnoszących się do dziejów Rusi Czerwonéj, zredagowanych w języku ruskim; nie umiemy tylko wytłómaczyć sobie, dla czego w spisie tym pomieścił także dyplomata wojewodów mołdawskich „i niektóre inne w języku ruskim pisane," pomimo, że jak sam zaznacza nie mają one nic wspólnego z kwestyą urzędowego języka na Rusi Czerwonéj. Przecież nie „dla kompletu" jak się wyraża, będzie mu bowiem niezawodnie najlepiéj wiadomo, że spis kilkudziesięciu dyplomatów nie wyczerpuje „kompletu" ruskich (w ogóle) dokumentów. Spotykamy też pewną trudność arytmetyczną: Według twierdzeń autora i według spisu przy końcu pracy zamieszczonego znanych mu dyplomatów czerwonoruskich, po rusku pisanych jest 47. Z tych przypada według obliczenia jego 25 na dyplomata wydane przez panujących, reszta pochodzi od urzędników i osób prywatnych, i to, jak oblicza: 10 z powiatu żydaczowskiego, 6 z ziemi halickiéj, 7 z ziemi lwowskej 1 z ziemi przemyskiéj, razem 24, co wespół z wspomnianymi 25 dokumentami czyniłoby liczbę 49, a nie 47. Czego pracy téj przedewszystkiém nie dostaje, to wyjaśnienia kwestyi, którą autor, jeżeli nie rozwiązać, to przynajmniéj poruszyć był powinien: kiedy i pod jakiemi warunkami używano języka ruskiego w pismach urzędowych. Gdy bowiem już od chwili przyłączenia Rusi Czerwonéj do Polski język łaciński był tam w używaniu, obok tego zaś pojawiają się jeszcze przez pewien czas wyjątkowo dokumenta ruskie, przeto zachodzi pytanie, jaki był powód téj rozmaitości języka urzędowego, czy istniały pewne wypadki, w których tego a nie innego wolno było używać języka? Być może, iż było to pozostawioném dowolności wystawiających dokument, w każdym razie jednak należało okoliczność tę stwierdzić. W końcu jedna jeszcze uwaga. W konkluzyach swojego badania wywodzi autor, że między rokiem 1340 a 1430 używano ruszczyzny obok łaciny, odtąd zaś wyłącznie łaciny w aktach urzędowych. Zdaje nam się, że oznaczenie takiéj ścisłéj, datą roku (1430) określonéj granicy jest cokolwiek za śmiałe; wprawdzie ostatni znany dokument ruski pochodzi z roku 1430, ale któż wie, czy podobne dokumenta nie były wystawiane i później, choć się nie dochowały do naszych czasów. Sam autor przyznaje, że wiele ich mogło zaginąć; czyż nie jest możliwym wypadek, że zatraciły się dokumenta z datą późniejszą? Rok 1430 nie ma w dziejach Rusi Czerwonéj takiego znaczenia, iżby stanowić mógł epokę dla jéj urzędowego języka; jeżliby cho-

dziło o wynalezienie takiego roku, sądzimy, że więcéj odpowiadałby tu rok 1435, w którym opierając się na przyrzeczeniu statutu jedlneńskiego z r. 1433, wprowadzono tamże organizacyą prawa polskiego.

= **Paul Viollet. Précis de l'histoire du droit Français.** *Paris 1886.* Jedna z bardzo do niedawnych czasów zaniedbywanych nauk, a które w świetny obecnie zaczynają rozwijać się sposób, jest historya prawa francuskiego. Jak wiadomo uprawiano we Francyi nauki prawnicze głównie ze stanowiska praktycznego. Ztąd mniéj zwracano uwagi na prawo rzymskie i kanoniczne, a cały punkt ciężkości przenoszono na rozległe i bardzo szczegółowe komentowanie obowiązujących ustaw. Żadna téż literatura nie wydała tyle, tak obszernych i tak drobiazgowych komentarzy, jak francuska. Spostrzeżono niebawem, że tak daleko posunięta jednostronność, złe bardzo wydaje owoce. Nauka prawa zaczęła w porównaniu z Niemcami i Belgią bardzo we Francyi upadać, ztąd ucierpiało i nowsze ustawodawstwo, a gdy się obejrzano za przyczynami tego upadku, przekonano się, że głównym złego powodem jest wadliwy ustrój wydziałów prawa. Głównie za wpływem ministra oświaty p. Wiktora Duruy (1863—1869) nastąpiły pierwsze usiłowania reformy, przyznano prawu rzymskiemu i dawnemu francuskiemu, przynależne wśród innych dyscyplin miejsce. Wśród zmienionych w ten sposób stosunków, można się było spodziewać, że Klimrath, Lafferière, Giraud, de Rozière, godnych znajdą niebawem następców lub towarzyszy. W jednym tylko zakładzie naukowym wykładano historyą prawa francuskiego w sposób umiejętny. Zakładem tém była l'Ecole des Chartes, a profesorem p. Adolf Tardif. Znakomitemu temu uczonemu przypada w znacznéj części zasługa, wyrobienia wszystkich niemal obecnie na tém polu pracujących badaczy. Gdy tak stała się historya prawa ojczystego przedmiotem obowiązkowym, niezbędném było dostarczenie młodzieży uniwersyteckiéj podręczników, z którychby się mogła do egzaminu przygotowywać. Dawniejsze tego przeznaczenia książki były albo za obszerne, albo bez żadnéj wartości. Kilku profesorów, mianowicie pp. Gautier, Gasćtat i Ginoulhiac prawie równocześnie wydali podręczniki zastosowane do programów rządowych. Z tych doczekała się już książka p. Gautier drugiego wydania. Wszystkim trzem tym dziełom nie brak pewnych zalet, ale są to ostatecznie tylko książki szkolne, nie mogące mieć pretensyi do ścisłéj naukowości, a więc dla zagranicy prawie bez znaczenia. Innego wcale zakroju jest dzieło p. Pawła Viollet, bibliotekarza fakultetu prawnego w Paryżu. Uczony ten znanym już był we Francyi od lat prawie dwudziestu, a pierwszą jego pracą, która mu zapewniła sławę i w Europie, była ogłoszona

w *Bibliothéque de l'Ecole des Chartes* rozprawa: „Caractère collectif des premières proprietés immobiliéres.“ Praca ta pojawiła się w tym samym zupełnie czasie, co słynne dzieło Laveleya o własności i niezależnie od niego do tych samych przeważnie dochodziła rezultatów. Zwracamy nawiasowo uwagę, że wspomniana rozprawa p. Viollet ukazała się w tłómaczeniu rosyjskiém w r. 1882. Główném jednakże, pomnikowém dziełem naszego autora miało być pierwsze umiejętnie dokonane wydanie jednego z najdawniejszych pomników prawa zwyczajowego we Francyi, znanego jako „les Etablissements de Saint Louis.“ Wielkiemi funduszami rozporządzające towarzystwo historyczne francuskie (*Societé de l'histoire de France*) podjęło to zadanie i dostarczyło potrzebnych p. Viollet środków do odbycia bardzo licznych podróży za rozmaitemi pomnika tego rękopismami. Trzy grube tomy téj publikacyi pojawiły się już do r. 1883, ostatni ma się niebawem ukazać. Zbrojny materyałem źródłowym i rękopiśmiennym, zebranym w jak najskrzętniejszy sposób, mógł p. Viollet całkiém stanowczo wypowiedziéć swe zdanie o publikowanym przez siebie pomniku. Uważa on go za pracę prywatną, a nie za dokonaną przez Ludwika IX kodyfikacyą. Olbrzymia przy téj sposobności roztoczona erudycya, zmysł krytyczny i niesłychana dokładność wydawnicza zjednały p. Viollet zasłużoną sławę. Stanął on odrazu w rzędzie takich znakomitości jak pp. Tardif i de Rosière. Ale wydania i objaśnienia dawnych źródeł prawnych małemu gronu uczonych są zazwyczaj tylko znane; inna książka miała p. Viollet uczynić bardziéj znanym niż wszystkie poprzednie. W r. 1884 wyszła pierwsza część jego historyi prawa francuskiego, zajmująca się prawie wyłącznie źródłami. Ktokolwiek ją wziął do ręki, poznawał, że to nie lada podręcznik, nie mniéj lub więcéj udatna kompilacya, ale dzieło na wskróś oryginalne, pierwszorzędnéj wartości. Tego zdania była zwłaszcza Akademia napisów, która przyznała p. Viollet już za tę pierwszą część wielką nagrodę Goberta. W dwa lata późniéj pojawiła się i część druga poświęcona historyi prawa prywatnego; historya prawa publicznego jest zapowiedzianą. Całość dzieli się na trzy księgi; pierwsza zajmuje się źródłami i to 1) prawa galickiego, 2) rzymskiego, 3) kanonicznego, 4) germańskiego, 5) francuskiego; druga poświęcona jest osobom, a to najprzód kwestyi stanu osób, a daléj stosunkom rodzinnym; trzecia traktuje o rzeczach i obligacyach. Główne zalety książki p. Viollet stanowią: jasny wykład, panowanie nad przedmiotem, dokładna znajomość literatury francuskiéj i obcéj. Jest to niezawodnie najlepszy podręcznik do historyi prawa w całéj europejskiéj literaturze. Aby dać przykład oczytania autora, powiemy tylko, że w jednym pojedyńczym wypadku cytuje

on kodeks Dyplomatyczny Wielkopolski. Rozumie się samo przez się, że literatura niemiecka jest mu niegorzéj znana, jak np. p. Brunnerowi, profesorowi prawa niemieckiego w Berlinie, a w czém bardzo nad Niemcami góruje, to, że równie dobrze mu jest wiadomą literatura angielska, włoska i hiszpańska. *Précis* p. Viollet jest nietylko wykładem historyi prawa francuskiego, ale równocześnie niezmiernéj wartości przewodnikiem bibliograficznym do historyi prawa w ogólności. Oczekując z upragnieniem zapowiedzianego tomu drugiego, polecamy gorąco książkę francuskiego prawnika, jako jeden z najcelniejszych tworów literackich w dziedzinie historyi prawa; powinna ona zastąpić zbyt u nas czytane podręczniki niemieckie, z których żaden nie może się mierzyć ze znakomitem dziełem pana Viollet.

B.

= **Illa** *przez Kazimierza Przerwę.* (*Kraków, Nakł. Żupańskiego i Heumana. 1886, str. 49*).—Jest-to dość udatne naśladowanie Anhellego pod względem stylu i tonu. W fantazyjnych dziejach Gryfa, Sokoła i Illy (gwiazdy przewodniéj kraju) podaje autor w słowach pełnych prostoty i melancholii rady narodowi, żeby kochał, ufał, miał wytrwanie i unikał stronnictw. Uczucia przebijające się w tym utworze są szlachetne i piękne; myśli, lubo nie nowe, mogą i powinny być przypominane. Wadą téj „fantazyi“ jest jéj ogólnikowość co do treści, a dobrze zapóźniony romantyzm co do formy. Dziś chcąc przemówić do ogółu, potrzeba i wyraźniéj i realniéj zarówno zastanawiać się nad rzeczami, jak nienmiéj przedstawiać je czytelnikom. Że autor pragnie krzepić siły ufnością i nadzieją, to pochwalić tylko można, że chciałby widzieć wszystkie klasy zjednoczone w dążeniu i pracy, to również w zasadzie dobrą jest rzeczą; ale że marzycielskim tonem przemawia, to mu może mniejszą liczbę słuchaczów zjednać.

= Wydawnictwo **Słownika Geograficznego** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, prowadzone pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego* posuwa się naprzód bez przerwy. Niedawno wyszedł już zeszyt 81 (od str. 641 do 720). Obszerniejsze artykuły w tym zeszycie są: Ostr, Ostra, Ostrawa, Ostród, Ostróg, Ostrołęka, Ostroróg, Ostrów i t. d.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Jeszcze o polityce pruskiéj. — Złudzenia poetów co do naszéj wartości. — „Nasza wina“ w Poznańskiém.—Nieopatrzność po wsiach i w Warszawie.—Nawet emeryci!—Projekty zniesienia adwokatów prywatnych. — Pieniactwo na prowincyi. — Pokątni doradcy.— Wstręt do prowincyi w lekarzach i adwokatach. — Skutki tego. — Adwokatura prywatna ostatnią tamą. — Prospekt „Głosu“ i jego przewodnie hasło. — Twierdzenie p. Popławskiego.—Zdanie pani Konopnickiéj.—Piękność stylu p. Potockiego.—„Przegląd literacki.“ Poważna krytyka.

Zanim doszedłeś, czytelniku, do niniejszéj kroniki musiałeś już czytać artykuł o „Pruskiéj polityce wydalań i wywłaszczania.“ Jeżeliś tego nie zrobił, to cofnij się. Pierwszeństwo należy oddać gruntownemu omówieniu kwestyi, bezpośrednio dotyczącéj bytu naszego. Pragnę przytém zwrócić uwagę na niektóre zawarte tam twierdzenia i wskazane fakty: „Komisya (kolonizacyjna) kupiła już kilka znakomitych majątków po bajecznie niskiéj cenie, a stosunki naszych ziemian są w dwu trzecich tak rozpaczliwe, że, tąż samą drogą postępując, komisya zakupi tyle dóbr, ile sama zechce.“ Za gorsze jeszcze uważa autor, że o ile materyalnie dojrzeliśmy do ruiny, do tego, aby pochłonął nas obcy żywioł, o tyle téż pod względem *intelektualnym*, pod względem *energii ducha* i możności obmyślania czynnego odporu, zaskoczyła nas takowa zupełnie nieprzygotowanych. „Ztąd ów ogólny popłoch i dobrowolne chęci ustępowania z ojczystéj gleby, ztąd owa bezradność co do środków ratowania się z toni.“

Rzeczywiście to gorsze. Czém zajęta była myśl, czém zapełnione uczucia, jeżeli dosyć czujnéj uwagi nie zwrócono na laboratoryum pruskie, już od tylu lat bezustannie kujące środki zagłady? Trudno było przypuszczać, że się przemoc tak daleko posunie, to prawda, ale należało być przygotowanym na wszystko. Dziś panuje bezradność, apatya zamiast obrony; bezmyślne trwonienie czasu zamiast skupiania środków bytu na niepewne jutro! Oto do czegośmy doszli. Więc

hymny i opowieści poetów o patryotyzmie, co się złamać nie pozwoli, co się wyczerpać nie da, były tylko złudną fantazyą! Pieścili oni marzenia dzieciństwa naszego zapewnieniami, że są ludzie, co wstając i kładąc się, w chwilach smutku i wśród uniesień radości, myślą tylko o jedném, a tymczasem tu i tam — wszędzie widzi się, jak pod falami obcego życia ustępuje hart naszéj wytrwałości. Entuzyazm, co się rozpala w jednéj chwili i gotów jest do ofiar najwyższych, a zaraz późniéj gaśnie, jak pękająca w powietrzu rakieta, nie stanowi siły żywotnéj. Hucząca kaskada toruje czasem drogę, przerzuca wodę z jednego łożyska do drugiego, ale i ona jednym rzutem wszystkiego nie dokona i ona musi długo rzucać się i zdruzgotać. Gdy zaś trzeba wykonać mozolną pracę, lub przenieść ruch na dalszą przestrzeń, wtedy konieczny jest jednostajny, nieustający nigdy prąd.

Z klęskami naszemi w Prusach stanie się prawdopodobnie toż samo, co z oceną wypadków z końca wieku zeszłego. W pierwszéj chwili wyrwą się przekleństwa i złorzeczenia na wroga, późniéj trzeba się uderzyć w piersi i zawołać „moja wina.“ Nie usprawiedliwia to bynajmniéj gwałtu, że został dokonanym na bezbronnym, nie może i nie powinno zmienić uczuć naszych dla ks. Bismarcka, ale oto znowu okazuje się, żeśmy po szkodzie równie niemądrzy, jak przed szkodą, że jeszcze raz sami sobie przypisać musimy klęski. Powinniśmy byli wiedziéć dobrze, że oszczędzać nas nikt nie będzie, że liczyć na obronę praw istniejących znaczy to samo, co wierzyć w trwałość chmur na niebie. Chcąc istnieć tam, gdzie dotąd tryumfy walki otacza uwielbienie świata, trzeba być zabezpieczonym od ciosów ze wszystkich stron; zapomnienie o tém na chwilę odsłania nieprzyjacielowi nagie ciało.

Choćby dziś, po wielu latach opuszczenia rąk, ocknęły się w Poznańskiém gorące uczucia, choćby za jakąkolwiek ofiarę chciano ocalić byt narodowy — cóż z tego? W tym razie wszelkie poświęcenie szczupły tylko plon przynieść może. Tu trzeba środków materyalnych, a tych na zawołanie nie ma.

A teraz, czy smutne doświadczenie w Poznańskiém wpłynie w czémkolwiek na życie nasze? Sądząc z wczoraj o jutrze, odpowiedź niestety przeczącą dać potrzeba. Ogół nie został zdaje się jeszcze przekonany, iż dla usunięcia bankrutów znajdą się zawsze chętni uzurpatorzy. Posiadanie chleba na dzień dzisiejszy jedynie, to wstęp do nędzy. Chociażby nawet ona nie nadeszła, to skądże wziąć na niesienie pomocy innym potrzebującym. Wprowadzenie do życia u nas zasad szkoły Anthystenesa, gdyby było tylko możliwe, byłoby bardzo pożądane. Tam gdzie niewiadomo, co jutro od ludzi zażąda, należy ograniczać o ile tylko można, aby nie być nie-

wolnikiem żadnego przyzwyczajenia i módz z sobą zrobić wszystko, czego dobro ogólne zapotrzebuje.

Życie nad stan i nieopatrzność przypisują zwykle jedynie lub przedewszystkiém szlachcie, rolnikom: tymczasem, zdaje się, że żadna cząstka narodu od wady téj wolną nie jest. W Warszawie ludzie potrafią zupełnie tak samo całe życie stać nad krawędzią ruiny, jak na wsi. Świeżo sądom oddaną została sprawa jakiejś lichwiarki z ulicy Kościelnéj, która pożyczała na książeczki emerytalne. Jeżeli ludzie starzy, mający z miesiąca na miesiąc stałą sumkę, znający życie, nasyceni niém, wolni od różnych pokus młodości nie potrafią zachować równowagi, to czegoż można wymagać od innych! Może się zdarzyć wypadek, że nadzwyczajne katastrofy oddadzą kogoś bez winy w ręce lichwiarzy, ale tu wiele książeczek pozostawało w zastawie, a przytém sam fakt nie jest wcale pierwszy.

Wykorzenienie wady, która przez wiele pokoleń wrastała w charakter narodu, nie da się uskutecznić za jednym zamachem. Ludzie tacy nawet, którzy widzą doskonale złe i boleją nad skutkami jego, nie potrafią panować nieustannie nad sobą, jeżeli przez wiele lat przywykali dogadzać zachciankom. Przypominać więc o obowiązku należy na każdym kroku, wszelkimi sposobami, a nadewszystko zaś w dzieciach rozwijać potrzeba odpowiednie popędy. Kilka miesięcy temu zwracaliśmy uwagę na dobroczynne skutki zaprowadzenia w domach puszki do składania groszy, złotówek, pochodzących z ograniczeń. Przypominamy znowu czytelnikom o tém. Drobny to środek, ale i grzechy nasze, często drobne, składają się na klęski olbrzymie.

Od dawnego dosyć już czasu krążą pogłoski, powtarzane z rozmaitemi waryantami, o zniesieniu przy sądach w całym państwie instytucyi adwokatów prywatnych. Jest-to sprawa kraj nasz obchodząca bardzo blisko, i taki lub inny jéj obrót odbije się na różnych warstwach społeczeństwa dotkliwiéj, niż to można z pozoru przypuszczać.

Ogólna reforma sądowa w 1876 roku zaprowadziła już ważne zmiany w urządzeniu palestry. Według dawniejszéj procedury, obowiązującéj w Królestwie, zwłaszcza cywilnéj, wolno było stronom stawać samym jedynie w Sądach Pokoju, a i w tedy wymagane było uprzednio złożenie obron na piśmie; ta okoliczność była powodem, że nawet w tych najniższych instytucyach, gdzie przymusu prawnego nie było, żadna niemal sprawa nie obeszła się bez udziału obrońcy, fachowego prawnika, mianowanego przez Komisyą Sprawiedliwości, a więc odpowiedzialnego i znanego sądowi. W 1876 roku ustawy sądowe, nadane Cesarstwu w 1864, z małemi modyfikacyami w 1876,

rozciągnięte zostały na Królestwo. Zamiast dawniejszych czterech stopni, obrońcy podzieleni teraz zostali na dwie kategorye: przysięgłych i prywatnych. Pierwszymi mogą być jedynie ludzie, posiadający stopnie naukowe (wyjątkowo sąd może nadać ten tytuł prawnikowi bez uniwersyteckiego dyplomu). Na prywatnego obrońcę trzeba zdawać egzamin jakiś, co daje prawo stawania w Sądach Gminnych i Pokoju, jak również w Zjazdach. Prócz tego dozwolono stronom samym bronić się bez wszelkiego pośrednictwa, a nawet dać się zastępować w podawaniu skarg i w obronie osobom, nie mającym z prawem żadnych stosunków i sądom wcale nieznanym. Ostatni ten punkt nowych ustaw otworzył szerokie pole pieniactwu, uprawnił niejako pokątnych doradców, których i tak po wsiach i miasteczkach naszych nie brakowało. W oczach gminu prawo stawania trzy razy do roku w sądzie (a kto tam może skontrolować ścisłość téj liczby przy nawale spraw) nadało charakter obrońców licznéj czeredzie szewców bez roboty, szynkarzów, podupadłych obywateli i t. d., którzy rzucili się do adwokatury.

W sprawie téj udzielił nam informacyi prawnik z prowincyi, dawny przez lat 30 obrońca przy Sądzie Pokoju, obecnie obrońca prywatny. Pozostając przez cały czas swojéj praktyki w jednéni miejscu, zna on stosunki na wylot i na zmianę patrzał własnemi, bardzo kompetentnemi oczyma. Pisze on:

Dawniejszy Sąd Pokoju i Policyi Prostéj w Tykocinie, mający dziesięciomilowy okrąg juryzdykcyi, złożony przeważnie z drobnéj szlachty, bo tylko gdzie niegdzie znajduje się dwór i wieś włościańska, sądził na rok spraw cywilnych 250, a czasem mniéj nawet, a w końcu—po podwyższoniu atrybucyi—do 300. spraw zaś karnych instruował 200 do 250. Dziś jeden Sąd Gminny rozstrzyga spraw cywilnych i karnych najmniéj dwa a nawet trzy tysiące, a sądów takich z dawniejszego okręgu powstało trzy i jeden Sąd Pokoju. Wprawdzte atrybucye sądu dawnego były szczuplejsze i od roku 1864 niewiele spraw wpływało z gmin, — nie to jest jednak prawdziwa przyczyna takiéj różnicy cyfr, gdyż w samym miasteczku wszystkie sprawy wchodziły albo do sądu miejscowego, albo trybunału, pierwszych spraw bywało 50 na rok, a drugich 10 najwyżéj. W dzisiejszym Sądzie Pokoju liczba spraw dochodzi do *tysiąca!*

Prawnik ten sądzi, iż główną i jedyną przyczyną takiego wzrostu pieniactwa jest działalność podburzająca pokątnych doradców. Dawniejsi rękodzielnicy, przekupnie, porzuciwszy pierwotne środki zarobkowania, starają się nowe rzemiosło uczynić jaknajzyskowniejszém. O jakiejś moralności, o trzymaniu się dróg i przepisów prawnych mowy być nie może. Zdarza się, że taki improwizowany adwo-

kat ma stałych świadków, którzy występują we wszystkich sprawach, jakie tylko on prowadzi. Oni wszystko widzieli, czego tylko wymaga mistrz i wspólnik, wszystko słyszeli, co tylko potrzebne jest do wygrania sprawy. Należąc przeważnie do niższych warstw społeczeństwa, pokątni doradcy znają doskonale życie wszelkich odłamów ludu, jego słabości, nawyknienia, przesądy schlebiają im i wyzyskują. Ulubioném i najplenniejszém polem operacyi jest naturalnie szynk. W miasteczku, o którym mowa, takich adwokatów jest przeszło 10, którzy czynni są od rana do nocy, we wszystkich zakątkach czyhają na ofiary, i jakiś roztropniejszy interesant walkę staczać musi, zanim się od nich zdoła odczepić.

Prócz tego pisaniem skarg trudnią się jeszcze pisarki sądowe. Niektórzy z tych mężów nie przekroczyli 15 roku życia, pomimo to potrafią udzielać rad i wmawiają w publiczność, że to tylko podanie może odnieść pożądany skutek, które napisane zostało w sądzie. Oczywista rzecz, że przeczytawszy takie bazgroty, najczęściéj domyśleć się o co rzecz idzie niepodobna albo się nabiera wprost fałszywego o sprawie wyobrażenia. Sędziowie nie mogą nie widziéć nieudolności w skargach, skomponowanych przez pisarków swoich, jak również tego, że strona bywa nieraz narażoną na koszta, lub nawet na odpowiedzialność skutkiem niesłusznego uczynienia komuś zarzutu kradzieży lub oszustwa; są między niemi jednak tacy, którzy nietylko nie wzbraniają takiéj bazgraniny, lecz nieraz sami odsyłają interesantów do swojéj kancelaryi.

Informujący nas prawnik opowiada wiele wypadków, ilustrujących działalność doradców pokątnych, przytoczemy jeden fakt, rzeczywiście wielce charakterystyczny.

Jakiś żyd za fałszerstwo czy téż oszustwo został skazany wyrokami sądów w Cesarstwie na roty aresztanckie. Próbowano go odrazu uwolnić, ale się to nie powiodło. Zanim wyrok zdążył wejść w wykonanie, odbiera Sędzia Pokoju w Tykocinie pocztą skargę jakiejś żydówki z Sokół (miasteczko tegoż samego powiatu), obwiniającą owego aresztanta o kradzież, jakoby przez niego u niej uczynioną. Sędzia stosownie do przepisów procedury zawezwał władze o dostawienie mu przestępcy na dzień oznaczony do sprawy. Rzeczywiście oskarżonego przywieziono, ale powódka nie stawiła się; sędzia zmuszony był przeto sprawę odroczyć i wyznaczyć nowy termin, a podsądnego zatrzymać w areszcie miejscowym. Areszt zaś ten posiada tę tylko niedogodność, że zmusza lokatorów, ożywionych gorętszą chęcią wyjścia na świat, do obierania drogi nie przez drzwi lecz przez okno — okratowane zresztą. Naturalnie téż aresztant ów nie omieszkał zniknąć. W drugim terminie stawiła się skar-

żąca i oświadczyła: że żadna kradzież u niéj spełnioną nie została, że żadnéj skargi nie podawała i nikogo nie upoważniała do podpisywania jéj; kto zaś skargę za nią podał i podpisał, nie wie. Rzecz cała na tém się skończyła, gdyż odszukać sprawcy niepodobna było.

Instruktor nasz zwraca uwagę, iż podobny wypadek miejsca by miéć nie mógł, gdyby wymagany był na skardze podpis osoby znanéj i odpowiedzialnéj. Zapewne; nam się jednak zdaje, że nie należy sięgać tam, gdzie dostać nie można. Natomiast pomyśléć należy o użyciu przeciwko złemu środków, znajdujących się pod ręką. Najwłaściwszą siłą do usuwania nadużyć niepowołanych doradców są adwokaci. Oni, nie zawsze może, ale niejednokrotnie mogli by wyświetlić nadużycia i zapobiegać szerzeniu się zarazy. W maleńkich miasteczkach i w osadach przy sądach gminnych w najlepszym razie znajdują obrońcy prywatni, a więc przeważnie weterani z dawnego sądownictwa, zawsze niepewni swego jutra, gdyż kwalifikacye ich nie są zupełnie w porządku i wiedza lingwistyczna posiada niepokojące ciemne plamy, a przy tém rok rocznie trzeba nanowo uzyskiwać pozwolenie, którego nieraz jedno słowo Sędziego Pokoju może pozbawić. Od starych ludzi w takiém położeniu trudno jest wymagać jakiejś energii i wysilków, mogących doprowadzić do zadarcia z tym i owym. Tymczasem świeża inteligencya, młodzi adwokaci przysięgli są na prowincyi „*nieobecni*."

Tu znowu okazuje się, że winy, przypisywanéj cząstce, dopuszcza cały ogół inteligentny. Pomijam już urzędników rożnych instytucyi prywatnych i państwowych, którzy dla niezrozumiałych nieraz powodów nie chcą się puścić z Warszawy. Zdaje się, że przyczyna ich oporu leży w błędnych pojęciach o prowincyi, obawiają się nudów, nie wiedząc, że w stolicach powiatowych w winta grają już równie umiejętnie, jak we wszystkich stolicach państwa. Ale od lekarzy np. to już chyba można czasem wymagać, aby w postanowieniach swoich kierowali się nieco i względami niezupełnie osobistéj natury. Wiele miasteczek miesiące całe bywa pozbawionych pomocy medyka, ten zaś, który się zdecyduje przenieść rezydencyą do jakiegoś odleglejszego zakątka, uważa to za rodzaj wygnania, od którego pragnie jak najprędzéj uwolnić się. Czy gorzéj postępuje magnat, co, mając środki, unika wiejskich nudów i bawi się w Paryżu? Takie dążenie do stolicy pozorowane bywa najczęściéj chęcią kształcenia się, magnetycznym wpływem ogniska życia umysłowego. Tymczasem w wielkiéj ilości wypadków (naturalnie nie zawsze) Warszawa nęci przykładami tych lekarzy, którzy zdobyli wielką praktyką fortunę i jeżdżą własnemi karetami. Na prowincyi znajdzie

się zawsze skromny kawałek chleba, pewniejszy niż wybijanie się w Warszawie, ale za to trzeba się wyrzec nadziei blasku. Takie czynniki są bardzo silne i rzadko kto się im oprzéć potrafi; tém téż bardziéj należy osłabiać ich siłę, pokazując inną, obywatelską stronę sprawy.

Zupełnie tak samo rzecz się ma z adwokatami. W Warszawie widzimy tłok, który doprowadza do marnéj, demoralizującéj nawet czasem konkurencyi. Wydzieranie sobie klientów bywało już powodem zajść skandalicznych. Słyszéć się zdarza, że adwokaci przysięgli na schodach kolegów stawiają faktorów, którzy zawracają klientów, werbując ich dla własnego pryncypała. Fatalna tendencya skupiania się w uprzywilejowanym punkcie wpływa na zniżenie stanu obrończego i pozbawia prowincyą inteligentych pierwiastków.

Ku lepszemu zwrotu jakiegoś dopatrzéć trudno, przyczyny tego zjawiska tkwią nie w zewnętrznych okolicznościach, lecz w dążeniach, upodobaniach i pretensyach samych adwokatów. Tak np. istnienie na prowincyi adwokatów prywatnych nie jest najmniejszą przeszkodą dla rozsiedlania się młodszych sił po wszystkich zakątkach kraju. Takich adwokatów jest bardzo mało, a nawet w razie współzawodnictwa wszystkie szanse zwycięstwa były by po stronie dyplomowanych prawników. Zdaje się jednak, że dotąd nie powstała nawet myśl, że może jakiś kandydat lub rzeczywisty student poświęcić się wyłącznie stawaniu w sądach gminnych.

Wobec takiego stanu rzeczy, jeżeli się sprawdzą pogłoski, że instytucya adwokatów prywatnych zostanie zniesioną, to zniknie i ta słaba tama, jaka dotąd chroniła ludność od pokątnych doradców. Ci ostatni panować będą już zupełnie niepodzielnie, gdyż żadna racya nie przybędzie, aby adwokaci przysięgli zaczęli udawać się tam, gdzie dziś ani myślą osiadać. Przedstawia się to tém groźniéj, że jeżeli reforma ma się zasadzać—jak chodzą pogłoski—na usunięciu ustawy dopełniającéj z roku 1874, i powróceniu do praw z roku 1864, to zniknie nawet formalne ograniczenie, zabraniające osobom prywatnym stawania w sprawach cywilnych więcéj niż trzy razy do roku.

Zjawił się ostatnich dniach prospekt „Głosu“, zapowiadający ukazanie się 1-go numeru tego pisma na dzień 2 października. Zapowiedź składa się z dwu części: z ustępu programowego saméj redakcyi i drobnych artykułów przyszłych współpracowników.

Czytając pierwszy ustęp, nie należy zapominać, że głoszenie komunałów i frazesów w prospekcie stało się u nas obowiązującym niemal zwyczajem. „Głos“ nie stanowi wyjątku, ale wyróżnia się pomimo to większą ścisłością w określaniu swych celów i tendencyi.

Przewodnim hasłem pisma będzie: *uznanie ludu za najgłówniejszy składnik społeczności narodowéj.*

Druga część prospektu przypomina jednodniówki, wydawane na korzyść pogorzelców i powodzian; są tu drobne artykuliki licznych przyszłych współpracowników. Wśród nich spotykamy nazwiska: Bałuckiego, Dygasińskiego, Jeża, Orzeszkowéj. Naturalnie, że w oświadczeniach tylu różnorodnych ludzi dojrzeć można brak jednolitości; wprawdzie panującym, obowiązującym tonem są różne demokratyczne aforyzmy, ale pomimo to, tu i owdzie przebijają się sprzeczności, a nawet niezgodność z naczelną zapowiedzią redakcyi w pierwszéj części. Bardzo ciekawą rzecz napisał p. J. L. Popławski. Zaznaczył on fakt istnienia w każdym narodzie dwu odmiennych, niezależnych od siebie i nawet nie łączących się z sobą (choć się stykają) cywilizacyi: ludowéj i „uprzywilejowanéj." „Lud — twierdzi p. Popławski—posiada własną religią, własną moralność, własną politykę, więcéj — własną naukę." Byłoby bardzo pożądaném, abyśmy w „Głosie" znaleźli rozwinięcie tego twierdzenia, a co najważniejsza, uzasadnienie jego. Obawiamy się jednak, że autor już obecny artykulik uważa za skończony wyraz swéj teoryi, a ostatni ustęp za argumentacyą. P. Popławski tak mówi: „cywilizacya chłopska nie stoi nieruchomie, ale, chociaż powoli bardzo, przeradza się i rozwija. Ta niezaprzeczona ewolucya— to właśnie dowód jéj samodzielności. Niepodobna ująć w formy podstaw jéj i zasad, w najogólniejszym chyba zarysie wskazać można w przeciwstawieniu z indywidualizmem, anarchią i wiecznym niepokojem myśli kultury uprzewilejowanéj—uczucie gromadzkie, ład wewnętrzny i spokojną twórczość kultury ludowéj." Tych ogólników za wystarczające rozumowanie uważać chyba nie można.

Pani Marya Konopnicka twierdzi: „Poezya nasza dopóty prawdziwie narodową nie będzie, dopóki obok „Pana Tadeusza", który jest epopeją szlachecką, nie stanie epopeja chłopska." Ten pewnik wyrzuconym być musiał przez fale wezbranéj miłości dla ludu. Jestem przekonany, że odezwie się on gromkiém echem w sercach szkolnéj młodzieży. Widzę już dzielnych a surowych krytyków z szóstéj i siódméj klasy, jak na podstawie tego zdania odsądzają literaturę naszą od wszelkiéj wartości, lub nawet czas tracą nad ziszczeniem marzenia p. Konopnickiéj i uczynienia literatury prawdziwie narodową. Ośmielę się zapytać, co p. Konopnicka nazywa literaturą prawdziwie narodową, i gdzie jest szczęśliwe plemię, które takową posiada, który z poematów świata uważa szanowna autorka za epopeję chłopską?

Prawdziwie ładnym pod względem formy, choć niezrozumiałym nieco co do treści, jest króciutki utwór p. Potockiego. Piękność

stylu ma w sobie coś pieszczącego, nietylko się oderwać nie można zacząwszy, ale powrócić trzeba skończywszy. Nie wielu autorów współczesnych umie tak ponętnie malować piórem. Jeżeli p. P. tego rodzaju utworami zasilać myśli „Głos", to bezwątpienia stanowić one będą prawdziwą ozdobę pisma.

Za nowy niemal i odrębny tygodnik uważać obecnie można literacki dodatek do „Kraju." Początkowo literacka część nie miała w tém piśmie własnego przybytku i skromny przytułek znajdywała bądź w odcinku, bądź w tyłach pisma. Z biegiem czasu rozrastała ona się coraz bardziéj, stała się oddzielnym dodatkiem, a obecnie uzyskała nawet niezależny tytuł: „Przegląd literacki", nie odłączając się jednak od starszéj siostry, części społeczno - politycznéj. We wstępném słowie redakcya oświadcza, iż starać się będzie, aby w tak usamowolnionym dodatku znalazł się przegląd wszystkich wypadków i objawów z dziedziny polskiego życia umysłowego; przyczém pominięte nie zostaną te, które, przenosząc poziom pospolitych, mają wszystkim przyświecać, jako źródła i drogowskazy. Znając staranność dotychczasową redakcyi „Kraju", nie wątpimy, że przyrzeczenia swoje spełni. Pierwszy numer jest bardzo urozmaicony.

Niejednokrotnie na tém miejscu narzekaliśmy na niewłaściwy ton, jakim zwykle przemawiają u nas krytycy. Z tém większą przyjemnością zwracamy teraz uwagę czytelników na zjawisko, nie wyjątkowe naturalnie, ale rzadkie w téj sferze. Mówimy o ocenie książki p. Dawida „Zaraza moralna", dokonanéj przez p. Jana Gadomskiego i drukowanéj w Bibliotece Warszawskiéj w zeszycie sierpniowym. Przyzwyczailiśmy się do szarpania osób zamiast rozpatrywania rzeczy, do wyszukiwania usterek głównie lub nawet jedynie, do wywłóczenia jakichś twierdzeń i zdań podrzędnych, mających z główną myślą związek pośredni tylko. Tutaj krytyk poznajamia czytelnika z ideą przewodnią autora i mówi o tém poważnie, ze znajomością przedmiotu, bez docinków i popisywania się z erudycyą; na każdym kroku czuć zamiłowanie rzeczy uczciwych, widać szlachetną myśl i uczucie, które kierowało piórem;—to też praca p. Gadomskiego pobudza czytelnika do myślenia a nawet podnosi. Powątpiewanie w kimś zjawić się może, jakim sposobem krytyka filozoficznéj pracy zdoła wywrzeć podniosłe wrażenie. A jednak tak jest. P. Gadomski nie zadowolnił się jedynie roztrząśnięciem wywodów autora, lecz poszedł nieco daléj. Książka p. Dawida, analizując przeważnie rujnujące społeczeństwo czynniki, wywrzeć by mogła na tego lub owego czytelnika przygniatające wrażenie. Recenzenci nawet niektórzy, niedosyć dokładnie, jak się zdaje, zrozumiawszy myśl autora, zarzucili mu, iż skazuje życie ludzkości na zagładę. Jakkolwiek

zdanie to nie jest słuszne, w każdym jednak razie powiedzieć można, iż po przeczytaniu „Zarazy moralnéj“ nasuwają się pytania, wątpliwości i obawy, bardzo niepokojące. Filozof mógł na tém zatrzymać się, jego zadanie się skończyło; zabiera wszakże głos serce kochające i trwożne o byt i pyta: co robić? Jeżeli pytanie to spędza sen z powiek potężnym władcom, jeżeli niepokojem napełnia najsilniejsze i najszczęśliwsze państwa i społeczeństwa, jeżeli wobec niego bezsilnie stoją najpotężniejsze umysły, — to co my mamy robić, my, najbiedniejsi z biednych, najupośledzeńsi z upośledzonych; my, zdeptani przez los i pływający zaledwie na cienkiéj desce wpośród morza przeciwności, które nas usiłuje pogrążyć w falach na wieki? Czy nie lepiéj zamiast się upierać przy życiu zamknąć oczy, opuścić ręce i czekać śmierci. Wypadki zdają się wskazywać to, jaką jedyną drogę rozsądku, ludzie wyśmiać gotowi upór, złudne nadzieje, waryackie marzenia. I zdarza się, że narody całe ulegają, godzą się z myślą o śmierci. Ale w chwilę potém wyrywa się im z piersi galileuszowe: *e pur si muove!* Do szczytu marzeń dojść nie zdołamy prędko, ale... praca ludzka posiada moc czarodziejską. Nie cofajmy się przed tą cząstką, która jest dla nas dostępną.

„Nie opuszczajmy rąk, nie opuszczajmy! — woła p. Gadomski. Pracujmy w zakresie przystępnym! Dbajmy o czystość literatury, o zdrowy kierunek prasy, o uczciwe zasady tak w życiu potoczném, jak w polityce, o wyrobienie charakterów ludzkich, o współczucie i solidarną wzajemność klas i warstw społecznych. Badajmy nakoniec i poznawajmy siebie samych, abyśmy nie byli ślepi wobec nasuwających się z kolei czasu zagadnień społecznych, abyśmy wiedzieli jak sobie radzić na nie i jak się oryentować w nawale społecznych zjawisk. Gdy tego wszystkiego nie zaniedbamy, nie strawi nas jad występku.“ Wtórujemy jak najgoręcéj tym uczciwym słowom.

Ludwik Straszewicz.

OFIARA.

Złożone przez p. M. S. w redakcyi „Ateneum“ rubli sr. 10, „nieprzyjęte za lekcye, a przeznaczone na wpis lub książki dla niezamożnego studenta przyrodnika“, doręczone zostały młodzieńcowi, zaleconemu piśmiennie przez siedmiu jego kolegów.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Sierpnia i Września 1886 r.

---

1. *K. Brodziński.* **Wiesław**, sielanka. Wstęp krytyczny i życiorys autora opracował Maryan Gawalewicz. Illustrował Juliusz Kossak. Warszawa, nakł. M. Orgelbranda. 1886, folio, str. XXI i 26, (wydanie zbytkowne).
2. **Livia Quintilla.** Dramat w jednym akcie przez *St. M. Rzętkowskiego.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki. 1886. 8-o, str. 67.
3. *W. Stanley Jevons.* **Logika,** objaśniona figurami i pytaniami. Przełożył z upoważnienia rodziny autora podług najnowszego wydania angielskiego *Henryk Wernic.* Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki 1887, 8-o, str. 158 i II.
4. *Guy de Maupassant.* **Przez kobiety** (Bel-ami). Łódź, 1886, 8-o. str. 316 (skład w księg. T. Paprockiego i S-ki w Warszawie).
5. Narodna Biblioteka. **Za kruhom.** Povest. Poljski spisal H. Sienkiewicz. Poslovenil *P. Miklavec.* Novomesto 1884, małe 8-o str. 120.
6. **Rys geografii** Królestwa Polskiego. Skreślił *K. Krynicki.* Z dodaniem mapy litograf. kolorowanej Królestwa Polskiego. Warszawa, nakł. księg. T. Papr. i S-ki, 1887. 8-o, str. III, 202 i XIII.
7. **Tancerka.** Fantazya sceniczna w 1-ym akcie. Podług dramatu Cossy (Nero) ułożył *Kazimierz Kaszewski.* Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1887. 8-o, str. 39.
8. **Wskazówki** dla zawierających akta rejentalne i prywatne. Podał *Dominik Maślakiewicz* rejent w Lublinie. (Dla wszelkich czytelników uprzystępnił Pisarz Gazety Świątecznej). Warszawa, nakł. księg. krajowej K. Prószyńskiego, 1886. 8-o. str. 24.
9. *Maryana Kobiernickiego*, nieznanego pisarza XVI wieku, **Historya o czterech młodzieńcach i treny** P. Jakóbowi Strusiowi.... Wydał Jakób Kazimierz Gieysztor. Warsz. 1886. 8-o, str. 12 i nlb. 29.
10. **Łukasza Górnickiego. Dzieła wszystkie.** Pierwsze wydanie zbiorowe przygotował do druku *D-r. Rafael Loewenfeld*, wydał, wstępem i słowniczkiem archaizmów opatrzył *Piotr Chmielowski.* Tom I. Dworzanin polski. Warsz. nakł. S. Lewentala, 1886. 8-o. str. XXXII i 242.
11. *J. I. Kraszewski.* **Wybór pism.** Oddział III. Powieści społeczne poprzedzone wstępem krytycznym Piotra Chmielowskiego. (Boża czeladka i Szalona), Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1886. 8-o, str. XXV i 604.
12. **Polska w pieśni.** Wanda. Przez *Deotymę.* Warszawa, nakł. Maurycego Orgelbranda. 1887, 8-o, str. 286.
13. *D-r. Józef Dlugoborski.* **Echa szalonej Ameryki.** I. Kijów, 1886, 8-o, str. 38.
14. **Minowski.** Komedya w czterech aktach przez *Aleksandra Mańkowskiego.* (Odbitka z Echa Muzycznego). Warszawa, 1886. 8-o, str. 199.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Сентабря 1886 г.